

STANISŁAW ROSSOWSKI
LWÓW PODCZAS INWAZJI





H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SPÓŁKA
KSIĘGARNIA WE LWOWIE :: HOTEL GEORGEA

poleca następujące wydawnictwa:

Lwów w zimie 1914—1915 r.

24 artystycznych zdjęć widoków

Lwów z czasów inwazyi przez kapitana wojsk rosyjskich **NABOKOWA.**

Cena K. 2.—.

Odezwy i Rozporządzenia

z czasów okupacyi rosyjskiej
miasta Lwowa 1914—1915 r.

Facsimile plakatów rosyjskich. Nieoceniony materiał historyczny. — — —

Cena K. 3.—.



Herbert

Ignacy Wachan
841.

LWÓW PODCZAS INWAZYI

Rańca, 15.11. 841.



Prezydent Rutowski powierza miasto gen. Rodemu 3/IX. 1914

STANISŁAW ROSSOWSKI

LWÓW PODCZAS INWAZYI

**Kolekcja
Emila Kornasia**

(Z 30 RYCINAMI)



H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SKA
LWÓW. HOTEL GEORGEA



CM WEK

321564

Z DRUKARNI PRZY ZAKŁADZIE NAR. IM. OSSOLINSKICH.

wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 16 / 201 / CM

Książka niniejsza ukazuje się w pierwszej rocznicę odbicia Lwowa przez wojska austro-węgierskie pod wodzą gen. Böhm-Ermollego.

Już tem samem, że termin wyjścia związany został ze ściśle określonym momentem historycznym, nadano jej charakter pamiątkowy. Jakoż istotnie ma to być pamiątka dla nas samych, którzy przeżyliśmy czasy rządów rosyjskich we Lwowie, może zaś zarazem garstka materiałów, którą przyszły historyk okupacji Lwowa nie pogardzi.

Szło autorowi głównie o utrwalenie fizyognomii życia lwowskiego w owej dobie. Może to nawet godziło się uczynić wobec fantastycznych opinij, jakie tu i ówdzie krążyły o nas, dyktowane nie-

znajomością istotnych stosunków, lub też wręcz złą wolą.

Nieszczęście spadło na Lwów zgoła niespodzianie — iście, jak piorun z jasnego nieba. Wiadomo zaś, że takie nagłe przejścia najlepszym bywają probierzem charakterów. Jak pod uderzeniem odsłania się jądro orzecha, — tak też występują w chwilach krytycznych na jaw najistotniejsze cechy danej jednostki, czy społeczeństwa

Lwów chlubnie przetrwał okres ciężkiej próby. Nie ugiął się, nie spodlił. Szczerze polskiem miastem, jakim był pod rządami Austrii, pozostał również w przejściowej fazie, kiedy sztandar rosyjski powiewał z jego wieżyc.

Już to samo dowodzi wielkiego zasobu hartu. Odkryła go w nas dopiero wojna. Nie wiedzieliśmy sami, że ten gród znajdzie w sobie dość siły, aby przetrwać to, co się przetrwało. Tam poza jego murami — czasem bliżej, cza-

sem dalej, przez czas długi bardzo daleko — walczono o dolę państwa, kraju, pośrednio i o dolę Lwowa także. Tu również toczyły się walki, jakkolwiek bezkrwawe, — walki o egzystencję materialną, o podtrzymanie ducha, o ocalenie honoru miasta.

Jak one przedstawiały się — nie w wielkim swym ogólnym obrazie, lecz rozbite na szereg drobnych zmagających, zwłaszcza z trudnościami życia codziennego, zapisane zostało w tej książce. Powstała ona z luźnych obrazków i wspomnień, nie obejmuje ani wszystkich dziedzin, ani wszystkich zdarzeń, ale to, co podaje, zaczerpnięte jest z bezpośredniego zetknięcia z rzeczywistością, jest tej rzeczywistości odbiciem, schwyconem za gorącą, — autentycznym świadectwem stanu rzeczy, uczuć i nastrojów.

Na tło obyczajowe życia Lwowa z okresu inwazyi rzuca — tuszymy sobie — w każdym razie nieco światła

owe zapiski. W tem też kole obraca się treść książki. Zaledwie tu i ówdzie potrącił autor o spiżową strunę dziejową, a i wówczas tylko ubocznie, dla wyjaśnienia zjawisk, z których zdaje sprawę. Także owa odrobina statystyki, jaka wplątała się w opowiadanie, otrzymała dostęp jedynie ze względu na to, że cyfry mają swą własną mowę i nieraz nic jej zastąpić nie zdoła.

Ryciny umieszczone w książce pochodzą ze zbiorów Archiwum miejskiego we Lwowie i p. Alfreda Altenberga. Większą część tych fotografii wykonał inżynier K. Przetocki dla większej pracy, która się wkrótce ukaże nakładem E. Wendego i Sp. w Warszawie p. t. Galicya w r. 1914/15.

AUTOR

INDEKS NAZWISK.

Andrzejowski 13, 207.
Anzelma, S. Felicyanka 63.
Argasińska 44, 88, 89, 95.
Baczewski Leopold 98.
Baczyński inż. Wydz. Kr.
242.
Bandrowski J. dr. 63.
Bańkowski Spirydion 241.
Bardasz F. 98.
Barth prok. 107.
Bartoniówna 79.
Barwiński Bohdan dr. 242.
Beck Adolf, dr. rektor 192,
241, 264.
Bentkowski, cenzor 220,
225.
Bieńczewski, r. dw. 107.
Bilczewski Józef, ks. arcyb.
193.
Biłakówna 82.
Błocki 183, 184,
Bobrińskij hr. gub. 17, 175,
230, 231, 232, 259, 268
Bogdanow 165.
Braude, rabin 193.
Bruchnalski 57.
Chołodecki Białynia Józef
114, 241,

Burkacka 175.
Cheremetieff, zob. Szere-
metiew.
Chłamtacz Marceli, prof.
257 et seq.
Chołodecki Białynia Zdzi-
sław 115.
Chwirust Ignacy, ks. 64.
Czerwiński Exc. 107.
Czołowski Aleksander 241.
Czichaczew 92, 264.
Demelówna 95.
Demeter 42, 52.
Demetrowa Michałowa 51.
52.
Diamand Jakób 45, 241.
Dobosz 130.
Dobrowolski Odo 183.
Dobrzańska Zofia 84, 174.
Dobrzański Julian 173.
Dornberg Jakób 248.
Dulębianka 44, 76, 77, 95.
Dylewski prez. 40, 193.
Eiche, gen-maj., gradona-
czalnik 230.
Eulogiusz, biskup 264.
Fatianow, podpułkownik
221, 222, 223.

- Fedak, dr. 241.
 Felicyanki SS. 45, 48, 63.
 Fryczek 93.
 Garwuliński Roman 114.
 Gawlikowski 183.
 Getritz Al. 98.
 Getritzowa 51.
 Glazer P. 38.
 Glikson 175.
 Goldman Artur 241.
 Gorazdowski ks. 36.
 Gostyńska M. 44.
 Grabowska 174.
 Grabski, dr. prof. 260, 261.
 Grach Władysław 248.
 Grodecki J. 38.
 Halski W. 98.
 Hermanów Fundacya 46.
 Hierowski 173, 180.
 Horowitz S. 98.
 Horowitzówna 84.
 Hoserowa 44, 79.
 Ignac, ślepy 142.
 Jakubowska Aurela 80, 81.
 Janowicz Krzysztof, r. 13, 98
 Janowiczowa Krzysztofowa
 51.
 Jedliczowa Józefowa 81.
 Kaczor-Batowski 193.
 Kalinowski 174
 Kampian 20, 21.
 Karpiński 183.
 Kassaraba Jan 38.
 Kauczyński
 Kawecka 82.
 Kazecka 187.
 Kielb 38.
 Kiernigg Edward ks. 36.
 Kirschner Józ. 38.
 Kociuba, dyr. r. szk. 242.
 Kogen 169.
 Kolbuszowski E. 36.
 Kołowska 94.
 Komarnicki Ł. 115.
 Korman Kaz. 38.
 Kropińska 40.
 Kowalska 84.
 Kozłowski Włodz., pos. 261.
 Krzyżanowska Michalina
 80, 81.
 Kuligowski 129.
 Kurmanowicz Józef 114.
 Kwiatkowski, naucz. 192.
 Kwiatkowski r. 13.
 Kwiatkowski Stanisław 241.
 Laskowski Andrzej 248.
 Latoszyńska Hilda 174.
 Legeżyński Wiktor, dr. 61.
 Lelewicz 173, 175.
 Lewakowski Z. 98.
 Lewicki Bol. 36, 60, 98, 192.
 Lewicki Eug., r. sąd. 241.
 Lubieniecki 241.
 Łabędź 31.
 Łomnicka 44, 79.
 Łozińska Jadwiga 36.
 Łoziński August, dr. 192.
 Łoziński 20.
 Łukasiewiczowa Róża 37.
 Makuszyński Kornel 175,
 181.
 Malina prok. 107.
 Mann Józ. 38.
 Marcichowski Jan 39..
 Margulies, dr. 248.
 Michalska 36, 51.
 Michniewicz Tadeusz 38.
 Mikolasch 183.
 Miller Henryk 129, 172,
 174.

- Milski Aleksander 36, 193.
 Miłosz-Okornicka 84, 174.
 Müller, insp. 60.
 Muzyka 31.
 Natalia S. Felicyanka 47.
 Nazaretanki, SS 45.
 Neumann Józef, prez. 5.
 Neumann 174.
 Niemojowski W. S. 162, 165.
 Ohly, r. 13, 49, 51, 192.
 Okornicki 173.
 Olszewski Maryan 183.
 Or.-Ot. 171.
 Ostaszewska-Barańska Kazimierzowa 51.
 Ostrowski Bol., dyr. 30.
 Pazdrowa 82.
 Pell 171.
 Philipp E., r. 13, 36.
 Piątkowska 81.
 Piątkowski 57.
 Pichler K. 38.
 Piechorska 82.
 Piekarski Marek, dr. 91.
 Pinińska Leonowa hr. 36.
 Piotrowski Mieczysław 182.
 Pokiziak E. 98.
 Popow 169.
 Porajówna 175.
 Preyer Emil 114.
 Przyłuski wiceprez. sąd 107.
 Rafaela, S. Felicyanka 47.
 Rasiński 129.
 Rodakiewicz, dr. 98.
 Rode, von, gen. por. 228.
 Rogińska Leda 174.
 Rutowski Tadeusz dr. 5, 13, 16, 17, 18, 20, 21, 31, 44, 45, 49, 63, 81, 176, 188, 189, 191, 192, 193, 221, 227, 242, 258, 264, 268, 269.
 Rybkowski Tadeusz 183.
 Rychter-Janowska Stanisława 183.
 Rygier 180.
 Sasiadówna 82.
 Schirmer J. 98, 241.
 Scherff, ks. kan. 64.
 Schleicher, dr., wicepr. 5, 20, 21, 22, 23, 31, 43, 63, 227, 242.
 Schneider, r. 13, 15.
 Schoenett 95.
 Seewald Jakób 248.
 Selcer Józef, dr. 61.
 Siemaszkowa 180, 193.
 Sokołowski Stanisław 181.
 Skallon, pułk gradonaczelnik 17, 231.
 Sopuch, ks., superior. 241.
 Sosnowski, r. sąd. 241.
 Stahl, dr. wicepr. 5, 20, 21, 22, 31, 63, 188, 191, 227, 242.
 Stahlowa 88.
 Starzewski Józef, dr. 60.
 Stesłowicz Władysław, dr. 98.
 Strzałkowska 45, 79.
 Szenderowicz L. 36.
 Szeptycki, metrop. 264.
 Szeremetiew, gub. woj., 15, 17, 144, 221, 228, 229, 242, 258.
 Szkowron 42, 98.
 Sznage 174.
 Szydelski St. ks. 36.

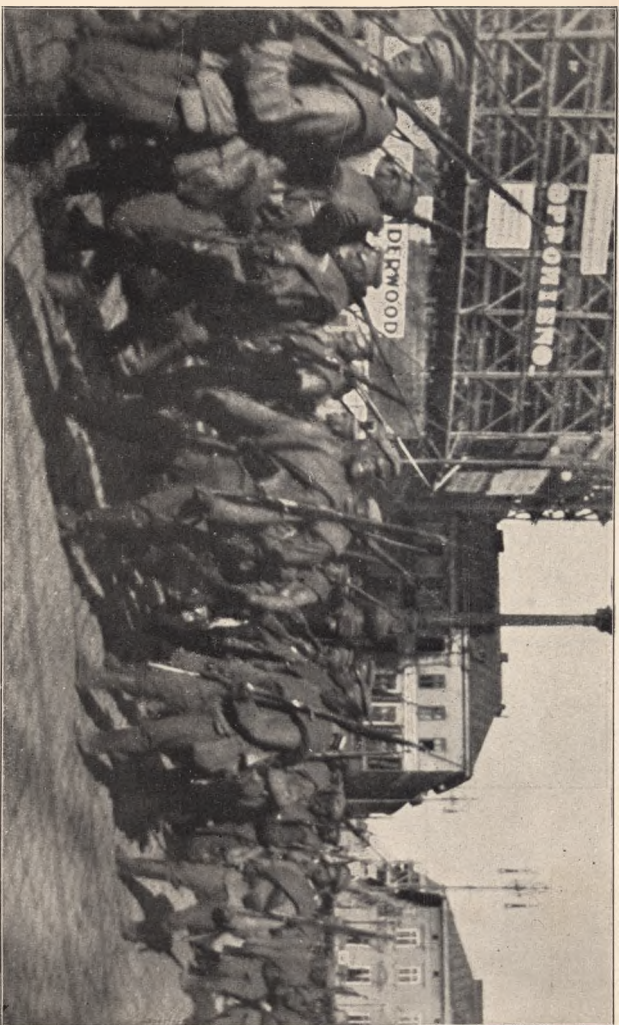
- Szymonowicz, rad. sąd. 108.
Świechowicz 57.
Święcicki Hilary 242.
Świstun 220, 223.
Tabaczyński 42.
Tarnowski Kazimierz. hr. 92.
Tauer Stanisław 129, 130.
Theodorowicz Józef, ks. arcyb. 193.
Thom M. 98.
Thulie Maks. dr. 36, 38, 87
Toczyński J. 38.
Tondos 183.
Topfer Michał 241.
Turlu-Turlu (Turliński) 80
Tyc Tadeusz 49.
Ulmer Narcyz 192.
Wasilewski Zygmunt 222, 223, 224.
Weishar Ferdynand 247.
Wickowski Józef, dr., prof. 60.
Więckowski Paulin 38.
Wierzyński H. 36.
Wierzbowski Stan. 38.
Winiarz Ludwik 98.
Winkler Maks. 38
Wirginia, S. Felicjanka 63.
Witz 222.
Włodzimirski Wal. r 13, 37, 38, 241.
Wolfstahlowa 45, 79, 83, 84.
Wolfstalówna, Ema i Paulina 84.
Wolski Wacław 98.
Wunsch T. 40.
Wyrzywański 183, 184.
Wysokiński Al. 38.
Zacharjewicz Alfred 98.
Zawadowski Iwan Iwanowicz, cenzor 220, 221, 225.
Zielińska 174, 180.
Ziembicka 82.
Ziembicki Grzegorz, dr. 61.
Zion, dr. 241.
Żebrowski Ferdynand 245, 249.

SPIS RYCIN.

1. Prezydent Rutowski powierza miasto gen. Rodemu
3/IX. 1914.
2. Chorągwie na Ratuszu 3/IX. 1914.
3. Przemarsz wojsk rosyjskich d. 4. września 1914.
4. Zakładnicy król. stoł. m. Lwowa.
5. Pierwsza patrol kozacka w Ryńku d. 3/IX. 1914.
6. Biwak na wałach gubernatorskich w dniach prze-
marszu armii rossyjskiej przez Lwów.
7. Milicyant i gorodowy.
8. Milicyant miejski.
9. Jeńcy austriacy we Lwowie po bitwie pod Gród-
kiem.
10. Kozak poi konia w studni w Ryńku.
11. »Dziś człowiek«.
12. »Waryat wojenny«.
13. Ludność na Kopcu słucha strzałów podczas bitwy
pod Gródkiem.
14. Saneczkowanie w parku Kilińskiego.
15. Tani opał.
16. Ruch uliczny w zimie 1914/15.
17. Uroczystość Jordanu w Ryńku.
18. Tania kuchnia w »Sokole«.
19. Życie na placu Krakowskim.
20. »Sestriczka«.
21. Uroczystości z powodu »wzięcia« Przemyśla. Pochód
przez miasto.
22. Uroczystości z powodu »wzięcia« Przemyśla. »Po-
chód« w parku Kilińskiego.
23. Ewakuowani Żydzi z Przemyśla w »Brygidkach«
24. »Oficerski sklep« przy ul. Karola Ludwika.
25. Oficer kozacki.
26. Pożar dworca we Lwowie.
27. " " " "
28. Archiwum Rady szkolnej w Namiestnictwie.
29. Gabinet fizyczny VI. gimnazjum po wyjściu Rosyan.
30. Wejście wojsk austro-węgierskich d. 22. czerwca 1915.



Chorągwie na Ratuszu 3/IX. 1914



Przemarsz wojsk rosyjskich d. 4 września 1914

PRODROMUS.

W drugiej połowie sierpnia 1914 r. poczęły się ściągać się nad Lwowem, coraz groźniejsze chmury.

W chwili wybuchu wojny niemal powszechne panowało u nas przekonanie, że mocarstwa centralne wkroczą raczej do Rosyi, niżby dopuścić miały do przeniesienia widowni wojennej na teren galicyjski. Parcie nawały rosyjskiej od strony Zbrucza tłumaczono sobie jako zwykłe starcia nadgraniczne i nawet wówczas jeszcze, gdy już 14 powiatów wpadło w ręce wroga, pocieszaliśmy się tłumaczeniem, iż istnieje plan wciągnięcia sił rosyjskich nieco w głąb, aby je potem osaczyć i zgotować im nowy Sedan.

Lecz gdy huk dział coraz donośniej zalać tywać począł do stolicy, wkładało się z nim w serca uczucie niepewności. Krążyły pogłoski, że już Janów zagrożony, że w Brzuchowicach pokazują się patrole kozackie. Padł lęk na Lwowian. W czwartek d. 27. sierpnia wieczorem, niewiadomo, przez kogo i w jakim celu na górnym Łyczakowie rzucona, zgoła zaś bezzasadna wieść, że kozacy już na rogatce, wywołała pamiętną panikę.

Naprawdę władze wojskowe komunikatami swymi starały się podtrzymać nas na duchu. Zaraz po wspomnianej panice okazał się biuletyn komendy wojskowej, w którym ze względu na lekkomyślnie rozsiewane pogłoski, wywołujące ciągłe zaniepokojenie wśród ludności, oznajmiono, że »wojska nasze stoją na silnych pozycjach, i że miastu bezwarunkowo nie grozi żadne niebezpieczeństwo«.

Ogromne wrażenie sprawiły depesze ogłoszone w »Dz. Polskim« w wydaniu wieczornem d. 29 sierpnia. W jednej z nich powtórzono informację »Czernow. Tagblattu«, wedle której Rosyanie ponieśli straszną klęskę między Tarnopolem a Brzeżanami, przyczem wojska austro-węgierskie zdobyły 50 armat i wzięły przeszło 10.000 Moskali do niewoli.

Jeszcze sensacyjniej brzmiało drugie doniesienie.

»Według wiadomości dziś nadeszłej do Lwowa (powtarzamy dosłownie) armia gen. Rennenkampfa, który z przeszło 400.000 żołnierza szedł na Lwów, została zupełnie rozbita, a gen. Rennenkampf miał dostać się do niewoli... Wojska rosyjskie, które cofnęły się z pogromu są otoczone tak, że ani jedna noga z nich nie ujdzie cało«.

Numer ten »Dziennika« w lot rozchwymano. Podane depesze wywołały istny entuzjizm radości. Nie brakło wprawdzie sceptyków, którzy kiwali głowami, wskazując na prywatny, nieautoryzowany charakter doniesienia. Repli-

kowano, że gdyby wiadomość była nieprawdziwa, nie przepuściłaby jej cenzura.

Doniesienie o pogromie Rennenkampfa znalazło zresztą poparcie w legendzie, która dnia tego nad wieczorem obiegła całe miasto. Oto opowiadano sobie, jako rzecz, której świadkami było mnóstwo osób, że ulicą Zieloną ku miastu, pędził kurzem okryty, zziajany oficer kawaleryi i rozkładając ręce, wołał co chwila: *»Sieg! Sieg! Vier Regimenter samt Rennenkampf in Gefangenschaft«!*

Jeszcze w niedzielę d. 30 sierpnia rozesałało Biuro korespondencyjne następującą deszę:

»Kraków. Dzisiejszy poranny »Czas« donosi: Z tutejszego sztabu generalnego otrzymaliśmy upoważnienie do ogłoszenia następujących wiadomości: Pod Brodami i Rawą ruską odnieśliśmy stanowcze zwycięstwa. Na całej linii wojennej we wschodniej i północno-wschodniej Galicyi położenie jest bardzo korzystne. Prawdopodobnie w najbliższej dobie nie będzie już żadnego żołnierza rosyjskiego na terenie galicyjskim! «

W tym samym dniu »Dziennik Polski« wydrukował na czele numeru ogromnemi czcionkami apel, z którego cenzura przepuściła tylko tytuł: »Spokoju i rozwagi«!, jakoteż następujący passus: »We Lwowie echo strzałów armatnich, które słyhać w mieście, wywołało wielki popłoch. Ludzie uciekają ze Lwowa, obawiając się wkroczenia wojsk rosyjskich. Po-

głoska ta i depresja nie uzasadnione zupełnie. Zamiast popłochu podnoście w górę serca! Powodu do obaw niema. Armia nasza.... znajduje się w jak najlepszych pozycjach — i postępuje zwycięsko naprzód!«

Nawoływania te jednak nie sprawiły już wrażenia, apel pozostał bez skutku. Szał radości z powodu »wzięcia Rennenkampfa do niewoli« przeszedł w rozczarowanie, urzędowe bowiem potwierdzenie tej wiadomości nie nadeszło. Natomiast widziano — obok wielu innych oznak złego położenia — ruch gorączkowy we wszystkich dykasteryach, najsilniej zaś wpadł on publiczności w oczy na pocztach, gdzie po zawieszeniu zwykłych czynności najwidoczniej przygotowywano się do wyjazdu.

Jakoż w późnych godzinach wieczornych nadeszły depesze rządowe nakazujące władzom natychmiast opuścić miasto. W kilka godzin potem ulice wiodące do głównego dworca kolejowego przedstawiały istną Sodomę i Gomorę. Niezliczona kawalkada doróżek i prywatnych pojazdów, nawet wozów meblowych naładowanych ludźmi, ponadto mnóstwo automobili, z trudem torowały sobie drogę wśród zbitych mas zwykłych śmiertelników, którzy pieszo z tobołkami na plecach, lub nawet bez nich zdążali zdyszani, by opuścić zagrożone miasto.

Niesamowita cisza zaległa ulice w poniedziałek rano d. 31 sierpnia. Miasto jakby zamarło. Sklepy, zrazu nawet i bramy domów były pozamykane. Zandarmerya polowa ob-

jąwszy funkcyę policyi, zakazała — choć w głowę potem zachodzono, z czyjego polecenia — otwierać bram domostw. Dopiero interwencya straży obywatelskiej, zawiązanej na wezwanie prez. Neumana w dzień przedtem, usunęła nierozumny nakaz i w mieście drgnęło znowu życie, jakkolwiek trwożliwe blade, bezkrwiste.

Rządy miasta wobec wyjazdu prez. Neumana przeszły w ręce dr. Rutowskiego jako prezydenta, oraz wiceprezydentów dr. Stahla i dr. Schleichera. Ukonstytuowane w ten sposób prezydium — wydało do mieszkańców odezwę z wezwaniem do spokoju i z zawiadomieniem, że nad mieniem i bezpieczeństwem czuwa straż obywatelska. Odezwa, zakończona klasyczną w swej lapidarności apostrofą: »Żadnych prowokacyj! Na Boga! Spokój, ład, porządek!« sprawiła jak najlepsze wrażenie: dopomogła pozostałym do oswojenia się z myślą o tem, co nieuniknione i uspokoiła obawy. Uspokajająco podziałała w znacznej mierze również okoliczność, że z polecenia prezydium miasta tramwaj, używany w ostatnich dniach wyłącznie dla przewozu wojska i rannych, oddano naprowrót do użytku publiczności.

Jeszcze raz we wtorek, spłynęła na Lwów fala optymizmu. Z uczuciem ogromnej ulgi czytano w depeszy Biura korespondencyjnego, że »Rosyanie dostali się do Galicyi wschodniej aż do linii obronnej wojsk austryackich Rawa ruska-Złoczów, gdzie ich wstrzymano, a także

przy przeforsowaniu Zbruczu nieprzyjacieli trafił na bardzo silny opór«. Wobec tego zdawała się całkiem naturalną zapowiedź urzędowa, że »Filia Banku austro-węgierskiego w najbliższy czwartek rozpocznie swe czynności na nowo«.

»Wiek Nowy« pisał wówczas: »Z okolic Lwowa nadchodzą wieści bardzo dodatnie, kanonada działa.... dziś już prawie ucichła. Wczoraj wieczorem ze wzgórz okolicznych można było jeszcze widzieć łuny pożaru, węzowe pociski szrapneli, czy granatów. Armia rosyjska, jak mówią ogólnie, cofnęła się w wielkim pośpiechu!«

A tymczasem armia ta stała już pod bramami Lwowa!

WKROCZENIE ARMII ROSYJSKIEJ DO LWOWA.

W środę d. 2 września wieczorem rozszła się po mieście wiadomość, że Lwów został przez wojska austriackie wydany. Oczywiście nie obeszło się i tym razem bez różnych bajek. Twierdzono, że właśnie prezydium miasta omawia warunki kapitulacyi i po jej podpisaniu dziewięć wystrzałów armatnich zawiadomi mieszkańców o zapadłej decyzji. Strzałów tych nie doczekano się naturalnie. Śmiertelna cisza zapanowała z nastaniem nocy na ulicach miasta. Poza członkami straży obywatelskiej nie spostrzegłbyś był ani żywego ducha.

Chmurny ranek czwartkowy ukazał wieżę ratuszową w osobliwym przystrojeniu: upiornie powiewała na jej szczycie olbrzymia biała chorągiew.

A więc stało się!

Teraz trzeba było z każdą chwilą spodziewać się wejścia zwycięskiego nieprzyjaciela. Jakim on się okaże: srogim, jak już tylekrotnie nim bywał, czy łaskawym, jak tryumfującemu zwycięzcy być przystało? Że wobec niepewności strach padł na mieszkańców Lwowa nie dziwnego: na wszystko należało być przygotowanym.

Bardzo też niewielu tylko śmiałków odważyło się opuścić mieszkania. W oknach i nad bramami powywieszano obrazy świętych, bo poszła po mieście gadka, że to najlepsze i jedyne przed napadami rosyjskiego żołdactwa ubezpieczenie. Jakoż znaków tych nie brakło nawet w oknach żydowskiej ludności i nad bramami żydowskich domów.

Zajęcie miasta przez Moskali dokonało się około południa.

Piszący te słowa miał sposobność widzieć wkroczenie ich od strony rogatki Zielonej. Około godziny 10 min. 30 rano pojawił się pierwszy patrol złożony z trzech kozaków pod wodzą podoficera. Jechali rozpromienieni, bacznie jednak rozglądając się naokół. U wylotu ul. Królewskiej zatrzymali się. Z bram wypadło ku nim kilka bab, kornie oddając pokłony. Podoficer wskazał na szynk w tem miejscu stojący otwo-

rem i kazał go zamknąć. Następne wdał się z babami w rozmowę. Trwało to chwilę, potem patrol ruszył dalej.

Dopiero w jakie pół godziny później nadciągnął liczniejszy oddział kawaleryi. Wogóle przez czas dłuższy, jakby ociągano się z wkroczeniem masowem i zmierzch już zapadał, gdy nagle z góry staczać się poczęły, jak chmara ogromne zastępy wojska wszelkich gatunków broni: piechota, konnica, artylerya, furgony.

Rozpoczęła się istna wędrówka narodów. Przez szereg dni niemal bez przerwy z rogattek: zielonej, łyczakowskiej, żółkiewskiej płynęły i płynęły te nieprzejrzane hufce carskie, aż strach zbierał patrzeć... A szło to wszystko upojone zwycięstwem, w doskonałym ordynku, z pieśnią, o białym carze. Śpiewowi towarzyszyły piekielne gwizdy, jakby w sam raz dla rozdzierania uszu.

Było czemu przyglądać się zaiste i mógł car dumny być z takiej armii. Nietylko dlatego, że tyle jej rzucił na Galicyę, iż jak piaskiem mógł nią kraj zasypać. Lecz co to za wojsko było! Chłop w chłop, jak na schwał — same dorodne, doskonale odżywione postacie, wykwapowane przytem świetnie; same rzekłbyś Goliaty, że aż dziwno, by ktoś z nimi podejmował się w bój iść. Bogactwo konnicy i artyleryi było wprost imponujące. Najwięcej podziwu budzili Czerkiesi, gdy na drobnych, stosunkowo, lecz ogromnie sprawnych konikach mknęli kłusem chętnie popisując się mistrzow-

stwem swem w różnych sztukach ekwitacyjnych. Egzotyczny strój Czerkiesów nadawał osobliwej barwności temu niezwykłemu obrazowi, a pieśni brzmiały jeszcze bardziej dziko, niż śpiewy sałdatów lub kozaków.

Bogactwem swem przygnębiające na mieszkańców Lwowa sprawiła wrażenie także artylerya. Zielonawo-szare działa różnych kalibrów od zwykłego do bardzo ciężkich, setkami i tysiącami przesunęło się przez miasto w ciągu dni kilku. Wojska maszerujące zajmowały zazwyczaj szerokość całej ulicy tak, że dla przechodu ludności nie pozostawało już miejsca. Kto więc nie mógł ich oglądać z okien, musiał chyba z wylotu bocznych ulic oddawać się obserwacyi.

W ciągu dni niewielu kilkuset tysięcy, twierdzono nawet, że półtora milionowa armia przeszła przez miasto. Nietrudno wyobrazić sobie, jak potem wyglądały u nas ulice, jak place, plantacye i skwery! Długie tygodnie minęły, zanim usilnej pracy z zarządzenia magistratu udało się jaki taki ład przywrócić.

Przemarsz wojsk rosyjskich przez Lwów podzielał na ludność przygnębiająco. Był to istny potop. Zdawało się, że już wszystko przepadło, że niema na świecie siły, któraby taką armię powstrzymać zdołała w pochodzie ku mecie.

A jednak, co się z nią stało! Już w 9 miesięcy później uchodziły drobne ledwie szczątki z kraju, o którym po zajęciu Lwowa nawet

nie przypuszczano w Rosyi, by już kiedykolwiek wydostać się miał z pod carskiej władzy.

Tragiczny moment inwazyi rosyjskiej znalazł odbicie w piosnce brukowej. Słyszano ją u nas w zimie 1914/15 nuconą pod nosem we wszystkich zakątkach miasta. Oto oryginalne brzmienie:

O godzinie ósmej rano
Białe fany wywieszano.
Każdy pyta, co się stało:
Miasto Lwów się już poddało.

Od Zielonej, Łyczakowa,
Moskal wkracza już do Lwowa.
Pierwsza patrol już przybyła,
Na rynku się ustawiła.

Ludzie im się przypatrują,
Wódką, jadłem ich częstują.
Moskal bierze, nic nie pyta,
Byle była okowita.

Moskal chytry, Moskal zuch
Za Warszawę zabrał Lwów.
Lecz w Karpatach góry śliski (*sic!*),
Tam Moskale łamiał pyski.

ARMATY MÓWIA.

W kilka dni po zajęciu Lwowa, miasto zadrżało znowu od huku armat.

Tym razem rozlegał się on już nie od wschodu i północy, lecz od zachodu, był echem wielkiej bitwy nad Wereszycą, gdzie armia austriacka po odstąpieniu od stolicy skoncentrowała się i stawiała czoło nieprzyjacielowi.

Otuchą zadrgały znowu serca ludności. Powszechnie szeptało się na ucho, że sytuacja jest wyśmienita, że błota Wereszycy staną się grobem Moskali.

Huk zrazu odległy, zbliżał się przez jakiś czas nieustannie. Wskazywało to, iż istotnie wojska austriackie odpierają przeciwnika, że pchając go wstecz, dążą do odzyskania Lwowa. Pod Gródkiem, pod Janowem świetny miały odnieść sukces — maluczko, a wpadną do stolicy. Mówiono o jakimś aeroplanie, który rzucił w setkach egzemplarzy odezwę zapewniającą solennie, iż do tygodnia Lwów będzie odzyskany. Odezwy tej wprawdzie nikt nie zdołał przedłożyć, ale bez liku było osób, które rzekomo widziały ją na własne oczy.

A huk armat nie ustawał. Przedsiębrano wycieczki w odległe punkty miasta, na kopiec, na wzgórze Łyczakowskie, Stryjskie, w okolicy rogatki Zielonej, Gródeckiej, Janowskiej, aby lepiej przysłuchiwać się dział wymowie. Była ona jednakże tak gromka, że i w mieście, nawet w samym środku miasta, słyszało się całkiem wyraźnie echo każdego wystrzału.

Dnia 10. września huk doszedł do szczytu. Walka przeniosła się w pobliże Lwowa. Podobno kule armat austriackich dosięgały Sy-

gniówki. Nadzieje oswobodzenia rosły z każdą chwilą.

Stan ten utrzymał się także przez piątek. Ponieważ bitwa objęła teren wodociągów, zagrożąło miastu, że nie będzie miało wody. Robotnicy przy pompach w Dobrostanach wytrwali na posterunku, aż do chwili, gdy wprost już niemożliwością było pracować, tak gęsto nad zakładem przelatywały kule i szrapnele. I rzeczywiście — czego obawiano się — woda przestała spływać z podkurków wodociagowych. Szczęściem na kilka tylko godzin.

W nocy z piątku na sobotę armaty nagle ucichły. Ta cisza owionęła miasto jak tchnieniem śmierci. Nadzieje pobudzone mową armat runęły.

Zrozumiano, że stać się musiało coś złego, że załamał się widocznie napór wojsk austriackich. Załamał się tuż niemal u bram miasta, które z bijącym sercem przez dni szereg modliło się o swe oswobodzenie!

Odtąd przez długi czas nie było u nas słychać armat. Dopiero w Styczniu wiatr mroźny przynosił niekiedy głucho echa od strony Przemyśla lub Stryja.

Z wiosną echa te stały się już wyraźniejsze. W maju znowu wybiegano za miasto — nie po pierwiosnki lub konwalie, jeno aby wsłuchiwać się we wstrząsającą melodyę kanonady. W czerwcu dochodziła ona z coraz mniejszego oddalenia, aż 20 dnia tego miesiąca usłysze-

liśmy ją z tej samej mniej więcej odległości, w jakiej znikła nagle około połowy września.

W dwa dni później Lwów oswobodzony został od swych »oswobodzicieli« z za Zbrucza.

Huk armat dolatywał następnie znowu od wschodu. Przez dwa tygodnie był on tak silny, że utrzymywał publiczność w ciągłej obawie, by »nie zaszło co złego«. Nic takiego jednak nie zaszło. Huk oddalał się zwolna, aż umilkł ostatecznie.

M. S. O.

Zanim jeszcze zapanował był zupełny rozgardyas, zanim władze austriackie ujrzały się zmuszonemi Lwów opuścić, magistratura miejska, w przewidywaniu blizkiej katastrofy, zorganizowała Straż Obywatelską. Już w sobotę dnia 29. sierpnia 1914 poruczono komendę naczelną rad. Schneidrowi, któremu przydani zostali do pomocy komendanci dzielnic: rad. Andrzejowski, jako kom. dzielnic I, rad. Włodzimirski dziel. II, rad. Janowicz dziel. III, rad. Kwiatkowski dziel. IV, rad. Philipp dziel. V i rad. Ohly dziel. VI.

Gdy w poniedziałek dnia 31. sierpnia stało się już wiadomem, że władze przeniosły się ze Lwowa, prezydent Rutowski zwołał zebranie obywatelskie, które przy udziale kilkuset osób zajęło się kwestyą wprowadzenia Miejskiej Straży Obywatelskiej niezwłocznie w życie. Na listę M. S. O. zapisało się natychmiast kilkuset najpoważniejszych obywateli. Jako odznakę otrzy-

mali członkowie Straży opaski ze wstęgi amarantowo-niebieskiej (barwy miasta). Tegoż jeszcze dnia wieczorem objęła Straż obywatelska swe funkcyje.

Niezmiernie ciężkie i odpowiedzialne zadanie spoczęło na jej barkach. Miasto było w zupełności zdane na siebie. Motłoch przewąchawszy, jak rzeczy stoją, każdej chwili mógł wyruszyć na ulice, rozbijać, plondrować, gdziekolwiek powiodłoby go rozbestwienie. Że do tego nie doszło, jest zasługą M. S. O. Utworzywszy w każdej dzielnicy rejony i obsadziwszy swymi członkami wszystkie ulice, wszystkie ważniejsze punkty miasta, z narażeniem własnego życia ocaliła bezpieczeństwo życia i mienia współobywateli. Kilka dni tych, wszystkim pamiętnych, wykazało, że M. S. O. zupełnie dorosła do zadania. Umiała sobie od razu wyrobić taką powagę, iż publiczność z całym zaufaniem, oddała się jej w opiekę, bez szemrania spełniając rozkazy Straży.

W tych dniach grozy M. S. O. sprawowała wszystkie funkcyje władz bezpieczeństwa, policyi sanitarnej, targowej, a nawet wykonywała do pewnego stopnia sądownictwo obywatelskie, wszędzie spotykając się z pełnym szacunku posłuchem.

Podczas wkroczenia wojsk rosyjskich i po dokonanej już okupacyi, gdy miasto dało zakładników, jako rękojmię lojalnego zachowania się ludności, wytężyła M. S. O. całą swą usilność w tym kierunku, by nie dopuścić do za-

dnych prowokacyi. Jakkolwiek bowiem ogół mieszkańców do podobnych obaw nie dawał powodu, mogły znaleźć się duchy ciemne, które rozmyślnie, dla ściągnięcia nieszczęścia na miasto, gotowe byłyby pokusić się o to. Nieustanna i wszechstronna czujność zapobiegła możliwym ich zakusom i gubernator wojenny, Szeremetiew wobec komendanta M. S. O., rad. Schneidra wyraził się z jak największem uznaniem dla działalności Straży, W ślad za tem władze rosyjskie oświadczyły gotowość wspomagania Straży w pełnieniu ciężkich jej obowiązków. Oddano też Straży do rozporządzenia patrole wojskowe, których potrzeba w niejednym niestety wypadku okazywać się poczęta nieodzowną.

W dwa tygodnie po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie utworzono płatną milicję miejską. To znacznie ulżyło M. S. O. brzemienia obowiązków. Mogła ona odtąd poświęcić tem większą troskę nadzorowi sanitarnemu miasta, zagrożonego cholerą, następnie zaś opiece nad stosowaniem taryfy maksymalnej, pracy przy zakładaniu tanich kuchni, herbaciarni, utrzymywaniu porządku w sklepach miejskich itd.

Wobec zmniejszającego się stale zakresu działania przeprowadzono w grudniu 1914 reorganizację M. S. O. Liczba członków ograniczona została do 25 w każdej dzielnicy, tak, że cały korpus miejskiej M. S. O. składał się odtąd ze 160 osób. Pozostali członkowie otrzymali nowe szarfy, błękitne z wyhaftowanym napisem M. S. O. i cyfrą dzielnicy. Opaski miały obszewkę

amarantową, opaski zaś komendantów dzielnicowych ponadto złotą bortę. Naczelny komendant M. S. O. miał na swej opasce podwójną bortę złotą.

W historyi okupacyi Lwowa stanowi działalność M. S. O. kartę, na którą spoglądać możemy ze słuszną dumą.

TADEUSZ RUTOWSKI.

Sliczna ta biała, jak mleko, broda, z powagą i męskim prawdziwie aplombem zaokrąglająca rysy oblicza, które dzień po dniu przez długi szereg miesięcy wbijało się w pamięć Lwowa.

Padał na ową brodę blask jakiejś ogromnej dostojności. Ta zaś promieniała od skroni błyszczących światłem rozumu; z oczu, które gorzały niegasnącym ani na chwilę, wśród najtrudniejszych warunków żarem energii; z ust dobrem dla każdego rozchylających się słowem.

Prezydent Rutowski posiadał zaufanie i serca wszystkich. W tem wielkiem mieście, w którym nawet wojna nie mogła zniwelować wielorakości przekonań i poglądów, ani bujania ambicyi, tuzinkowych często, wszakże i szlachetnych nieraz — każdy był jego stronnikiem i chętnie pod jego garnął się komendę.

Dawniej — przed wojną — różnie bywało. Przewrotni i małoduszni nieraz o jego puklerz tępil swe rapiry. Gdzie broń zawodziła, puszczano trujące gazy, wytwarzano atmosferę,

ZAKŁADNICY:

król. stol. miasta Lwowa



Stanisław Boleścin



Stanisław Włodan



Stanisław Skowron



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej



Stanisław Jędrzej

3/9.



1914.

Nazwiska na odwrotnej stronie

NAZWISKA ZAKŁADNIKÓW:

Lewicki Bolesław.

Dr. Stesłowicz Władysław.

Ks. Dr. Szydelski Stefan.

Wczelak Józef.

Ks. Bocian Józef.

Dr. Hermak Julian.

Wojnarowski Paweł.

Zajączkowski Mikołaj.

Dr. Diamand Jakób.

Jonasz Ignacy (na tableaux mylnie podpisane
Rosner Ignacy).

Dr. Rabner Herman.

Weinreb Mikołaj.

Ks. Dawidowicz Jan.

Liskowacki Iwan.

Dr. Pawęski Lew.

Dr. Zawadowski Józef.

która miała go udusić. Przetrwał to wszystko Rutowski — jakim wysiłkiem rycerskiego animuszu, filozoficznej wyrozumiałości i ...nerwów, jego trzebaby zapytać.

Przyszedeł wielki moment, egzamin wobec historii. Strasznie surowy profesor! Nie okpisz go błagą tuzinkową, wykutemi na pamięć formułkami, ani tem, co ktoś tam podpowie. Musisz pokazać, co naprawdę umiesz.

Wrześniowy z r. 1914. egzamin odrazu postawił Rutowskiego wysoko.

Każde jego słowo podyktowane było wytrawnym rozumem i wielkiem sercem. W opuszczone, osłupiałe w swem przełęknięciu miasto, wetchnął napowrót życie: uczuło ono, że ma nad sobą opiekę, roztropną i zącą. I pod skrzydła tej opieki schroniło się, a zaufania jego nie spotkał zawód.

Rutowski, okazało się, rósł w miarę wielkości zadania. Umiał wzbudzić nie tylko otuchę u swoich, lecz także zapewnić sobie powagę i szacunek u tych, którzy przyszli. Bez przekładania dopiero, potrafił pierwszych nagiąć do karnego posłuchu, u drugich zaś zdobyć życzliwe traktowanie grodu, powierzonego siłą faktów jego pieczy. Umiał nadawać szacunek dla siebie, a w sobie dla miasta. Poważał go wysoko i naprawdę kulturalny Szeremetiew i niepozbawiony może zrozumienia, ale słaby hr. Bobrińskij, nawet rozwydrzony w swych czynowniczych impulsach Skałlon, dawał za wygranę, gdy czuł, że za jakąś sprawą ujmie się Rutow-

ski. Powstały stąd rozmaite wersye, usiłujące tłumaczyć oną u Rosyan powagą polskiego prezydenta. Mówiono nawet o darze przebiegłości, o rozmaitych sztuczkach dyplomatycznych, o zręcznem wyprowadzaniu w pole. Nie znali widocznie Rutowskiego ci, co ukuli te bajki, ani ci, co im wierzyli. Prezydent opatrnościowy nie był tak naiwny, by spekulować na drugich naiwność. Uważałby też sobie za ujmę posługiwanie się podstępem. Przeciwnie, ów respekt, jakiego nie mogli Rutowskiemu odmówić wielkorządcy rosyjscy, zawdzięczał on absolutnej szczerości swego postępowania. Miał odwagę mówienia prawdy i miał dar przekonywającej argumentacyi — innej broni nie używał.

Okazał się zaś nietylko mężem prawym, dyplomata i politykiem, lecz także organizatorem niepospolitym. Świetnie skoordynował pozostałe siły — na gruzach dawnego autoramentu. Zastał w istocie ruinę, zupełną ruinę, nic; nawet podwaliny, zasoby finansowe, były wyrwane. Z tej zaś nicości wywiódł budowę uporządkowanego życia, dał miastu możność prawie normalnej egzystencyi. I był strażnikiem tego gmachu nowego niestrudzonym, a czujnym, jak żóraw. Ilekroć co groziło, nie czekał, aż złe przyjdzie, uprzedzał je i prawie zawsze odpierał. Dopiero historyk przyszły na podstawie dokumentów ratuszowych będzie mógł zestawić to, co mogliśmy przeżyć, z tem, co przeżyliśmy istotnie.

Znał pana z siwą brodą Lwów literalnie cały. Był żywicielem tysięcy, doradcą wszystkich.

Nieskończone procesye przesuwały się dzień po dniu przez prezydyalny salon w ratuszu. Dla każdego znajdował wielki prezydent chwilę czasu i ciepłe słowo, a gdzie tylko była możliwość, za słowem szedł czyn pomocniczy. Dla wszystkich był na usługi, dla wszystkich czas miał. Dla siebie zdobywał go dopiero późną nocą, chociaż i ją niejednokrotnie zamącała troska o sprawy publiczne.

A już od rana korytarze, do których przypierało mieszkanie prywatne prezydenta, zapełniały się rzeszą pauperyzmu. Stali starcy ugięci wiekiem, kobiety w obszarpanem odzieniu z dziećmi na ręku i przy sobie — bezgraniczna nędza, której było zbyt pilno, by puszczać się na kilkudniową drogę podań o zapomogę, która podania miała wypisane w twarzach zwiędłych, w oczach zblakłych od głodu, kierujących się ku drzwiom prezydenckiego mieszkania, jak żeby stamtąd błysnąć im miała gwiazda zbawienia.

I nie zawiodło to nigdy. Około 10-tej drzwi otwierał sługa, a w drzwiach zabłyskała siwa broda i ukazywała się postać z ręką zapuszczoną w kieszeń marynarki. Ta dobra ręka! Ileż to ona razy wynurzyć się musiała, zanim pochód od mieszkania do kancelaryi prezydyalnej — kilkanaście zaledwie kroków — był ukończony. Każdym zaś ruchem coś w niej błysło: pół rubla, 30, 20 kopiejek, w miarę — no, tu już instynkt i przypadek rozstrzygał, w każdym jednakże razie znalazło się na łatanie na dzień

jeden znowu, uratowanie od niechybnej śmierci z głodu.

To też jak grom z jasnego nieba spadła na wszystkich d. 20. czerwca 1915 wiadomość, że prezydenta Rutowskiego, wraz z wiceprezydentami Stahlem i Schleicherem wywieziono do Rosyi. Obawialiśmy się tego już dawniej, a jednak nikt nie wierzył, by nawet Rosyanie zdołali wyrządzić taką krzywdę miastu.

Widziano ludzi, którym łzy puszczały się z oczu na wiadomość o nieszczęściu. Błogosławieństwo miasta poszło za niepożegnany; ono uprosi nam jeszcze łaskę, że tem goręcej będziemy go mogli przywitać, gdy już miną dni burzy dziejowej.

TRZEJ.

A. D. 1623 — opowiada Łoziński w swym Patrycyacie — w czasie strasznego moru, uciekał kto mógł, nikt nie dotrwał w demoralizacyi śmiertelnego strachu. Z wszystkich urzędów miejskich pozostał sam Kampian, a jako naczelnik nieszczęsnego miasta, spełniał z pogardą życia swój obowiązek.

A. D. 1914, na przełomie sierpnia i września stało się nieco inaczej: z senatu wielu pozostało, na ich zaś czele troisty *urbis columen* wszelkie pojedynkowe względy odkładając na bok, tem żarliwiej zaopiekował się miastem — *ob civem servatum*. W tem był prawdziwy *zelus et amor civitatis*. Tu miało się *pericula et*

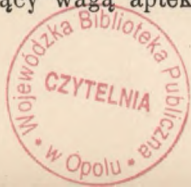
difficultates co chwila i na każdym kroku, a jednak *libere et benevole* wzięło się ich ciężar na swe barki i w trójkę dźwigało się go po bohatersku przez 10 niemal miesięcy *ex puro erga patriam suam amore*.

Więc w tych czasach najcięższych ujrzał nowego Kampiana Lwów w osobie Rutowskiego, a ten prawdziwy *eques auratus*, ten »konsul nadludzki«, znalazł godnych istotnie towarzyszy w osobach wiceprezydentów Stahla i Schleichera.

Przedziwnie zrządziła Opatrzność, wysuwając tych trzech na czoło miasta w czasie, gdy zdawało się, że wszystko już runęło i że tylko zagłada pozostaje ludności, rzuconej na łaszę zdobywcy. Ale właśnie takie czarne chwile nieraz wyłaniają z siebie jasność i tym razem stało się też nieinaczej, gdyż katastrofa wrzesniowa dozwoliła nam w całej pełni poznać wielkość charakteru i miarę zdolności tych, którzy stanęli u steru skołatanej nawy miejskiej.

Wielkiej postaci Rutowskiego już hołd oddany. Ale oddać też należy sprawiedliwość jego współpracownikom, dr. Stahlowi i dr. Schleicherowi, gdyż wszyscy ci Trzej uzupełniali się niejako nawzajem i doskonałej harmonii ich wysiłków zawdzięczać należy, że Lwów przetrwał okres okupacyjny, nie zaznawszy okropieństw, jakie czyhały nań zewsząd.

Więc nieocenionym okazał się w tym zespole dr. Stahl, urzędnik-rygorysta, wszystko wprzód odważający wagę aptekarską, aby, gdy



już ściśle było odważone, móżdż z czystem sumieniem rozrzucać pełną garścią — rozrzucać oczywiście nie na ślepo, w lewo i w prawo, lecz celowo, gdzie tego domagała się istotna potrzeba. Jedna zwłaszcza kwestya postawiła go szczególnie wysoko: szczęśliwe ocalenie miasta od zamarznięcia na śmierć. Widmo nadciągającej zimy przejmowało poważnym lękiem nawet ludzi, nieskłonnych do pesymizmu. Lwów ujrzał się pozbawiony węgla, a zachodziła obawa, że nie będzie sposobu na sprowadzenie dostatecznej ilości opału z lasów miejskich. Koń bowiem, jako że nieustannym podlegał rekwizycjom, stał się okazem rzadkim, trudno zaś wyobrazić sobie, by bez jego pomocy paliwo w takich olbrzymich masach dostać się mogło do miasta. Jakim cudem Stahl te trudności zdołał pokonać, trudno zrozumieć, ale faktem jest, że je pokonał. Nietylko, że opału nie zabrakło, lecz ponadto niezliczone rzesze pozbawione grosza otrzymywały go bezpłatnie.

W równej mierze zdumiewające dowody, że jeśli szczerze chce się, wszystko uczynić można, złożył dr. Schleicher w dziale aprowizacyi. Głowa to była niepospolita, włodarz przewidujący, skrzętny, a zapobiegliwy — i to Lwów ocaliło od głodu w pierwszych przynajmniej czasach po zajęciu miasta przez wojska rosyjskie, kiedy odcięci byliśmy od wszelkiego dowozu. Możliwość takiej sytuacji wciągnął był dr. Schleicher w rachubę na kilka już miesięcy przed wojną i kiedy moment krytyczny nadszedł, oka-

zało się, że spichrze Lwowa zawierają dość zasobów, by zaspokoić niemi potrzeby do chwili, gdy dowóz stanie się znowu możliwy. Apropowizacja miasta była i w dalszym ciągu bardzo utrudniona; przeważna część ludności wykolejona ze zwykłego trybu, pozbawiona przeważnie znowu sposobu zarobkowania, wyczerpana ekonomicznie, skazaną była na pomoc dobroczynności publicznej. Tej pomocy najbardziej potrzebowały zwłaszcza niezliczone zastępy inteligencji, składającej się głównie z urzędników, którzy pozostawieni bez płacy, nieporadni, nie wiedzieli, co poczną. Stąd ów imponujący szereg kuchni miejskich, które umożliwiły nieszczęśliwym jakoś przetrwać krytyczną zimę, doczekać wiosny, ostatecznie zaś powrotu chlebowodawcy, rządu austriackiego. Troska o zaopatrzenie wspomnianych zakładów, obok wielu innych zresztą, ciążyła na wicepr. Schleicherze. I znowu trzeba powołać się na urzędowe wykazy, a suche cyfry, wymowniej od najgorętszych pochwał ujawniają zasługi tego męża niepospolitej miary.

To tylko rzut najogólniejszy, ledwie słaby zarys działalności tryumwiratu; działalności rozległej niezmiernie, obejmującej cały obszar życia w mieście podczas okupacji rosyjskiej, a płynącej trzema strugami z czystych źródeł żarliwości obywatelskiej.

Mamy prawo nie tylko radować się, że ci przezacni, prawdziwie dostojni wielkością swych charakterów, że ci Trzej zdołali uratować mia-

sto; mamy ponadto w większej jeszcze mierze prawo chwalić się nimi i mamy obowiązek chlubić oną przekazać pamięci potomnych.

RATUSZ.

I.

Nil novi sub sole.

Ileż to razy złośliwość i ów znany specyalny, lwowski hyperkrytycyzm »wycierał sobie gębę» ratuszem! A przecież, gdy przyszła wielka katastrofa, przekonaliśmy się, że to jest serce miasta.

Powtórzyło się, czego świadkiem Lwów był tylekrotnie w czasie okrutnych nawałności, zwłaszcza w w. XVII.: jak dobra macierz, nigdy ratusz nie odbiegał swej dziatwy; jak kokosz pisklęta, garnał pod swe skrzydła obywatelstwo ciężko doświadczanej *gemmae civitatis*.

Pamiętamy przecie dobrze ów poranek wrześniowy, kiedy stolica kraju, oczy po krótkim i niespokojnym śnie przetarłszy, ujrzała się bez żadnej ochrony: bez wojska, bez rządu, bez tego policyanta nawet, który był tradycyjnym symbolem bezpieczeństwa. Dziś jeszcze włosy stają na głowie, gdy pomyślimy, na jakie byliśmy narażeni niebezpieczeństwo. Gdyby młoch miał dar szybkiej oryentacyi i gdyby losy miasta, dawnej trzymając się metody, puszczone na labirynt komitetów, nieszczęście byłoby nie do uniknięcia.

Lecz chwała Bogu, zanim ciemne żywioły zdołały łąb podnieść, już przemówił ratusz: »Ja tu jestem!« — a przemówił z taką powagą, stanowczością, że siłę poczuło się za jego słowami i w jednej chwili wszystkie obywatelsko czujące koła uznały za swój obowiązek, oddać mu się do rozporządzenia.

Ta szybkość decyzji, to energiczne zaznaczenie, iż obowiązek, acz niezmiernie ciężki i trudny, bezwarunkowo będzie spełniony, to jakby filar zasług ówczesnego ratusza.

A przypomnieć wypada, że i on powstał ze snu nie takim, jakim jeszcze dzień przedtem można go było widzieć. Powstał przerzedzony w swych szeregach i ogołocony ze środków materialnych, tylko nie ogołocony z tego, co było w nim prawdziwą tężyzną.

I taki oto ratusz stał się ratunkiem Lwowa w najkrytyczniejszym momencie.

Uratował nas od ciosów srogości wojennej; złagodził surowe linie przewrotu w stosunkach; na wszystkich polach życia zaznaczył się zbawienną inicjatywą. Wśród ogólnego rozbicia jedyną tworząc ostoję, a co kroku borykając się z nieuniknionymi trudnościami, był opiekunem w każdej potrzebie i żywicielem w dziesiątki tysięcy idących egzystencji, którym nagle grunt z pod nóg się usunął.

II.

Od wczesnego rana wrzało i kipiało na ratuszu. W czasach normalnych rozgraniczenie

kompetencji pomiędzy rządem i autonomią dozwalało naszej magistraturze miejskiej spokojnie, bez nerwowania się załatwiać swe czynności. Szło to wszystko utartą drogą; charakterystyczny dla biurokratyzmu »szymel« wcisnął się był i tutaj, jakkolwiek — przyznać to należy ku chlubie administracji gminnej — prowadzono z nim walkę i od czasu do czasu nie brakło prób zerwania łańcucha tej hydrze. Odkąd wszakże inwazyja wprowadziła nowy porządek rzeczy, mechaniczny system urzędowania, opartego na »priorach«, mocą faktu sam musiał wynieść się jak niepyszny. Miasto po raz pierwszy znalazło się w położeniu takim, w jakie je pchnęły wypadki wrześniowe r. 1914. Nie było czasu na długie deliberacye, na rozważkowywanie toku urzędowego *lege artis*; wypadło działać błyskawicznie, zdobyć się na samorzutną inicjatywę i na niewyczerpany zapas energii w miejsce kunsztownego mielenia paragrafów.

Wewnętrzna panika szarpane, w gruzach widząc instytucye, które do owej pory normowały tok życia, miasto poszło tylko za instynktem samozachowawczym, gdy zwróciło się ku ratuszowi. On jeden bowiem utrzymał się jako znak widomy, że przecież nie zostaliśmy wydani w zupełności na pastwę losu.

I tak zawiązał się ów jedyny w swoim rodzaju stosunek, jaki trwał przez cały czas inwazyi — wskreszenie dawnej familiarności, łączącej ratusz z ogółem. Magistrat stał się, jakby ojcem niezmiernie licznej rodziny, nieustannie

stroskanym o jej dolę, nadludzkie czyniącym wysiłki, aby to gniazdo rodzinne nie zmarniało z chłodu i głodu, więcej nawet, aby nie doznało uszczerbku w tem, co jest jego dobrem duchowem, co zdobyło sobie pracą pokoleń w dziedzinie od faworów czy gniewu losów niezawisłej...

Ale też patryarchalny stosunek rzucił na barki ratusza brzemień nad wszelki wyraz ciężkie. Miasto nasze nigdy nie mogło uważać się za bogate, dwa zaś lata ciągłego wyczekiwania wojny, następnie zaś jej wybuch, sprowadziły Lwów — powiedzmy to bez ogródek — na kij żebraczy. Setki i tysiące rodzin znalazły się bez środków do życia. Troską ciężką trapione ruszyło wszystko to, jak w dym, do ratusza.

Od początku okupacyi rosyjskiej ratusz był w ciągłym obleżeniu.

Dla utrzymania jakiego takiego porządku czuwała u wejścia do gmachu straż pompierów. Tłumy kwerulantów najczęściej miarkowały się same, ale bywały chwile, że ta straż, acz z bolem serca, energicznie zagradać musiała drogę zrozpaczonej nędzy i przypomnieć jej, że wśród setek i tysięcy, musi być zachowana pewna kolej, że nie mogą wszyscy docisnąć się naraz, bo w takim razie niczyjej sprawy nie sposób byłoby załatwić.

Różnorodność tego tłumu była ogromna. Widziało się tu ofiary skrajnego niedostatku, obok osób ze sfer średnio-zamożnych, a niezrządkiem zwracała na siebie uwagę nawet wy-

kwintność — i ta była w gruncie najbiedniejsza z pewnością, Owe np. dystyngowane panie jakie tam jawiły się, nieraz zrzuciłyby z siebie z rozkoszą chwytający za oczy szyk elegancyi, pozostałość z lepszych czasów, gdyby było za co sprawić sobie strój skromniejszy, który nie zakrawałby na ironię losu w zestawieniu razem z rzeszą mniej lub więcej obszarpanych.

Bieda do cna zdemokratyzowała w owym czasie nasze społeczeństwo. Nie zdołała jednak i ona zatrzeć pewnych różnic. Wśród cisnących się do ratusza petentów widziało się zgoła odmienne typy. Jednym patrzyło z nasrożonych oczu przeświadczenie, że skoro mustu ich zapędził, muszą zostać zaspokojeni; ci torowali sobie drogę łokciami i często gęsto ta brutalność naprawdę szybciej doprowadzała ich do celu, niż innych. Druga kategoria — to byli ludzie, którzy cierpliwie czekali swej kolei, lecz energicznie rozprawić się gotowi z każdym, ktoby ją naruszył. Trzecia wreszcie odmiana przeważnie rekrutowała się z inteligencyi, w tępej rezygnacyi zdającej się na łaskę losu, onieśmiałonej, że znaleźć się jej wypadło na tej drodze, a równocześnie stawiającej sobie ciągle przed oczyma ów fakt niezawodny, że tutaj jedyny ratunek.

Z głównego wejścia tłum rozpraszał się po gmachu, tworząc tu i ówdzie zbite gromadki. Bo ratusz rozdzielał zasiłki pieniężne, dawał asygnaty na bezpłatne obiady, obdarzał potrzebujących asygnatami na drzewo, w różnych

zresztą innych kłopotach był na usługi publiczności. Każdy z tych działów gdzieindziej miał swą dystrybucję i stosownie też rozdzielały się rzesze potrzebujących pomocy. Najsilniej okupowane były dziedziniec i północny korytarz III piętra, tam bowiem odczytywano wykaz osób, którym magistrat przyznał asygnaty na bezpłatny pobór drzewa.

Z trudem nieraz przeciskać się musieli urzędnicy przez owe skupione w oczekiwaniu grupy, nieraz też służba musiała dopiero formować szpalery.

Od czasu do czasu, zazwyczaj w towarzystwie urzędników, przesuwały się przez korytarze magistratu przy brzęku ostróg buńczuczne postacie oficerów rosyjskich. Z natury rzeczy bowiem pozostawał zarząd gminy w ścisłym kontakcie z władzami, warując jednak wobec nich swe stanowisko, jako również władza.

W takich, jak podczas inwazyi, opałach nigdy jeszcze chyba nie znajdował się za naszych czasów ratusz lwowski. Ale też nigdy nie był bliższy sercu miasta.

III.

Nie przytaczamy cyfr, które mogłyby na działalność ówczesnego ratusza lwowskiego rzucić wymowniejsze od wszelkich opisów światło. Taka dokładność wychodzi po za ramy naszego zadania. Cyfry to bardzo osobliwe: staczały się po pochyłości czasu, z przerażającą szybko-

ścią, a jednak lawina ich nie zdruzgotała miasta, lecz owszem utrzymała je przy życiu.

To wystarczy, że ratusz dowiódł możliwości cudów nawet w naszych czasach. Bo cudem wydać się chyba musi, co działał, w zdumienie wprowadzając olbrzymiami funduszami, jakie wydawał, aby, o ile możliwości, łagodzić niedolę mieszkańców.

Miastu istotnie pospieszył też istny cud z pomocą, ale cud o formach bardzo konkretnych i dzięki im właśnie tem skuteczniejszy. Źródła cudu znalazły się w energii, w organizacji i podziale pracy. Organ wykonawczy zarządu, magistrat, uległ znacznemu przez wyjazd wielu urzędników uszczupleniu. Ponieważ jednak pewne działy agend musiano zawiesić, luki nie dały się odczuć zbyt dotkliwie. Pozostali urzędnicy, ożywieni wysokiem poczuciem obowiązków, podyktowanem przez wyjątkową sytuację, uważali za punkt honoru wyteżać wszystkie swe siły dla wielkiego celu, jakim było umożliwienie miastu, by bez szwanku dotarło do portu normalnego znowu życia. Przyświecał im w tym względzie dyr. magistratu Bol. Ostrowski, jedna z owych twardych natur, co to jakby stworzone są, by najtrudniejsze położenie pokonywać zimną krwią, ścisłością pracy i wytrwaniem.

Taki mając aparat w ręku prezydium mogło być pewne, że jego inicjatywa, jego przedsiębiorczość, jego na ogromne rozmiary zakreślona akcja ratunkowa, nie osiedzie na mie-

liźnie. A nazwać należy bardzo szczęśliwem
zrządzeniem Opatrzności, iż w składzie swym pre-
zydyum ówczesne przedstawiało doskonale zhar-
monizowany zespół, którego nie zamącały żadne
tajone czy jawne antagonizmy, żadne rozbieżne
kierunki poglądów.

Rozdzielono pomiędzy siebie role, ale szło
się we wszystkim ręka w rękę. Wiceprezydenci
dr. Stahl i dr. Schleicher mieli swe specyalne
działy, wspólnie jednak z głową miasta prez.
Rutowskim oddawali całą swą skrzętność, za-
pobiegliwość, jako też znajomość stosunków
i potrzeb na usługi miasta, by sprostać za-
daniu.

Spiritus movens tego tryumwiratu był oczy-
wiście dr. Rutowski, ten wielki duch ratusza
lwowskiego w czasie okupacyi.

W ratuszu zresztą napotykało się za dni
inwazyi sporo ech nawiązujących przeszłość do
nowej doby. Pozostały te same odrapane z ze-
wnątrz ściany, których nie było już czasu od-
tynkować; te same wydreptane schody prowa-
dziły na piętra, a kiedy sprawa zapędziła kogo
do prezydyum, uśmiechały się don pocziwe
i tak powszechnie, jak muzyka przeszłości,
znane sumiaste wąsy typowo szlacheckiej twa-
rzy p. Muzyki, — podobnie jak z powrotem
żegnała nas w bramie niby łabędzia pieśń przed-
wojennego okresu potężna postać portyera Ła-
będzia.

CHARITAS.

I.

Życie Lwowa w czasie inwazyi dowiodło że nasza publiczność daleka sobkostwu. Dobroczynność prywatna nie tylko nie podupadła, lecz owszem wzmogła się znacznie w miarę wzrostu zapotrzebowania. Nie można oczywiście wymagać, aby wszyscy kierowali się w tej mierze pobudkami absolutnie idealnemi. Byli jednak tacy i było ich sporo. Większość zaś czyniła dobrze, choć miała przytem pewne »arrieres pensees«. MoŜnaby je streścić w zdaniu: »Chcę dopomóc innym, bo anuŜ jutro sam znajdę się w podobnem połoŜeniu? Wspomagając biedniejszych odemnie, mogę liczyć na to, że w razie potrzeby sam doznam pomocy«. Specjalna w swoim rodzaju asekuracya, reŕleks wrodzonej, acz niezawsze nawet ŕwiadomej siebie, przezorności.

U innych znowu akty dobroczynne były rodzajem wotum błagalnego. Tym takŜe daleko do idealnej, pod względem etycznym, dobroczynności, jaką w niebiańskiej Charitas widzimy odzwierciedloną. Ale słaba natura ludzka nie moŜe oprzeć się pokusie wchodzenia z Panem Bogiem w targi. — Przodkowie nasi pod tym względem wielkich niekiedy dokonywali rzeczy. »Panie BoŜe, westchnął np. ciężką chorobą nawiedzony magnat, podŕwignij mnie z niemocy, a zbuduję szpital z wieczystą fun-



Pierwsza patrol kozacka w Rynku d. 3/IX. 1914 r



Biwak na wałach Gubernatorskich
w dniach przemarszu armii rosyjskiej przez Lwów

dacyą na stołózek«. I wyzdrowiawszy, oczywiście ślubu dotrzymał. Inny znowu na wojnę wyruszając, zapisywał krocie na budowę kościoła, aby ofiarą tą wyjednać sobie opiekę Pana w ciężkim terminie.

Jakże więc można matce lub żonie, które swych najdroższych mają na polu walki, dziwić się, że same wyszukują różne sposobności do spełnienia dobrych uczynków w tym celu by Bóg zmiłował się i ocalił im mężów i synów? Niezawodnie, że ich posty, ich jałmużny obfite, ich wysługiwanie się chorym, pocieszanie upadłych na duchu, mają także podłoże do pewnego stopnia egoistyczne, chyba jednakowoż Pan Bóg nie byłby Bogiem, gdyby i takiej ofiarności wytykał jej niedoskonałość.

Nie bawmy się zresztą w dociekania filozoficzne. Tu idzie przedewszystkiem o rezultat a ten przedstawia się dla ludności naszego miasta bardzo zaszczytnie. Czyniliśmy dla ulżenia nędzy i dawniej, za lepszych czasów, więcej właściwie, aniżeli stać nas było; to jednak, co czyniło się w czasie inwazyi, sięgało już w wielu wypadkach granic abnegacyi.

Dodajmy zaraz: abnegacyi czasem niedość rozumnej. Bo i miłosierdzie powinno zachować pewien krytycyzm. Nigdzie nie brak hultajów, którzy patrzą tylko, jakby wyzyskać cudzą dobroć. Wzmóżona dobroczynność prywatna pomnożyła była szeregi okpiszów. Uwijało się po mieście mnóstwo wyrzutków, dybiących, nieraz w sposób bardzo pomysłowy na skwapli-

wość serc dobrych. Nawet proste żebractwo zwąchało już, że nierównie łatwiej, niż do niedawna, zbierać grosiki i stosownie też do tego urządziło się, by potem zdobytych puszczać w norach ostatniego rzędu za »harę« z denaturowanego spirytusu przepędzoną.

Ale należało z tej przyczyny ludziom odradzać miłosierdzia? Jeżeli nawet w dziewięciu wypadkach rozmijało się ono z celem, to podawszy w dziesiątym rękę prawdziwej potrzebie, spełniło czyn niejednokrotnie równy rzucaeniu deski ocalenia tonącym.

II.

Lwowu czyniono aż zbyt często zarzut, iż pozwala sobie na różne zbytki. Zbudowano kolej elektryczną, która dała impuls szybkiemu rozrostowi miasta — zbytek; dano miastu wodociągi, pierwszorzędny, i jak doświadczenie okazało, najskuteczniejszy oręż w walce z epidemiami — zbytek; wzniósł się wspaniały gmach teatralny, by sztuka nie »skapała« w zatęchłej ruderze — zbytek! A ponieważ zły przykład znajduje naśladowców, przeto i ludność, patrząc, jak to zarząd miasta wyprawia zbytki, pozwoliła sobie na niejedną, mniej rażącą od przytoczonych, a przede wszystkim na zbytek — miłosierdzia.

Nie osłabiło to wrażliwości komuny wobec nędzy ludzkiej, nie paraliżowało bynajmniej owszem wspomagało znakomicie oficjalną filan-

tropię miejską. Szereg stowarzyszeń dobroczynnych pracował nad tem, by ulżyć miejskiemu departamentowi dobroczynności, a sam wyszukując sobie pole działania, docierał tam, dokąd niejednokrotnie byłaby nie dotarła munificencya gminy.

Pomimo bardzo często spotykanego zabarwienia klerykalnego, stowarzyszenia dobroczynne we Lwowie miały zawsze za cel główny nie zelotyzm, lecz praktykę. Ustrzegły się też od wybujałości, jakie gdzieindziej oszpeciły niwę filantropii. U nas nie było towarzystw w guscie Czarnego Murzynka, któreby grosz odjęty nieraz przez ofiarodawcę od ust, składały na wykupywanie Botokudów lub Hotentotów z niewoli, ani też w rodzaju Złotej Miry, gromadzącej fundusze dla ratowania ofiar — najczęściej własnej lekkomyślności — ze stanu szlacheckiego i magnateryi. Nasze towarzystwa dobroczynne wyteęzały swą działalność w kierunku istotnych potrzeb i nie sięgała ona przeważnie poza obręb rogatek miejskich. Brzmi to może jakby zarzut, ale nim nie jest. Jeżeli idzie o dobroczynność istotną, jeżeli nie ma być ona tylko pięknym gestem i frazesem, to musi wyznaczyć sobie możliwie ciasne granice, takie mianowicie, by naprawdę można je objąć.

Przeglądając regestr towarzystw o cechach wyłącznie, lub choćby częściowo filantropijnych, spotykamy jedno tylko, którego agendy z natury rzeczy nie zamknęły się w obrębie Lwowa: Towarzystwo Dziennikarzy Polskich. Z corocz-

nich sprawozdań dostatecznie wiadomo, jak świetną drogą poszedł był rozwój tej instytucji, mającej zapewniać steranym pracownikom pióra emeryturę, a wdowom i sierotom po nich zaopatrzenie.

Skutkiem wydarzeń wojennych naczelny Wydział Towarzystwa nie utrzymał się w komplecie. Agendy prezesowskie sprawował jedyny pozostały na miejscu członek prezydium, wiceprezes Aleksander Milski. Z członków Wydziału nie opuścili miasta: E. Kolbuszowski, Bol. Lewicki, L. Szenderowicz i H. Wierzyński. Dzięki staraniom tego kadłubowego Wydziału w wypłacie pensji miesięcznych wdowom i sierotom przebywającym we Lwowie, nie zaszła żadna przerwa.

Bez uszczerbku przeżył ciężkie czasy również Instytut ubogich chrześcijan we Lwowie, utrzymujący przeszło 300 starców. Opiekę wykonywali nad nim w dalszym ciągu rad. dr. E. Philip, ks. Edward Kiernigg i dyr. Bol. Lewicki.

Tak samo Towarz. Miłosierdzia »Opatrzność«, którego zarząd stanowili: Ks. Gorazdowski, dyr. Bolesław Lewicki i pp. Jadwiga Łozińska, Michalina Michalska, Leonowa hr. Pinińska, ze zdwojoną nawet gorliwością oddawał się zbożnej swej pracy.

Burzy wojennej stawiały niemniej skutecznie czoło: Związek katol. Towarzystw dobroczynnych z Dr. Thulliem i ks. Stanisławem Szydelskim na czele; Towarzystwo Dam do-

broczynności we Lwowie pod przewodem p. Róży Łukasiewiczowej; Stowarzyszenie Pracy kobiet, Towarzystwo św. Wincentego a Paulo (mężczyzn), któremu przewodniczy ks. Stefan Szydelski, Przytulisko św. Józefa, utrzymujące 34 dziewcząt, Zakład sierót św. Kazimierza, Towarzystwo Rada sieroca, z radcą W. Włodzimirskim na czele — i niezawodnie wiele innych jeszcze, które wymknęły się nam tu z pod uwagi.

W czasie od września r. 1914. Lwów oduczył się niejednej rzeczy, jednak, co ku jego chlubie stwierdzić tu należy, nie oduczył się dobroczynności.

III.

Zarząd miasta nigdy nie skąpił pomocy biednym. W ostatnim przed wojną roku wydatek na ten cel doszedł był prawie do 600.000 koron, a więc pochłonał bez mała dziesiątą część 7 milionowego budżetu.

W czasie inwazyi akcja administracyi gminnej cele filantropijne wysunęła na czoło spraw wszystkich, ludność bowiem znalazła się w położeniu wyjątkowem, na które nie była przygotowana. Jak od słońca rozbiegały się promienie dobroczynności publicznej naokół, cały gród obejmując złotą swą siatką.

I pokazało się, jak ważną instytucję stworzono na kilka lat przed wojną w organizacyi komisji ubogich. Bez ich współdziałania sku-

teczna, z celem nie rozmiijająca się, pomoc byłaby chyba niemożliwa. Opiekunowie ubogich, każdy w swym rejonie, obywatelskim kierując się uczuciem obowiązku, zbierali materiały dat i spostrzeżeń, który to materiał służył potem miastu za podstawę przy rozdawnictwie wsparć i zapomóg, w rozmaitych formach, jak obiady bezpłatne, zasiłki w drzewie, zapomogi w wiktuałach, wreszcie wsparcia w gotówce. Miastu oddano pod opiekę 8 komisij ubogich. W I. przewodniczył p. prof. dr. Thullie Maks. (zast. p. Wierzbowski Stan.); w II. p. Wysokiński Al. (zast. p. Pichler K.); w III. p. Grodecki J. (zast. p. Toczyski J.); w IV. p. Kirschner Józ. (zast. p. Korman Kaz.); w V. p. Winkler Maks. (zast. p. Mann Józ.); w VI. rad. p. Włodzimirski Wal. (zast. p. Glazer P.); w VII. p. Więckowski Paulin (zast. Kiełb. Zyg.); w VIII. p. Kassaraba Jan (zast. Michniewicz Tad.). Liczba członków w każdej komisji wahała się pomiędzy 10 a 30; minimum przypadało na komisję IV., maximum na komisję VII.

Urząd opiekuna ubogich jest równie odpowiedzialny, jak ciężki zwłaszcza w czasach tak wyjątkowych, jak był nim okres okupacji. Już samo prowadzenie dokładnej ewidencji ubogich i badanie ich stosunków nastroczało sporo trudu, sprawiało zaś nawet przykrości. Odróżnianie rozmaitych stopni biedy, — konieczne, by najubożsi właśnie nie pozostali bez pomocy, nie było rzeczą łatwą i u ludzi skrupulatnych stawało się nieraz powodem walk wewnętrz-

nych między litością a względami wyższymi. O wyniku takiej walki decydował indywidualizm: jedni okazywali się mięksi, drudzy twardsi; tylko o niewielu słyszało się, że potrafiały być nawet bezwzględnyymi.

Poza tą instytucją czysto obywatelską pracował osobny w magistracie departament spraw dobroczynnych. Na jego czele stanął od grudnia r. 1914 jak najchlubniej znany w szerokich kołach naszego miasta radca Jan Marci-chowski. W departamencie tym centralizowała się cała opieka nad ubogimi i zakładami dobroczynnymi, a głos powszechny nie miał dość słów uznania dla gorliwości, z jaką pracowało się tam »pro publico bono«.

Co do miejskich instytucji dobroczynnych, to w przeważnej liczbie pozostały one nie-
tknięte. Nie zaznały okropieństw wojennego czasu ani trzy miejskie Zakłady dla nieuleczalnych (fundacyi Bilińskich, jakoteż miejskie przy ul. Bilińskiego 9 i przy ul. Zborowskiej 1), ani tak doniosłą rolę wobec nędzy warstw najniższych odgrywające przytulisko dla mężczyzn, kobiet i dzieci (przy ul. Kleparowskiej l. 15), Schron. starców chrześcijan (fundowany w r. 1794, a w życie wprowadzony w r. 1905 i mający za prezesa każdego naczelnego arcybiskupa), jakoteż miejski zakład mieszczan lwowskich, kalek św. Łazarza, sięgający początkami swymi w. XVII., wyszły obronną z opresji onych czasów ręką.

Istniały też w dalszym ciągu 4 ochronki

miejskie, oddane pod zarząd Tow. prywatnego z każdorocznym prezydentem miasta na czele, a subwencyonowane przez miasto sumą 13.000 kor. w gotówce i 1040 kor. w drzewie.

Zakład sierót miejskich zaskoczyła wichura wojenna w chwili właśnie, gdy już niedługo miał przenieść się do nowej sadyby przygotowywanej dlań na wzgórzach wuleckich, na gruntach, nabytych od prez. Dylewskiego i p. Kropińskiej, w okolicy szkoły kadeckiej. Dla zakładu wzniesiono tam cały kompleks budynków, mianowicie: budynek dla sierót w wieku szkolnym; budynek dla sierót od urodzenia do wieku szkolnego; osobne skrzydła dla dziatwy izraelskiej; osobny budynek kwarantanowy (unikat w tego rodzaju zakładach w całej Europie) i osobny budynek administracyjny. Nadto specjalne skrzydło wzniesić się miało dla pomieszczenia stypendyuszy Fundacyi Golejewskiej-Czarkowskiej. Budynki te przeważnie stały już pod dachem, brak im było tylko urządzenia wewnętrznego; któż jednak przewidzieć zdoła, kiedy będą wykończone? Sieroty miejskie przebywały nadal w dawnym gmachu zakładu przy ul. Zielonej. Dyr. Zakładu p. T. Wunsch i cały personal opiekuńczy pozostali na posterunkach.

Tylko głuchoniemi i ciemni padli poniekąd ofiarą wojny — zakłady ich bowiem przemieniono na lazarety. Do instytucyi miejskich dobroczynnych, które zamknięto, przybyły w styczniu r. 1914 także kąpiele ludowe. Musiano je zamknąć z braku opału.

Główny dochód na pokrycie kosztów dobroczynności czerpało miasto z opłaty od widowisk wszelkiego rodzaju. Podatek ten nawet w tak niezmiernie ciężkim roku 1914 przyniósł jednak 116.000 koron, z czego na teatr miejski przypadła suma 14.000 koron. W pierwszych miesiącach 1915 r. mimo wszystko, wydobywało miasto ze wspomnianego źródła przeciętnie 3.000 kor. tygodniowo. Było to niewiele, było jednak coś przecie, a wobec małej liczby źródeł, z których dochód płynął do kas miasta, każdy grosz w rubryce »habet« zapisywało się z radością i zadowoleniem.

TANIE KUCHNIE.

I.

Nigdy chyba nie odmawiał zwykły Lwówianin słów modlitwy Pańskiej: »Chleba naszego powszedniego« nabożniej, z większem przejęciem, jak od chwili, gdy ni stąd ni zowąd, w ciągu dni kilku, które wielkimi głoskami zapisze historia, ujrzał się pozbawionym podstaw swej egzystencji.

Bo kimże był ów »zwykły Lwówianin« — jeśli pospólstwo pozostawimy na boku? Z małymi wyjątkami — urzędnikiem. W dobie autonomicznej, kiedy siłami krajowemi zaczęto obsadzać posterunki rządowe, Lwów jako stolica kraju, a więc siedziba władz jego centralnych, coraz bardziej przybierał charakter miasta u-

rzędniczego. Słaby liczebnie stan kupiecki, rzemieślniczy, przemysłowy popadał z roku na rok w mniejszość wobec wzrastającej nieustannie masy urzędników państwowych, krajowych, gminnych, a potem i prywatnych. Jeśli też kto wspomniał o »zwykłym Lwowianinie«, to z pewnością nie miał na myśli ani p. Szkowrona, ani p. Demetra, ani p. Tabaczyńskiego i t. d. tylko pierwszego lepszego urzędnika. Nawet dawne rody mieszczańskie, które — zdawałoby się — powinny były najsilniej oddziaływać na charakter Lwowa, straciły wpływ ten zupełnie, a ich Okopy świętej Trójcy, Strzelnica, milczkiem zgodzić się musiała na supremacyę »urzędnikieryi«.

Tem większą dla Lwiego grodu katastrofą stały się wydarzenia wrześniowe. Ow, jak go nazwaliśmy, »zwykły Lwowianin«, zatem cała masa inteligencji, rozrosłej nadmiernie, lecz bardzo słabej pod względem ekonomicznym, stanęła wobec widma głodu.

Na szczęście, zanim urzędnicy wyczerpali skromne zapasy, tj. wypłaconą im jednomiesięczną pensyę, zjawiała się dzięki Zarządowi miasta deska ratunkowa, czyli — zstąpmy z koturnów — tania kuchnia. Ta taniość nb. pomyślana była odrazu... eufemistycznie, tz. inicjatorzy z góry byli przygotowani, że płacących znajdzie się mało, że prawie ich nie będzie, że więc obiady w zasadzie wydawać przyjdzie za darmo. Ale trudno nawet było inaczej układać sobie, jeśli akcja miała istotnie przynieść

pomoc. Chociaż bowiem cena 20 h. za zwykły, lub 40 h. za lepszy obiad była chyba minimalnie obliczona i raczej miała dawać potrzebującym satysfakcję, że coś przecie płacą, niż pokrywać koszty, to jednak rodzina z kilku składająca się osób, a od dłuższego czasu pozbawiona wszelkich wpływów pieniężnych, nie mogłaby była pozwolić sobie na zbytek nawet takiej satysfakcji.

Instytucja tanich kuchni podjęła śmiałą próbę rozwiązania kwestyi głodowej. Do pomyślnego wyniku tej próby przyczyniły się głównie dwa momenty. Zapobiegliwej, przewidującej na daleką metę, gospodarce aprowizacyjnej wiceprez. Schleichera mieliśmy do zawdzięczenia, iż w owym krytycznym czasie Zarząd miasta nie potrzebował łamać sobie głowy nad zdobyciem odpowiedniej ilości prowiantów, zasoby ich bowiem miał nagromadzone. Drugim czynnikiem pomyślnym była okoliczność, że już przedtem inicjatywa prywatna wskazała i wypróbowała drogę, na jaką skierować się należało.

Zanim bowiem nadeszły wielkie zdarzenia, w mieście naszym istniało kilka »tanich kuchni«, utrzymywanych wysiłkiem dobroczynności.

Zaraz zaś nazajutrz, po ogłoszeniu mobilizacyi (zarządzonej d. 28. lipca 1914), zwołały panie nasze wiec kobiet i na nim to zapadła między innymi uchwała, by zająć się rodzinami powołanych pod broń. W wykonaniu tej

uchwały powstała, obok założonych dawniej dla ulżenia nędzy, tania kuchnia przy ul. Ossolińskich l. 11. Owa kuchnia, jak niemniej wznowione kuchnie przy ul. Gródeckiej i Zamarstynowskiej, okazały się prawdziwym dla wielu dobrodziejstwem, a jako próba wypadły znakomicie. Całemu jednak ogromowi zadania podołać, było dla nich niepodobieństwem.

Po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie prezydent dr. Rutowski, dobrze świadom położenia, zaprosił do siebie kierowniczkę owej kuchni, mianowicie pp. Argasińską, Dulębiankę, M. Gostyńską, Hoserową i Łomnicką — oświadczył im, że uznaje praktyczną wartość tego typu pomocy, pragnie, by kuchni podobnych powstało więcej i upraszał uczestniczki zebrania o pomoc w tym kierunku. Wtedy też powierzono p. Dulębiance sekretaryat tego działu, zachowany z niezmiernym dla sprawy pożytkiem do końca w jej ręku. Na drugiem posiedzeniu wspomnianego komitetu wpłynęły już na ręce prezydenta odpowiednie wnioski. Na przewlekłe obrady nie była pora. Dzięki energii dr. Rutowskiego bezpośrednio po myśli przyszło wykonanie. Założono pierwsze kuchnie dla proletaryatu; przyjęto jako zasadę, że każda dzielnica otrzyma osobno swoją kuchnię, przyczem dawniejsze o podobnych celach zakłady zostały reaktywowane.

W dalszym rozwoju akcji okazała się konieczność zakładania osobnych kuchni dla inteligencji. Pierwsza kuchnia tego typu powstała

w gmachu »Sokoła«, pod kierownictwem p. Strzałkowskiej. Próba wypadła nadzwyczaj zachęcająco, to też, prezydent Rutowski nie szczędził funduszków, by przez kreowanie coraz nowych kuchni dla inteligencji ulżyć przykrej doli tego stanu. Powstały niebawem: nowa kuchnia w Kole lit.-art. pod zarządem p. Wolfstalowej, w Sokole II., w Bursie im. Boberskiej, im. Kościuszki, kuchnia centralna przy pl. św. Ducha itd. itd. Imponujący ów szereg zamknęła kuchnia przy ul. Królewskiej, założona w grudniu 1914 i oddana pod zarząd SS. Felicyanek. Była ona 47-mą z rzędu. Dopiero po osiągnięciu tej maksymalnej cyfry wiceprez. Schleicher, dzieła tego znakomity zawiadowca oświadczył, że dalej miasto pójść nie może.

Niektóre kuchnie wyspecjalizowały się, jak kuchnia w Kole dla literatów i artystów, przy ul. św. Jacka 16 dla młodzieży żeńskiej, profesorska pod zarządem SS. Nazaretanek przy ul. Unii Lubelskiej, kuchnia drukarzy przy ul. Piekarskiej i inne.

Zaznaczyć w końcu wypada, że ludnością izraelską zaopiekowało się przełożenstwo Zboru w osobie dr. Jakóba Diamanda, częścią z pomocą własnych funduszków, częścią zaś dzięki subwencjami ze strony miasta.

II.

Ż Tanią kuchnią zżył się Lwów bardzo prędko, bo zmusiła go do tego konieczność. Z początku — choć przez czas bardzo krótki,

miano pewne skrupuły. Jakże wypada urzędnikowi tej a tej klasy rangi jeść obiad za szóstaka, a choćby i za dwa szóstaki, gorzej jeszcze — dostawać go za darmo! Wszakże konieczność — »dura lex«; gdy bieda przyparła, trzeba było zrzucić pychę z serca i bez ceremonii zasiąść do wspólnego stołu lub kogoś z rodziny posłać do Taniej kuchni z menażkami po obiad. Kilka dni wystarczyło, by doskonale pogodziły się w wielkiej jadalni rangi wyższe z niższymi, ludzie różnych zawodów, stronnicy różnych partyi; potworzyły się grupy i grupki lgnących do siebie, a pozostających jedna z drugą w przykładowej harmonii. Maksymie Sancho Pansy, że najzgodniej żyją z sobą ludzie, którym nasycić się dozwolono, mogła Tania kuchnia wystawić atest najzupełniejszej prawdziwości.

Kuchnie w Sokole, Kole literackiem, przy ul. Teatralnej itd. znalazły licznych historyografów i barwny ich obraz niejednokrotnie przesunął się przez szpalty pism lwowskich z owego okresu. Aby wszakże w tych zapiskach pozostał również wizerunek takiej gromadnej jadalni, podejmującej swych gości sumptem miasta, poświęcimy tu wspomnienie najmłodszej z ich rzędu: kuchni przy ul. Królewskiej.

Znalazła ona wyborne pomieszczenie w lokalu Domu akademickiego fund. Hermanów. Dół budynku zajęła sklepiona sala, przypominająca poniekąd refektarze klasztorne, przestronna i bardzo jasna, zwłaszcza w porze

obiadowej, właśnie bowiem wtedy wpada do niej całemi snopami światło słońca. W sali tej wygodnie mieścić się może 300—400 osób. Tuż do sali przylega kuchnia odpowiednio obszerna; dobudowano do niej później drugą, nieodzowną wobec ogromnej liczby stołowników, która tu się była ściągnęła.

Kuchnie miały w swym zarządzie Siostry Felicjanki pod kierownictwem przełożonej S. Rafaeli i S. Natalji. Trudno znaleźć dość słów uznania dla ich ofiarnej pracy. Zaprzętała ona skrzątnie mniszki dzień cały. Już wczesnym rankiem rozpoczynał się w kuchni ruch, zrazu przygotowawczej tylko natury, później gorączkowy, coraz przyspieszający swe tempo w miarę zbliżania się południa. O godzinie 12 obiad był gotów. Korytarze budynku zapełniali ci, którzy zgłaszali się, aby zabrać posiłek do domu. Podane próżne menażki przechodziły do kuchni i wracały szybko, już napełnione, z dokładką chleba. Nie skąpiły go zaś Siostry, dobrze świadome roli, jaką ów »grunt pożywienia« odgrywał przy skromnym obiedzie.

Rozdawnictwo zorganizowane było wprost znakomicie: odbywało się bardzo dokładnie i z możliwym pospiechem, tak, że w przeciągu godziny obsłużonych bywało kilkaset partyi w największym porządku, bez ambarasu, zgiełku, wrzawy...

O godzinie pierwszej stawała sala otworem, Czekały schludnie nakryte stoły, przyozdobione nawet i tu ówdzie kwiatem w do-

niczce, obstawione krzesłami. Schodzili się ci, którzy woleli na miejscu spożywać obiad: luzaki i rodziny całe i większe grupy. Każdy zasiadał, gdzie znalazło się miejsce wolne. Siostry skwapliwie podawały nakrycie i posiłek, po którego spożyciu, gość podziękowawszy Panu Bogu i swym dobrotliwym żywicielkom, wychodził, aby opróżnić miejsce nowym przybyszom.

Około godziny 3 popołudniu wszyscy już zjedli, sala opustoszała, ale dla Sióstr oznaczało to początek nowej kampanii. Trzeba było teraz po przejściu tylu osób (ogólna liczba żywionych wynosiła ponad 1500) zrobić porządek, pomyć naczynie kuchenne i stołowe itd. itd. A czy ty próbowałaś kiedy, czytelniku swych nerwów jako... pomywacz? Co znający, choćby z widzenia, woleliby całą zastawę raczej... połknąć, niż ją umyć! Pomyśleć: ile to setek talerzy, łyżek, noży, widelców, jakie legiony baniaków, rondli, brytwanek miała np. Kuchnia przy ul. Królewskiej do umycia!

Siostry Felicyanki jednak, jako, że idea miłości bliźniego poprostu wżarła się im w serce, nie tylko z rezygnacją, owszem radośnie pełniły ciężkie swe obowiązki. Dnia koło dobiega, kresu, a one jeszcze ciągle przy pracy i do późnej nocy nie był dany spoczynek ich zacnym rękom. Raz trzeba pozawijać kilka tysięcy gołąbków, innym razem ulepić... całe armie pierogów: zawsze znalazło się coś takiego, co za-wczasu przygotowane być musiało, by nazajutrz można było sprostać zadaniu.



Jeńcy austriaccy we Lwowie po bitwie pod Gródkiem



Kozak poi konia w studni w Rynku

Niemalą pomocą dla przeznaczonych Sióstr okazała się nieustanna, zapobiegliwa opieka, jakiej doznawała Tania kuchnia ze strony członka Straży obywatelskiej, p. Tadeusza Tyca. Miał on wprawdzie sporo innych spraw na głowie, np. ochronki, »Ciepły kącik« przy ul. Pola, inwalidów, opiekę ubogich; kawiarnia »Sztuka« w pierwszej fazie jej istnienia miała mu także sporo do zawdzięczenia; ale jakby od natury był wyposażony w 10 par rąk, 20 par nóg i 48 godzin czasu na dobę, wszystkiemu jakoś dawał radę. Przedewszystkiem zaś Taniej kuchni poświęcał swe usługi, wyręczając Siostry w niejednym. Był to jakby minister spraw zewnętrznych Kuchni przy ul. Królewskiej i nie jej jednej tylko, nb. obrotniejszy i obdarzony szczęśliwszą ręką, niż niejeden z piastunów podobego stanowiska w polityce.

III.

Gdy powstawać poczęły tanie kuchnie, wielki opiekun biednych, prezydent Rutowski, uznając konieczność ratowania rzemieślników w tym ciężkim terminie, polecił naczelnikowi Izby rękodzielniczej r. Ohlyemu, by założył kuchnię taką również dla rodzin rzemieślniczych. Pomieszczono ją w lokalnościach Strzelnicy miejskiej i tam też istniała od 5. listopada 1914.

Radować się musiał, spoglądając oczyma swego biustu duch śp. Michalskiego, gdy w pięknej sali Towarzystwa Strzeleckiego, niegdyś roz-

brzmiewającej wrzawą zebranych towarzyskich i zabaw, gwarno znów było i rojno codziennie o południowej porze, acz całkiem inny ton zawitał do onego przybytku. Już nie uciecha miłej konfraternii sprawowała rządy w pałacyku pod godłem złotego kura. Szlachetniejsza od niej pani ujęła berło królewskie. Na imię miała Miłosierdzie. Zamiast hucznych toastów i skocznej muzyki, słyszało się tu brzęk łyżek i talerzy; do stołów zasiadała długimi rzędami rzesza biedaków, dla których obiad ów był najważniejszym niewątpliwie w ciągu dnia posiłkiem, — obiad nie wykwintny, ale zdrowy, podany ręką życzliwą, bez upokarzającego gestu, okraszony nietylko kuchenną przyprawą, lecz często gęsto także ciepłym słowem pocieszenia.

Strzelnica nasza, choć nieraz ciosało się jej kołki na łbie w ferworze partyjnym, ma wiele wspomnień chlubnych w swej historii. To jednak, co za inwazyi działo się w jej gnieździe, pod jej egidą, stanowi niewątpliwie jeden z momentów najchlubniejszych.

Kuchnię na Strzelnicy stworzyły i utrzymywały w ruchu różne czynniki. Łatwo wymówić słowo »kuchnia«, w praktyce wszakże przedstawia ono sumę ciężkiej pracy. A jeśli idzie o kuchnię, która w samych zaraz początkach wykarmić musiała po 1000 osób, później zaś wykarmiała ich ponad 2000, — no, to padam do nóg! Tu już żadna męska głowa nie poradzi, tu już potrzeba kobiecej skrzętności

i pracowitości. Te znalazły się też, jakby z pod ziemi wyrosły. Na oczekaniu powstał komitet złożony z pań, których działalność rozciągała się specjalnie w zakresie życia warstw rzemieślniczych, które więc już i pierwiej temu działowi życia publicznego poświęcały niemało trudu. Nie odmówiła swego udziału p. Dementowa Michałowa, ani p. Getritzowa, Janowiczowa, Krzyszkowska, Michalska, Ostaszewska-Barańska, a do pomocy im oddało się na usługi kilkanaście panien, cór mieszczańskich, ofiarując cały zapał młodości i pocziwych serduszek. Rzecz jasna, że sprawa złożona w tyle przeznaczonych rączek weszła odrazu na tory jak najlepsze, zwłaszcza, że nie zapał gruszek w popiele także komitet panów, członków Strzelnicy, pod przewodem p. Ohlyego.

Ze strony pań wspomnianych była to ofiarność wielka. Każda posiadała przecie własne ognisko, własną rodzinę i czas ofiarowany Strzelnicy wykładać musiała — jeśli wolno tego słowa użyć — sama sobie i swoim. Ale odżył tu duch dawnych mieszczanek lwowskich, które chlubę swoją stąd czerpały, iż nietylko były osłodą mężom, najlepszymi matkami dziatek, a »przedziwnościami rodzaju swego« w krasie lat dziewiczych, lecz także miłowały gród ojczysty po Bogu i Rzeczypospolitej nadewszystko, nie skapiąc dlań ofiar.

I tutaj też, w kuchni rzemieślniczej złotego kura, ofiarność niemałą odprywała rolę. Miasto dostarczało wprawdzie artykułów spożywczych,

chleba i nieco gotówki, ale nie przeszkadzało to zamożnemu mieszczaństwu zasilać spiżarni i mieszka kuchni. Szczodrobliwością przodowali zwłaszcza pp. Michałostwo Demetrowie, co tygodnia wspomagając w pewnym dniu kuchnię podróbcem mięsnym, a niekiedy i smaczniejszymi kaskami

Obiad w taniej kuchni rzemieślniczej składał się z dwu potraw i chleba. Porcy były dostatecznie obfite a jadło bardzo smacznie sporządzone.

Kuchnia na Strzelnicy stworzyła piękny dokument ofiarności miasta i zacności serc mieszczańskich.

IV.

Można dostać zamętu w głowie, gdy przejrzy się cyfry ilustrujące ogrom wydatków, które ponosiła gmina, by zaspokoić głodne żołądki ludności.

Frekwencya tanich kuchni była olbrzymia. Ogółem wydawało się w nich codziennie wedle sprawozdań z końca stycznia 1915 r., 38.160 obiadów, z czego tylko 1282 płatnych.

Minimum frekwencji (poniżej 100 obiadów) wykazały 2 kuchnie: techników, przy ul. Issakowicza (30) i dla młodzieży żeńskiej ul. św. Jacka (97).

Liczba wydawanych obiadów utrzymywała się na poziomie poniżej 600 w 8 kuchniach: przy ul. Dąbrowskiego 18 (180), w bursie im. Wasilewskiej (196), nauczycieli szkół średnich,

ul. Unii Lubelskiej (330), drukarzy przy ul. Piekarskiej i ludowej przy pl. Strzeleckim (po 350), przy ul. Rejtana 5 (356) i ceglarzy na Snopkowie (400).

Nad 500, mniej jednak niż 1000 stołowników przypadało na 8 kuchni. Były to: nauczycielska przy ul. Mochnackiego 32 (500), w bur-sie Kościuszki (618), przy ul. Ossolińskich 11 (655), rzemieślnicza przy ul. Bernsteina (700), przy ul. Krzywej (705), w Kole lit. art. (704), w ogrodzie pojezuickim (939), przy ul. Sobieskiego 30 (984).

Pomiędzy 1000 a 2000 wahała się liczba stołowników w 13 kuchniach. Do tego zastępu należały kuchnie: centralna przy placu św. Du-che (1048), przy ul. Królewskiej i ul. Bilczewskiego 5 (po 1150), w Sokole II. (1177), ludowa w szkole im. Mickiewicza (1280), rękodzielnicza przy ul. Kurkowej 23 (1500), przy ul. Bernsteina (1600), przy ul. Zamarstynowskiej 48 (1620), przy ul. Ś-tej Teresy 36 (1660), przy ul. Zielo-nej 7 (1700), przy ul. Żółkiewskiej 100 (1861), przy ul. Teatyńskiej 1 a (2000), przy ul. Ormiańskiej (2000).

Nakoniec powyżej 2000 osób stołowały u siebie kuchnie przy ul. Grodeckiej 12 (2180), przy ul. Teatralnej 23 (2230), przy ul. Łyczakowskiej 75 (2230) i kuchnia kolejarzy przy ul. Grodeckiej 127 (2400).

Z wykazu tego wynika, że najliczniejszą kategorię stanowiły kuchnie, w których wydawano po 1000 – 2000 obiadów dziennie.

Z ogólnej liczby wydawanych obiadów przypadało 27.617 na kuchnie ludowe (w tem 138, około 0·5 proc. płatnych), a 10.543 na kuchnie dla inteligencji (w tem 1144, nieco nad 10 proc., płatnych).

Żadnego obiadu płatnego nie wydawano w 22 kuchniach. Względnie najwięcej obiadów płatnych (300) wydawała kuchnia przy ulicy Ormiańskiej i Koło literacko-artystyczne (220). Najkorzystniej przedstawiał się stosunek obiadów płatnych do bezpłatnych w kuchni nauczycieli szkół średnich, gdzie na 155 obiadów wydawano tylko 5 bezpłatnie. W Kole lit. art. i w Bursie Kościuszki, liczba obiadów płatnych wynosiła mniej więcej połowę, w kuchni dla młodzieży żeńskiej przy ul. św. Jacka l. 16 prawie jedną czwartą, a w Sokole Macierzy prawie jedną piątą ogólnej liczby wydawanych obiadów.

Utrzymanie tanich kuchni pochłaniało ogromne sumy. Miasto rozdzielało w wymienionym okresie pomiędzy nie 20.985 kilogramów chleba, 13.750 klg. ziemniaków, 5070 klg. mąki, 3025 klg. kaszy, 2675 klg. grochu, 2515 klg. jagieł, 669 klg. słoniny, 340 klg. cukru, 708 centnarów drzewa tygodniowo.

Tu jednak nie koniec.

Na barkach miasta spoczywała również troska o zaopatrywanie w żywność zakładów dobroczynnych, burs i ochronek, gniazdek rodzinnych, ciepłych kącików, schronisk inwalidzkich, a także herbaciarni, których było kilka.

Podnosiło to cyfrę wydawanych co dnia

obiadów do 39.337, która to cyfra równała się prawie jednej czwartej ogólnej liczby stałej ludności przebywającej obecnie we Lwowie. Dodać zaś wypada, że pozatem wydawano co dnia 4395 herbat bezpłatnie.

Odpowiednio urastały stąd zapasy wiktuałów wydawanych dla zaopatrzenia tylu zakładów. Ogólne tygodniowe zapotrzebowanie chleba, pokrywane przez miasto, przedstawiało wobec tego sumę 5880 kilogramów, ziemniaków 15.750, mąki 7160, kaszy 4550, grochu 3760, jagieł 3505, słoniny 872, cukru 562 i 898 centnarów drzewa.

Były to cyfry olbrzymie. Nawet przy normalnym stanie musiałyby one dotkliwie zaciężyć na budżecie Lwowa. Prezydium Magistratu jednak uznając, że wyjątkowe położenie wymaga także wyjątkowej pomocy, nadzwyczajnych środków zaradczych, posunęło się do ostatecznych granic możliwości w przeświadczeniu, że było to pierwszym i najważniejszym zarządkiem miasta obowiązkiem.

BEZPŁATNY OPAŁ.

Publiczność lwowską już od jesieni 1914 niepokoiła kwestya opału. Nie spuszczał też tej sprawy z oka Zarząd miasta. Problem przedstawiał wiele trudności. Dowóz węgla okazał się niemożliwy i nie pora także było myśleć o zaopatrzeniu miasta w torf, którego znaczne pokłady znajdują się w okolicy. Lwów skazany więc został wyłącznie na opał drzewny.

Zorientowała się w tej sytuacji rychło spekulacja prywatna i nie brakło prób uprawiania lichwy także przy sprzedaży drzewa. Podcięło je wszakże z jednej strony wprowadzenie taryfy maksymalnej, z drugiej zaś rozwózka taniego opału miejskiego, która ostatecznie uregulowała ceny. Z wielu jednak względów ta forma pomocy okazała się niepraktyczna i w dalszej fazie już drzewa nie rozwożono, jeno sprzedawano je w składach miejskich, w Rzeźni i przy ulicy Zielonej.

Nagromadziwszy znaczne zapasy paliwa ze swych lasów przystąpiło z kolei miasto do rozdawnictwa drzewa opałowego za darmo. Szło zwłaszcza o inteligencję. Klasy niższe same bowiem postarały się o zaspokojenie swych potrzeb w tym kierunku, dewastując przez pewien czas okoliczne lasy, a nawet plantacje wewnątrz miasta, póki energiczne wystąpienie władz nie położyło końca tej dzikiej gospodarce. Inteligencja oczywiście nie mogła uciekać się do takiej samopomocy, a wobec tego, że sprawa wypłaty zaliczek na pensye pozostawała jeszcze ciągle w zawieszeniu, gros publiczności tej kategorii znalazło się z nastaniem zimy w położeniu wprost rozpaczliwym.

Wówczas to, w początkach grudnia 1914 roku Magistrat ogłosił, że potrzebującym wydawane będą odpowiednie ilości drzewa na opał za darmo. Jak wielką była potrzeba owej pomocy dowodzi okoliczność, że w ciągu jednego tygodnia wpłynęło do Magistratu około 10.000

prośb o przyznanie drzewa bezpłatnie. Stoczyła się istna lawina podań i należało czem prędzej zorganizować specjalne biuro dla agend z tą sprawą związanych. Magistrat uczynił ze swej strony wszystko, na co stać go było, by spełnić swój dobrowolny wobec publiczności obowiązek. We wspomnianem biurze pracowało pod kierownictwem koncepisty Magistratu p. Orłowskiego dwanaście osób, a pracowali literalnie bez wytchnienia. W ich liczbie znajdowali się trzej słuchacze Uniwersytetu, pp. Bruchnalski, Piątkowski i Świechowicz, którzy zupełnie bezinteresownie oddali swe nieocenione usługi *pro publico bono*.

Oczywiście o załatwieniu tak olbrzymiej liczby podań naraz, równocześnie, nie mogło być mowy. Zresztą, jak miasto miało na poczekaniu przysposobić tak olbrzymie zapasy przerobionego materiału, ażeby wszystkich proszących zaopatrzyć w ciągu dni kilku? Nakoniec, gdyby nawet zapasy istniały, samo rozdawnictwo ich przy niezmiernym nawale musiało by utykać i dać impuls do scen jeszcze jaskrawszych, aniżeli te, jakie zdarzały się przy rozwózce taniego opału i skutkiem jakich ostatecznie musiano owej rozwózki zaniechać.

Z tych uszysztych względów obrano metodę kolejnego załatwiania podań w miarę przybywania zapasów gotowego paliwa. Listy osób, którym na podstawie opinii komisji ubogich przyznany został zasiłek w drzewie i które uzyskały już na pobór tego zasiłku asygnaty, ogłaszało

się w środę i sobotę każdego tygodnia. Nazwiska mianowicie owych osób odczytywał w dzielnicy ratusza wedle dostarczonego wykazu jeden z woźnych Magistratu. On też odczytany, o ile byli obecni, wręczał przepustki upoważniające do zgłoszenia się po asygnaty w biurze rozdawniczym, pomieszczonem na III. piętrze w północnej połaci ratusza. Osoby, którym przyznano asygnaty, a które nie były obecne przy odczytywaniu i wiadomości o tem powziąć nie mogły, zawiadamiało się pisemnie.

Jak wielką była ofiarność miasta w tym kierunku, dowodzi choćby okoliczność, że w przeciągu pierwszego zaraz miesiąca rozdawnictwa bezpłatnego opału, tj. do połowy stycznia 1915 udzielono 1896 asygnat i wydano obdarzonym niemi osobom 11.189 centnarów drzewa na opał, wartości około 25.000 koron.

CZERWONY KRZYŻ.

Jeden z najpiękniejszych dorobków cywilizacji nowożytnej! Zrodziło go zrozumienie, że walczą państwa, armie, a nie ludzie, jako jednostki. Ranny przestaje być nieprzyjacielem, staje się natomiast nieszczęśliwym, któremu należy się ratunek — oto hasło tej prawdziwie chrześcijańskiej instytucji. Czerwony Krzyż zatem ma charakter międzynarodowy. Przeznaczony do łagodzenia nieuchronnych okrucieństw wojny, jest wzniosłym wcieleniem idei sama-

rytańskiej, jest łącznikiem nawet pomiędzy walczącymi.

U nas przed wielu laty zawiązano »Krajowe Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża« mężczyn i dam dla Galicyi — tak opiewała nazwa oficjalna. Towarzystwo cieszyło się oczywiście gorącym poparciem rządu, rozumiał on bowiem, że we własnym interesie powinien je popierać. Dlaczego Czerwony Krzyż przybrał był fizyognomię wyłącznie arystokratyczną, nie mogliśmy nigdy zrozumieć. Faktem jest jednak, że skupiała się w nim prawie cała nasza magnateria i szlachta, jakoteż wszystkie »szpice« władz — ale nie było przedstawicieli pospoliciego ogółu. Na każdym dorocznym zebraniu tej instytucji — odbywały się one stale w pałacu namiestnikowskim — szumiały jedwabie, pyszniły się szamerowane złotem mundury, u »bezmundurnych« brak tej zewnętrznej dystrynkcji zastępowały efektowne tytuły dygnitarstwa, lub conajmniej nazwisko dobrze znanego rodu. Niewielu tylko szaraczków odważało się wkraczać w wysokie progi. Przedstawiali oni dwie odrębne grupy: iednych ciągnięto »par force«, aby mieć siły robocze dla załatwiania agend Towarzystwa, inni pchali się sami, aby przynajmniej pod płaszczykiem lojalnej filantropii mieć sposobność otrzeć się o dostojną »haute volée«, odetchnąć bodaj na chwilę tą samą atmosferą, którą raczyli oddychać prawdziwi książęta, prawdziwe hrabiny, nieposzlakowani baronowie, »wysoko położone eksce-

lencye«.... Próżność ludzka nie ma granic, a śmieszność wszystko upstrzyć musi, jak niechlujna mucha...

Mile spoglądając przez lat szereg na one świetne zebrania, umysł prostaczy wyobrażał sobie naiwnie, że w chwili poważnej, która od »Czerwonego Krzyża« zażąda rozwinięcia tak konsekwentnie prowadzonej akcji, — że tedy wówczas ci wspaniali panowie i te tak żarliwe damy znajdą się na posterunku i dadzą krajowi, nawiedzonemu nieszczęściem wojny, całą pełnię dobrodziejstw przez instytucję przysposobionych. Stało się inaczej. Podczas inwazyi z 40 członków wydziału pozostało ogółem — 6, a więc tylko o jednego więcej, niżli liczba sprawiedliwych, jakiej domagał się Pan Bóg dla przebaczenia Sodomie i Gomorze. Pozostali mianowicie: dr. Grzegorz Ziembicki, który objął funkcyę prezydenta, dr. Wiktor Legeżyński, powołany do sekretarzowania, dyr. Lewicki Bolesław ustanowiony skarbnikiem, jako też insp. Müller, dyr. dr. Józef Starzewski i prof. dr. Józef Wiczkowski.

Nowy wydział gal. Czerwonego Krzyża we Lwowie zatwierdzony przez gub. Szeremetiewa utrzymywał do połowy września szpitale swoje pieniędzmi, które pozostały, a przedstawiały zaraz w początkach inwazyi tylko znikomą część w stosunku zabranych na zachód przeszło 300.000 koron. Po wyczerpaniu własnych skromnych zasobów korzystało się z subwencyi rosyjskiego »Krasnawo Kresta«

i z nich utrzymywano nadal 9 szpitali przeznaczonych do leczenia rannych obu walczących armii. Dyrektorem tych szpitali był dr. Józef Selcer.

Na szczególne podniesienie zasługuje oddany dla leczenia oficerów centralny szpital Czerwonego Krzyża w budynku dawnego sanatorium dr. Soleckiego. Centrala ta zasłynęła jako wzorowa instytucja, jedyna w swoim rodzaju nie tylko w Galicyi, bo zaledwie niektóre zakłady w Paryżu mogłyby z nią iść w porównanie. Urządzenia chirurgiczne i terapeutyczne wprowadzone w tym szpitalu śmiało można nazwać nieprześcignionemi.

W szpitalach Czerwonego Krzyża opieka lekarska i pielęgniarska stała w zupełności na wyżynie zadania. To też pacyenci opuszczając je, nie znajdowali dość słów wdzięczności dla lekarzy i personelu pomocniczego.

INWALIDZI.

Aby ile możności złagodzić okropieństwa wojny, nie zapomniało miasto również o inwalidach, tj. żołnierzach, którzy odnieśli tak ciężkie uszkodzenia, iż rzeczą było wykluczoną, by kiedykolwiek mogli znowu stanąć pod bronią. Do swoich wrócić na razie nie mogli, nie nadawali się także na jeńców, więc było to i dla nich dobrodziejstwem i dla władz rosyjskich ulżeniem ciężaru, że Zarząd miasta zaopiekował się owych nieszczęśliwców losem.

Przytułki inwalidów znajdowały się w kilku punktach miasta. Najlepsze pomieszczenie mieli inwalidzi w Domu akademickim przy ulicy Królewskiej. Dolne ubikacye, w ich liczbie także ogromną salę jadalną zajęła tania kuchnia pod zarządem SS. Felicyanek. Oba piętra natomiast służyły za przytułek inwalidów. Zbudowane są one sposobem kurytarzowym, każdy więc pokój ma osobne wejście. Z ogólnej wcale okazałej liczby pokoi połowa skierowana jest na wschód, druga frontowa na zachód. Pokoje wystarczająco przestronne i wysokie, a bardzo jasne. Urządzenie ich składało się z najniezbędniejszych sprzętów, jako to szaf, stołków, stołów, łóżek, szafek nocnych. Łóżka miały wkładki sprężynowe i materace. W każdym pokoju osadzono po dwu najwyżej trzech pensyonarzy; mieścili się więc zupełnie wygodnie.

W przytułku przy ul. Królewskiej przebywało w kwietniu 1914 r. 53 inwalidów. Najwięcej między nimi było Węgrów i Niemców; byli też Rumuni i Chorwaci. Polaka nie widziano tam ani jednego. O inwalidztwo przyprowadziły tych ludzi głównie skaleczenia nóg i rąk. Kilku pozostało przy jednej nodze, gdyż drugą musiano amputować. Stosunkowo liczne były też ubezwładnienia jednej strony ciała skutkiem urazu przeciwległych partyj mózgu — najczęściej siekaniami ze szrapnela. Najsmutniej przedstawiała się dola trzech Tyrolczyków: ci wzrok postradali, ogień powypalał im oczy. Wśród inwalidów znajdo-

wało się także kilku ciężko chorych. Najdotkliwsze męczarnie przebywał 22-letni Słowak z przedziurawionemi kilkakrotnie od kul wnętrznościami. Miano nadzieję, że nawet jego uda się ocalić dla matki, do której zobaczenia tęsknił gorąco, jak do jedynego swego szczęścia. Niestety przewidywaniom zadała kłam smutna rzeczywistość i po kilkotygodniowej męczarni młody Słowak umarł.

Sanitarną opiekę nad inwalidami sprawował dr. J. Bandrowski, który mieszkał w zakładzie. Równie też przydane mu do pomocy sanitaryuszki, SS. Wirginia i Anzelma, z bezgranicznem poświęceniem oddawały się samarytańskiemu swym obowiązkom.

Jedzenie dostawali inwalidzi 4 razy dziennie. Na pierwsze śniadanie pili mleczną kawę. Obiad składał się z polewki, jednej potrawy mięsnej i chleba (ćwiartki na osobę). Na podwieczorek przynoszono im znowu kawę; jako wieczerzę zaś spożywali polewkę, kaszę, kaszkę, mamałygę itp. z dodatkiem chleba. Oczywiście co do chorych przestrzegano diety przepisanej przez lekarza.

Ci z pensjonaryuszy przytułku, którym już nie dolegały cierpienia fizyczne, byli całkiem zadowoleni ze swej doli. Gdy się z nimi zetknęto, byli uszczęśliwieni każdym objawem życzliwej sympatii; gdy się ich podpatrzyło, uderzała czułość, z jaką starali się jeden drugiemu być pomocą. Wpadało też w oczy, jak głęboko w sercach tkwiła im wdzięczność,

którą w sposób niewyszukany, lecz tem serdeczniejszy okazywali przy każdej okazji swym dobrodziejom. Wiedząc dobrze, ile mają do zawdzięczenia prezyd. Rutowskiemu, jakoteż wiceprez. Stahlowi i Schleicherowi, z czcią głęboką wymawiali ich nazwiska. Unosili się nad dobrocią SS. Felicyanek. Znaleźli zaś ponadto niezmiernie skrzętnego opiekuna w p. Tycu, który wszystkie siły i cały czas poświęciwszy na usługi instytucji filantropijnych, zajmował się inwalidami z szczególną troskliwością.

Także co do zaspokojenia potrzeb religijnych udało się zapewnić inwalidom nieodzowną pomoc. Ci ludzie przeszli przez piekło grozy i męczarni, duszą więc goręcej, niż to bywa u zwykłych śmiertelników, zwracali się ku Bogu, który zachował ich dla rodzin, w kalectwie wprowadzie, lecz przecie przy życiu.

Obowiązki kapelana zakładu sprawował w duchu prawdziwie Chrystusowym ks. Ignacy Chwirust, specjalnie zaś w stosunku do Węgrów dopomagał mu ks. kan. Scherff, jako władający językiem Arpada.

Dziwnie rozrzewniające wrażenie sprawiała msza św. w kapliczce, sporządzonej z jednego z pokoi zakładu. Trudno wyobrazić sobie pobożniejszego skupienia jak to, które odbijało się w oczach gromadki kalek.... A gdy zadźwięczały skrzypce z towarzyszeniem fisharmonii, gdy ozwał się głos pobożnego śpiewu, towarzysząc modłom kapłana, jakieś jakby wyanieślenie oblewało blaskiem proste twarze inwali-



Milicyant i gorodowy



Milicyant miejski

dów, z których niejeden zapewne dopiero w trwodze i bólu nauczył się cenić dobrodziejstwo modlitwy.

NASZ DOM.

Nasz dom przebywał gruntowną w wojennych czasach rekonstrukcyę. Dokonywała się ona pod znakiem rozbratu z szychem zewnętrznym na korzyść wewnętrznego pożytku. Już to możemy sobie przyznać, że urządziliśmy ongi dom nasz bardzo niepraktycznie. Szło tam więcej o efekowność niż o zaspokojenie istotnej potrzeby i wygodę. Utrzymaliśmy dom nasz na poziomie — choinki świątecznej, w której czynnik estetyczny zaznacza się papierowymi łańcuszkami, a złożone orzeszki mają być obrazem złotych jabłek dobrobytu.

Wtem uderzył grom. W jaskrawem jego oświetleniu zmierzły nam odrazu fatałaszk, do jakich tyle przykładano wagi. Przytem zarysowały się ściany domu; były chwile, gdy niejednemu groziło, iż powała runie mu na głowę. Tu i ówdzie runęła istotnie: powała tradycynie, zdawien dawna pielęgowanego sposobu życia, z malaturą systematycznie ustalonych terminów codziennej wiwendy, z arabeskami fiksów i fajfów, odbijanemi kalką — (bo nawet domy o bardzo skromnych dochodach uważały za obowiązek honoru małpować zwyczaje «towarzystwa»).

Aż tu nagle tryb życia musiał uleść zmia-

nie — i to z miejsca, bez odkładania do jutra. Musiało się ponaprawiać ślady gwałtownego wstrząśnienia, stworzyć nowe warunki egzystencji, rysy w budowie pozalepiać, podstemplować to, co groziło zawaleniem. Siłą więc faktu wypadły nam z głowy różne, jak je nazywaliśmy, fatałaszk. Dawniej każdy starał się ukryć swą biedę przed światem kłamnymi pozorami. Wstydzono się niedostatku, nawet niezawinionego, bardziej, aniżeli niejednej rzeczy, którejby istotnie należałoby się wstydzić.

Wojna zdmuchnęła te mydlane bańki małoduszności. Bieda przestała być czemś upokажającym, ponieważ stała się mniej więcej cechą wspólną wszystkich. Do pewnego stopnia — jeśli wolno odważyć się na paradoks, — było to prawdziwem dobrodziejstwem. Energia i pomysłowość mogły teraz bez przeszkód skierować się ku zaspokojeniu nierównie istotniejszych potrzeb niżli mydlenie oczu innym tanią wystawnością.

Dom nasz poświęcił przeto od onej chwili więcej uwagi sobie samemu, aniżeli »świat« (swoją drogą, co za »świat«: państwo adjunktostwo X, państwo profesorostwo Y, państwo radcostwo Z, wszyscy razem klepiący jednakową biedę i jednakowo oszukujący siebie nawzajem komedją dostatku!) Cały ów »świat« zeszedł się z sobą na jednym i tym samym gruncie taniej kuchni, zapomóg w wiktuałach, korzystania z bezpłatnego opału — nie pozostało więc nic innego, jak zrzucić kłamliwe

maski i przyznać się otwarcie, że biedusia aż piszczy i że trzeba koniecznie dać sobie z nią jakąś radę.

W mieście urzędniczem musiał być oczywiście dom urzędniczy domem typowym, jemu też poświęcone są te uwagi. Ów dom składał się zazwyczaj z rodziny wcale licznej, bo małtuzyanizm jeszcze do niego nie dotarł; tworzyli go pan z panią, panicze i panienki z jedną lub dwiema sługami. W czasie przed wojną pan pracował w biurze, pani krzątała się w domu, wieczną tocząc walkę ze sługami, panicze chodzili do szkoły, panienki również. Na oko była to idylla spokoju i harmonii; korzeń jej jednak podgryzał niejeden robak: długi, trudność zejścia się końca z końcem, wygórowane potrzeby życia na stopie odpowiedniej do stanu itd.

Gdy przyszła inwazyja, pan domu otrząsać się musiał z myślą, że żyć można bez biura, a skoro go niema, to trzeba szukać sobie innego zajęcia, gdyż skisłoby się w bezczynności. Zresztą zarobić coś trzeba, jeśli żyć ma się wogóle. Pan tedy albo otworzył sklep spożywczy i w nim przesiadywał, albo jak chart uganiał z pośrednictwami, albo przypytał się do jakiegoś przedsiębiorstwa.

Pani po wybuchu wojny odbyła ze sługą konferencyę, której przebieg był krótki i stanowczy: »Moja droga, widzisz, co się dzieje; nie miałabym czem ciebie zapłacić, możesz więc choćby dziś odejść«. Na to sługa, uznając słusz-

ność motywów, albo całowała panią w rękę i szła sobie na sto wiatrów, albo też odpowiadała: »Wie pani, co? Ja na czas wojny pozostanę bez płacy, a niech mnie pani nie odda!«. Tak mówiły te uczciwe, których nie skusiła perspektywa łatwej egzystencji na manowcach... W wielu też domach istotnie sługi pozostały za kąt ciepły i łyżkę strawy i przyznać trzeba, że pracowały wtedy chętniej, lepiej, aniżeli w owych dobrych czasach, gdy byle szturpak brał po 20 koron miesięcznie za to, że tłukł, co mu wpadło w ręce, przepalał każdą pieczeń, każdą zupę uniemożliwiał przesoleniem.

Co do pani, to albo obchodziła się ona bez sługi, albo też, jeśli sługę miała, rozszerzyła swej działalności zakres. Wygotowywanie przeważnie odpadło z programu prac domowych wobec tego, że obiady brało się z taniej kuchni. Pani zatem próbowała na swoją rękę zarobkować: szyła bieliznę do sklepu, haczkowała pończochy, szydełkowała koronki it.p. Zawsze coś z tego kapnęło, a wtedy każdy grosz dziesięć razy tyle znaczył, co dawniej. Matce pomagały panienki; one także pracą swą zdobywały po parę grosików, jeśli znalazły po temu sposobność.

Nawet chłopcy, o ile nie doszli jeszcze wieku popisowego i nie wyruszyli na wojnę, przeważnie uczestniczyli w trosce o utrzymanie domu. Ten był bileterem w kino, ów dostał się do wyrębu drzewa, gdzie łado-

wał polana do worów, inny poszedł na praktykę do sklepu. Uczęszczający do szkoły, stanowili mały tylko procent. Byli to chłopcy z domów zamożnych, które mogły szarpać się na płacenie dość znacznej bądź co bądź opłaty.

Stosunki towarzyskie pomiędzy domami nie ustały. Zeszły tylko do właściwej miary. Odwiedziny bywały mniej częste, a celem ich przestało być psucie sobie żołądków. Wogóle dom uprościł się w swej konstrukcyi i spoważniał. Największy wróg musiał przyznać, iż mu z tem przystojniej i godniej.

ZMYŚL PRAKTYCZNOŚCI.

Powiadają, że bieda najlepszym jest pedagogiem: niejednego nauczy rozumu. Twierdzili optymiści w czasie inwazyi, że to już się sprawdzać poczęło — i w niejednym nawet kierunku. A jako na dowód wskazywano na wzmagającą się wśród ogółu praktyczność.

Że jej brakło dawniej na gruncie lwowskiego życia — to pewna. Mieliliśmy, — wyrażając się znowu przysłowiowem określeniem — mieliśmy wszystko gotowe i pieczone. Za tanie pieniądze dostałeś, czego dusza zapagnęła; jeszcze i kredyt pchał ci się sam w ręce, prosząc, byś był łaskaw zeń korzystać. Poszło było za tem pewne zleniwienie w życiu codziennem, u ognisk domowych; inwencyę gospodarczą zawieszono na kołku. Jeśli gdzie po-

kazała się, to jako sport raczej dla rozrywki, niżli dla pożytku.

Ale razem z biedą przyszła refleksya i z głębi duszy wołała: O, święta cnota praktyczności, jakże cudownym jesteś darem! Szczęśliwy, kto cię posiadł; nie osłodziś mu wprowadzie życia, ale je umożliwisz, a to grunt przecie, aby wogóle żyć można.

Więc przedewszystkiem, skoro kredyt poszedł do lamusu starych bajek, przyuczono się nie strzelać dalej, niżli kula ponieść zdoła. Ongi pod tym względem nie istniały granice możliwości. Obecnie wiedział każdy napewno, że jeśli jakiś rubelek przyplątał się do kieszeni, to niema o czem hulać. Prawidło matematyczne: dwa a dwa cztery — weszło nareszcie w zastosowanie. Gdyby dawniej doznawało było tego samego, co w ciężkich okupacyi chwilach, szacunku, wiele dokuczliwych kwestyi ekonomicznych, jak n. p. powszechne zadłużenie urzędników, byłyby nie zakwasiły nam życia.

Ale skoro o ekonomii mowa, to nie zawadzi przypomnieć, że wedle tej kramarskiej mądrości, podstawą dobrobytu nie może być sama tylko zasada utrzymania równowagi pomiędzy »habet« a »debet«. Nawet oszczędność nie uratuje sytuacji tam, gdzie nie ma nic do oszczędzenia. Trzeba pracować nad przy mnożeniem walorów, jednym słowem trzeba znowu obalić wiekuistą prawdę: »dwa a dwa cztery«, ale w kierunku wprost odwrotnym,

nizli czyniliśmy jeszcze tak niedawno. Jeśli ma być dobrze, to z dwu dwójek dodanych do siebie, winno się dobyć nie czwórkę, lecz piątkę!

I otóż ogół nasz już wszedł był szczęśliwie na drogę opanowania tej sztuki. Właściwie może to jeszcze za górnolotnie powiedziane: ogół; ale bardzo wiele jednostek, kółeczek i kół istotnie ku owemu celowi zmierzało.

Dowodem mnożące się w czasie inwazyi sklepy obywatelskie. Siecią swą opasały niemal całe miasto. I podziwiać wypadało jak fachowo były zawiadywane przez sił niefachowe, przez ludzi, którzy nigdy przedtem o kupiectwie nie mieli pojęcia, a gdy konieczność zawiątała, od świtu do nocy pracowali za ladą, zdobywając sobie klientelę nie reklamą szumną, lecz tem, że dawali możliwie najlepszy towar po możliwie najniższej cenie.

A także u ognisk domowych powiał był duch praktyczności i w mnóstwie prac drobiazgowych szukał owej magicznej jednostki, mającej »cztery« jako rezultat dodania dwu do dwu, uczynić »pięcioma«. Nawet u rodzin mających się jako tako, drożyzna opału doprowadziła do tego, iż używało się tylko części mieszkania. Kto zajmował cztery pokoje, w dwu mieszkał podczas zimy; kto dwa — mieścił się w jednym. Wystawność przestała być warunkiem towarzyskiej przyzwoitości. Sama towarzyskość nie ucierpiała na tem; owszem ludzie żyli z sobą, jak dawniej, schodzili się,

spędzali po kilka godzin razem, ale zaniechali niedorzecznej manii wyrzucania sum na przyjęcia. Gdzie przy kolacyi jawiło się po pięć do sześć dań, podlanych suto napitkiem, teraz jedno wystarczało, herbatka zaś doskonale zastąpiła wina i likiery.

Sporządzanie pieczywa w domu było za dobrych czasów wyłącznym przywilejem okresów świątecznych. W ciągu okupacyi, gdy na czas pewien białe pieczywo znikło z widowni, panie w domu sporządzać je poczęły i wiele było rodzin, które tak się w to włożyły, iż na zawsze zarzekły się kupnych bułek. Tam, gdzie uzyskano zasiłki w naturaliach, wszedł w użycie nawet chleb domowy, gdyż rozdawana ciemna mąka dawała przy minimalnym trudzie i wydatku pyszny graham. Takich przykładów ratowania się własnym przemysłem, możnaby naliczyć co niemiara.

Pouczyły nas one, jak lekkomyślnie żyliśmy do niedawna, a bodaj czy nie pozostaną cenną także na przyszłość nauką. Oby tylko ona w las nie poszła, gdy znowu lepiej działać się nam pocznie.

NASZE PANIE.

I.

Praca społeczna kobiet bywała u nas przed wojną nieraz przedmiotem krytyki, osełką, na której ostrzyły sobie zęby humor i satyra. Wywlekano chętnie straszaka feminizmu i niejeden

pater familias siarczyście odkazywał przeciw demagogom w spodnicy, że nietylko same wyprawiają fanaberye, lecz jeszcze młodemu pokoleniu zawracają głowy.

Obronców ruchu kobiecego było niewiele. A gdy przyszła chwila przełomowa, gdy od potężnego wstrząśnienia runęło tyle fetyszy, lęk zdjął nawet tych niewiele naszych »feministów«. A jeśli łudzili się? Jeśliby zawiodły także nadzieje, które przywiazowano do ruchu kobiecego?

Nie zawiodły jednak. Nasze panie zrozumiały swe posłannictwo i wykazały, że są przygotowane do zadań wyjątkowej chwili. Rzuciły się z zapalem w wir pracy twórczej, obok tego zaś oddały się na usługi idei samarytańskiej, tak bliskiej zawsze kobiecemu sercu.

Lwowianka lubiała być pieszczoną, adorowaną — a któżby brał jej to za złe? Kobiecość ma swe odrębne przywileje; wdzięk i uroda wymagają odpowiedniej oprawy. Kobieta przestałaby być świetlanym powabem życia, gdyby do szczytu wyzbyła się swych słabostek. Lwowiance jednak wiadomo, że one dobre... od święta, nie na codzień, gdy więc przyszło długie pasmo dni powszednich, niezmiernie ciężkich, odłożyła słabostki a dobyła z siebie tyle mocy, że słusznie jej się za to hołd należy.

Rozbudziła w sobie ambicję i energię. Ambicję — w najszlachetniejszym gatunku. Posałowała nietylko nie być ciężarem. lecz owszem stać się pomocą. Okazało się przytem, że ma

również dość energii, by tak piękne zamysły nie poszły w niwecz.

Do pomagania znalazła sposobności co nie-miara. W najrozmaitszych zakresach błogosławioną roztoczyła działalność. Te panie, których praca niezbędna była dla zaspokojenia potrzeb koła rodzinnego, pozostały w jego obrębie, choć pewnie ich dusze rwały się ku szerszemu polu. W wielu wypadkach kobieta była istotną żywicielką rodziny. Męża zabrała wojna, lub też (i tak bywało) pozbawiony pracy, a bezowocnie poszukujący zatrudnienia, na żonę, mimo najlepszej woli, zdać musiał ciężar utrzymania; więc ślęczyła pracownica wytrwała dniem i nocą przy maszynie, szyjąc bieliznę dla sklepów, albo bez przerwy haczkowała sweetery, dzierzgała trykoty, słowem: chwytła się wszelkiego możliwego zarobku, by zaspokoić niezbędne potrzeby domu. A gdzie lepiej działało się, tam usilność swą zwracała Lwowianka ku dopomoczeniu innym, mniej szczęśliwym, rozkosz i hojną nagrodę widząc w każdej łzie otartej, w każdym błysku przeświadczenia, że praca jej przyniosła istotny pożytek.

Powie ktoś: Wszystko to prawda, lecz gdzie ta zasługa ruchu kobiecego lat przedwojennych? To poprostu kobiecość, wrodzone uczucia, płci niewieściej właściwe, przejawily się wyraźniej, niż w czasach normalnych, gdyż za wyjątkowym położeniem poszło rozszerzenie pól działania. Tak zawsze bywało...

Otóż nieprawda! Tak nie bywało nigdy

przedtem. Bywała imponująca niekiedy, niemniej jednak tylko luzem chodząca ofiarność, ale panie nasze zdobyły się pod okupacją rosyjską na coś więcej. Oprócz owych, tak samo, jak ongi, luźnych zabiegów poświęcenia, zorganizowały pracę gromadną i ujęły ją w celowo obmyślane formy, co już stanowczo poczytać należy za owoc przebytego wykształcenia. Jest rzeczą niewątpliwą, że te wszystkie towarzystwa kobiece, o których przeważnie mawiało się z przekąsem, w których widziało się raczej cczą zabawkę lub ekscentryczność; że wszystkie one nie tylko uszlachetniły zmysł kobiecości, lecz że ponadto dzięki im właśnie poznały nasze panie wielki pożytek assocjacyi i tem łatwiej, zastosowały praktycznie swoje w tym kierunku uświadomienie.

Ceła akcja ratunkowa miasta czemże byłaby bez udziału wykształconych praktycznie kobiet? Czy możliwe byłoby marzyć o tak licznej sieci tanich kuchni, herbaciarń, ochronek, ciepłych kąpek itd., itd., gdyby panie nasze nie poczuły się na siłach poprowadzenia dobroczynnego dzieła ku nieocenionemu pożytkowi ludności, a swojej chlubie? Tu już nie dość unosić się nad ofiarnością ich pracy, tu podziwiać wypadało również ich rzutkość, energię, wytrwałość — cnoty, które każde z Towarzystw kobiecych starało się wpajać w swe członkinie, które miał przed innemi na myśli tak zaciekłe zwalczany ruch ku zrównaniu praw kobiet z prawami mężczyzn.

Trudno o piękniejszą odpowiedź nad tę, jaką dały wówczas panie nasze na lekkomyślnie miotane niedawno jeszcze przeciw nim zarzuty. A już najbardziej dumną być mogła z takiego obrotu jedna z głównych menerek ruchu kobiet u nas, twórczyni i przewodniczka odłamu najdalej idącego w swych dążeniach do równouprawnienia, p. Dulębianka. Jak przedtem wysunęła się była na czoło naszych »sufrażystek«, tak teraz wypadki złożyły w jej ręce kierownictwo pracy kobiet na polu filantropii. Oddała się sprawie duszą i ciałem i miała też to zadowolenie, że najzacieklejsi ongi przeciwnicy prześcigali się w wyrazach podziwu dla »lwowskiej (bo i tak nazywano ją w ferworze polemicznym) miss Pankhurst«.

Wszakże nawet »Śmigus« dał owej zmianie frontu wyraz, w jednym z pierwszych zaraz numerów inwazyjnych pomieściwszy wierszyk następującej osnowy:

Dopókiś wieczór czy rano,
Nocami i przez dzień wszystkich,
Chadzała z jaskrawą »faną«
Femini i sufraży-stek;
Czyż dziwo, że pokpiwano
Z donkiszoteryi niewieściej
Bez sensu w formie i treści?

Dziś kiedy sercem i duszą,
Przezacnie w czynie i słowie
Oddałaś się filantropii, —

Dziś słusznosc oddać ci muszą
 Nawet niedawni wrogowie,
 Gromieni przez ciebie >chłopi<.
 Bo widzi to całe miasto:
 Że jesteś zacną niewiastą!

II.

Należy jeszcze raz zawrócić myślą ku przeszłości.

Uwzględniając warunki rozwoju politycznego, podzieliły się były także nasze panie na stronnictwa. — Mielśmy tedy i konserwę spodniczkową i demokrację i radykalizm niewieści. Prawicę tworzyły panie klerykalne, zgrupowane dookoła wielkich rodowych nazwisk i uciekające się chętnie pod moralną opiekę duchowieństwa. Lewica wysuwała na czoło silnie zarysowane indywidualności. Oba te jednak przeciwne obozy poświęcały wiele uwagi kwestyi socyalnej i rzeczywiście niemało zdziałały na tem polu. Środek pomiędzy niemi wypełnił się grupami oddanymi na usługi sprawie oświaty, lub filantropii; te ku prawemu, tamte znów ku lewemu ciągnęły skrzydła w swych dążnościach i sympatyach.

Ruch wspomniany wcale nie był wytworem sztucznym, owszem odpowiadał rozbudzeniu się świata kobiecego, a miał do rozporządzenia materiały nie tylko liczny, lecz także odpowiednio kwalifikowany. Wiadomo bowiem, jak szerokie kręgi roztoczyło u nas w ostatnim zwłaszcza lat dziesiątku wyższe wykształcenie

kobiet, jak znacznie podniósł się był ich poziom umysłowy.

Że zaś zróżniczkowanie, jako zjawisko nieodzownej akomodacyi do danych warunków, pozostawiło tam grunt, tj. świadomość właściwej misyi kobiecej, nienaruszonym, nie może ulegać wątpliwości wobec egzaminu złożonego przez nasze panie w czasie inwazyi.

W kontrastach odbijały się tylko prądy nurtujące społeczeństwo, a w chwili, gdy ono pod presją wielkich zdarzeń stanęło wobec zagadnień nierównie wyższych, niż spory partyjne, panie porzuciły również metodę odrębnych kółek. Zgodnie — niemal chciałoby się powiedzieć: jak jeden mąż — stanęły wszystkie do szeregu, by podjąć walkę z nieszczęściem.

Okazało się, że treścią tyłu różnych programów, było przecie jedno, że na dnie ich wszystkich tkwiła kobiecość. Nie ta jednakowoż, która umie ubrać się szykownie, robić perskie oko, manifestować na Akademickiej czar swej postaci — ale ta, która chce i umie czynić dobrze, która czuje się powołaną od Boga do kolenia bólu, łagodzenia nędzy, podtrzymywania upadłych na duchu. Widzieliśmy ongi wśród naszych pań rozmaite typy: strojnisie, srocзки przelatujące z jednej na drugą gałązkę zabawy, wyniosłe emancypantki, szumne działaczki itd., itd. — Podczas okupacyi rosyjskiej widziano tylko szarytki i pracownice, choć przecież osoby pozostały te same.

Każdy pojmie, że trzeba niemało abnega-

cyi, by z katedry nauczycielskiej przejść do rondlów i kuchni, jak to uczyniła np. p. Strzałkowska lub p. Hoserowa, obie z najzasłużeńszych na tych samych polach. Trudno też przypuszczać, aby odpowiadało ambicyom lub chlubnie zapisanej w pamięci uczenic p. Bartoniówniej, że cały czas swój i tyle wysiłków fizycznych poświęcała gościom herbaciarni miejskiej na Nowym Świecie. A niezmordowana p. Łomnicka, a nieoszacowana p. Wolfstałowa władająca w Kole literackiem warzechą; a nasze artystki dmuchające przez cały popołudnie w samowar i pietraszające kawę! Chybaby tu wypisać całą litanie nazwisk i epitetów, nierównie dłuższą od loretańskiej, aby wyczerpać ten bajeczny temat. Ale okrasą jego nie były bynajmniej nazwiska, jeno sprawa.

Te wszystkie panie same z pewnością nie przypuszczały, iż tak świetnie sprostają zadaniom, o których nikomu śnić się nawet nie mogło, że spadną im kiedyś na barki. Nie wiedziały, że są do tego przysposobione, ponieważ ruch kobiecy rozbudził w nich poczucie obywatelskie, a wykształcenie wcale nie odwiodło ich od ogniska rodzinnego i od zajęć, jakie tam czekają kobiety.

Jej zaś sprawność dokazała prawdziwych cudów. Ona stworzyła »Samopomoc«, święciła tryumf swój w »Bazarze gwiazdkowym« przekształconym wkrótce dzięki powodzeniu w stały sklep przemysłu domowego, ona dała tak sympatyczne okazy, jak »Dworek« lub »Wilanów«

i t. p., a następnie zaprzęła się nawet do warsztatu szewskiego, by tym, którzy szyli buty ruchowi kobiecemu, literalnie — o słodka zemsto! — szyc buty!

To są nasze panie!

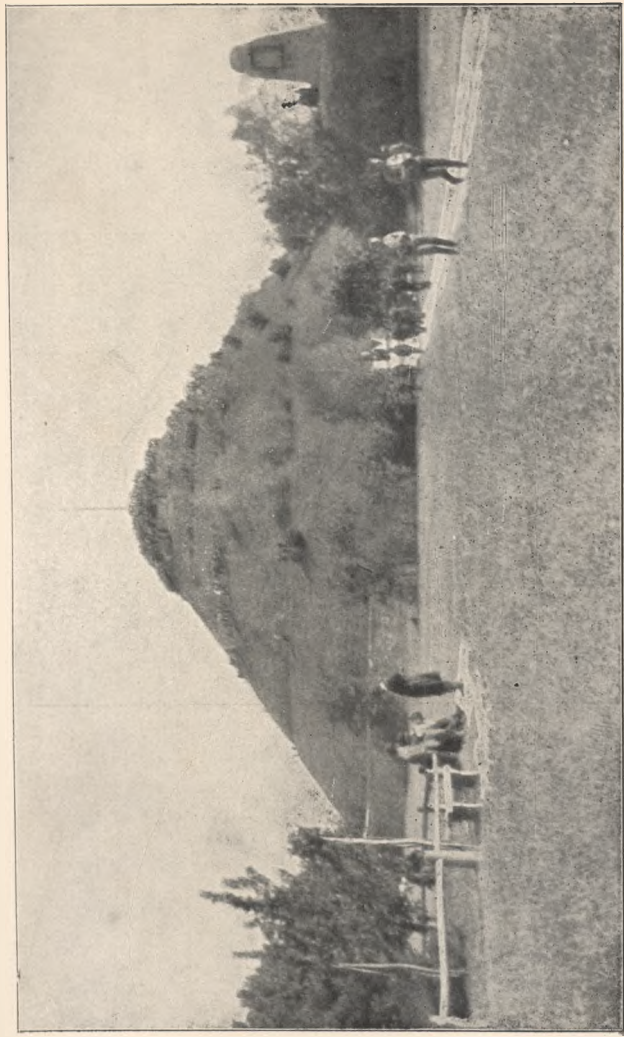
Słusznie chlubimy się niemi. Na Chrzanowskie dzisiaj nie pora, lecz bodaj czy nie większa to zasługa takie ciche, a zupełne oddanie się błogosławionej pracy, która mnóstwem strumyków zasila wielką strugę życia i daje jej możność toczenia się ciągle naprzód, naprzód...

»SZTUKA«.

»Sztuka« drgnęła nowem życiem, jakoś niebawem po Bożem Narodzeniu. Po długiej drzemce w kurzu zapomnienia zerwała się na równe nogi. Pp. Aniela Jakubowska i dr. Michalina Krzyżanowska odświeżyły ją, przystroiły, ufryzowały, wzięły pod ramiona jedna z jednej, druga z drugiej strony i przyprowadziły przed oblicze Lwo-wa: »Oto masz ją!«

A Lwów uradował się wielce. On do »Sztuki« miał zawsze feblika, I niewiadomo właściwie, dlaczego stracił ją był z oczu na szereg miesięcy; dlaczego sławetny Turlu-Turlu wyprowadzić z niej musiał swe lary i penaty.

Ale to jego rzecz. Koniec końcem niema złego, co nie wyszłoby na dobre. Niby... wedle tego feblika. Prywatny przedsiębiorca nie mógłby pozwolić sobie na tak filantropijną taniość, jaka weszła była w te piękne, dystyngowane komnaty



Ludność na Kopcu słucha strzałów podczas bitwy pod Gródkiem



Saneczkowanie w parku Kilińskiego

śladem pp. Jakubowskiej i Krzyżanowskiej. Pa-
nie te bowiem były tutaj przedstawicielkami
miasta. To jeszcze jeden z niezliczonych obja-
wów dbałości przezacnego prezydenta Rutow-
skiego o powierzona mu owczarnię. Pomyślał:
»Jest chleb codzienny, ale jakże inteligentny
Lwowianin obejdzie się bez kawiarni? Ma wpraw-
dzie »Romę«, »Szkocką« *et tutti quanti*, jednak
to za drogie w tak ciężkich czasach. Trzeba
mu dać komfort, jaki nawykł widzieć w osto-
jach swego wypoczynku; trzeba mu dać caca-
ny, przytulny kącik, który Lwowianinowi nie-
mniej jest potrzebny, jak woda rybnie, ale trzeba
dać, jak barszcz tanio, bo inaczej nie będzie
mógł zeń korzystać!«

No, i oto Lwowian otrzymał napowrót swoją
»Sztukę«!

Początkowo miano ją powierzyć miesza-
nemu konsorcyum pań i panów, ale płeć na-
dobna wzięła na ambit. A cóż to? Nie damy
rady same? Wiadomo zaś: *Le Dieu veut, que
la femme veut!* Więc stało się słowo prezy-
denta do pań: »Kiedy tak, to próbujcie!«

Organizacya została w mig dokonana. Obok
wymienionych dwu menerek, ugrupował się za-
raz sztab niewiast, zawsze chętnych do bezinte-
sownej pracy.

Tedy stanęła przy nich p. Józefowa Jedli-
czowa, stwierdzając, że żona poety niekoniecz-
nie latać musi po obłokach, owszem może po-
siadać nawet dość zmysłu gospodarczego, dość
rutyny gospodarczej, by *superplus* doświadcze-

nia oddać na usługi pięknemu przedsięwzięciu. Więc z nieuleknionym heroizmem objęły rządy w kuchni pp. Kawecka i Ziembicka, a p. Sąsiadówna zasiadła przy biurku buhalterki, gotowa bez wytchnienia zmagać się z kolumnami cyfer! Więc przyłączyły się z całą gotowością p. prof. Pazdrowa i panny Biłakówna, Piechor-ska, Piątkowska, a ta ostatnia pociągnęła za sobą nawet braciszka, który z taką powagą spełniał odpowiedzialny urząd pomagania przy obłudze gości, jakby nie był mikrusem gimnazjalistą, ale co najmniej — inspektorem szkolnym.

Zaciszenie było i przejasno w lustrzanych komnatach »Sztuki«. Wszystko aż iskrzyło się od schludności. Ze ścian spoglądały witrażowe »malunki«; z gablotek zaś figurki różnych małpikrólów, pozostałość po jasełkach — patrzyły zdumione widokiem całkiem innego życia, niż to, które dawniej tu panowało. Przy stolikach półgłosem gwarzyli goście, racząc się, ćmiąc papierosy; po sali co chwila przemknęła postać. cała w śnieżnej białości pokrowcu: ta czy owa z pań, co przyjęły na się ciężar obsługi gości. Wnet potworzyły się były koła i kółka; starzy bywalcy pierwsi stanęli do apelu, ale i narybku z chwili najnowszej nie brakowało. Powszechnie chwalono sobie miłą atmosferę i skromność — cennika. Herbata lub mleko kosztowały tu 5 kop., kawa czarna 8 kop., biała 10 kop. Z bufetu uśmiechały się pączki, faworki, ciastka, kanapki, pasztety, wszystko najautentyczniej wła-

snego wyrobu; od strony kuchni zalatywała wieczorem nęcąca woń rozbratła lub czegoś podobnego, bo także śniadania i kolacye dostać tu było można, a smaczne, że tylko palce oblizuj!

»Sztuka« urzędowała od 9 rano do 10-tej wieczorem; prawdziwie: *dies brevis — ars longa*.

HERBATKI W KOLE.

Koło literackie! Właściwie pozostał był tylko szyld tej instytucji i lokal, związany z tylu sympatycznymi wspomnieniami. Królowali tu niegdyś pierwszej klasy bogowie naszego Olimpu.

Wypadki wrzesniowe w puch rozbiły one królestwo, a na gruzach zasiadła — p. Wolfstahlowa (żeby zdrowa!).

Przedziwna nlewiasta! To już nie pracowitość — to jakiś szal pracy, który od rana do nocy uwijał się, jak w ukropie, wszystko trzymał w garści, wszystkiego doglądał, do wszystkiego dokładał rękę, a ma p. Wolfstahlowa (mówiono) — i chwala Bogu, że tak jest — rękę energiczną, zdolną utrzymać cugle i niemi kierować.

Jak taniec każe stara maksyma zaczynać zawsze od pieca, tak o Kole w czasie inwazyi mówiąc, trzeba zacząć od kuchni, żywicielki tysiąca zakochanych w niej po uszy — żołądków. Przyczem znowu niepodobna nie nastąpić na nagniotki p. Wolfstahlowej.

Tę kuchnię spotkał w październiku r. 1914 ...radosny wypadek, przybytek familijny: narodziło jej się takie sobie małe dzieciątko, któremu dano na imię »herbaciarnia«. P. Wolfstahlowa trzymała bębna do chrztu, a potem zwierzyła go opiece p. Dobrzańskiej, która też z całą kobiecą czułością oddała się na usługi niemowlęcia i przy nieustannem mamy chrzestnej doglądaniu, w ciągu kilku tygodni podchowała je tak świetnie, że dla bardzo szerokich kół towarzyskich naszego miasta Herbaciarnia w Kole stała się serdecznie umiłowanym benjaminkiem. O kreacyach scenicznych p. Dobrzańskiej nieraz już najchlubniej rozpisywali się recenzenci; ale ta kreacya naszej ulubienicy chyba najtrwalej utkwiała w pamięci Lwowa.

Laurami jednakże wdzięczności wówczas zdobytemi podzielić się musi p. Dobrzańska z towarzyszkami pracy: z małżonką prof. Neuhausera, z p. Miłosz-Okornicką i z p. Kowalską, które komendę dzierżąc nad całym regimenterem młodych panienek z p. Horowitówną na czele, krzątały się co dnia przy obsłudze gości — i z pannami Wolfstahlownymi — Emą pełniącą funkcyę kasyerskie i Pauliną, która z wytrwałością rutynowanego buchaltera grzebała w rachunkach.

Panie te miały zajęcia więcej, niż przewidywać mogły, stając do żmudnej pracy, lokal bowiem Koła co dnia popołudniu wypełniał się przyzwoicie gośćmi, a w dni świąteczne i niedziele rojno tu było i gwarno, jak na kierma-

szu. Mimo tego nikt nie mógł skarżyć się, by go zaniedbano, owszem każdy spotykał się z tą samą skrzętną usługowością, która stanowiła niewątpliwie jedną z głównych ponęt herbatki w Kole.

Oczywiście herbatka była określeniem przenośnem, wcale nie usuwajacem możliwości pokrzepienia się, czy to czarną, czy też białą kawą, pączkami, ciastkami — czem kto lubi. A wszystko to było pierwszej jakości, ślicznie podane i tem apetytniejsze, że... po cenach przystosowanych do powszechnej mizeryi.

Piękny lokal Koła sam w sobie stanowił już dla wielu atrakcyę. Przestronna sala z krużgankami balkonów niejednemu przypominała jaśniejsze chwile, jakie tam przeżył. Część sali ongi na scenkę przeznaczona zachowała dekoracyę z ostatniego balu, który się tu odbył: altankę barwnymi festonami ziela i kwiatów spowitą. Rok ledwie, a jednak wieczność prawie, odkąd z tej altany uciekły miraż balowych nastrojów; w czasie, o którym mowa, chyba kule bilardu wytupywały tu wściekłego mazura.

Atmosfera swojskości dopełniała miary miłych wrażeń, jakie wyłoniło się z herbatek Koła. Wrażeń! Zapewne; to bardzo miłe, ale jakie lotne, nieważkie! Od wrażenia nikt jeszcze nie utył! Więc pomyślano i o tem, by gościom, o ile coś zażądają, dać także coś pożywniejszego... Tak weszły w program Koła ciepłe kolacye. Wydawanie ich rozpoczynało się od godziny 6 wieczorem. Były smaczne i zdrowo sporządzone, a niedrogie; ci, którzy rzucili się

na nie, zapewniali, iż taka wieczerza w Kole znakomicie działa nietylko na ciało, lecz i ducha. Boć wiadomo, że nic lepiej nie może człowieka pogodzić z losem, jak np. *lege artis* sporządzony kotlet.

ELDORADO MALUCZKICH.

Kiedy nam działało się dobrze, kiedy miasto miało w uporządkowanych stosunkach podstawę prawidłowego rozwoju — a dość uprzytomnić sobie, jakie to herkulesowe prace przeprowadził Lwów od czasu wystawy krajowej, tj. w ciągu lat 20, — uważał rasowy Lwowianin za punkt honoru psy wieszać na ojczystym grodzie. Lekceważenie swej rodowitej pieleszy tkwiło niejako we krwi naszej; lokalny patryotyzm, z jakiego słynął zawsze Kraków, był rzeczą zgoła nieznaną „nad Pełtwi bystrym nurtem“.

Potrafiło go we Lwowie wykrzesać dopiero nieszczęście. Przy łoskocie gromów dziejowych, w oświetleniu jaskrawych błyskawic wojny, dostrzegliśmy, że owo ujadanie na własne gniazdo jest właściwie niesmaczną fanfaronadą; że nasze serca przyrosły do tego przez nas samych ośmieszanego i poniewieranego grodu; że go kochamy z całej duszy. I jakby nas paliła gorączka naprawienia krzywdy, nie poprzestawano już nawet na patryotyzmie ogólno-lwowskim: wytworzył się ponadto — jeśli wyrażenia takiego użyć wolno — patryo-

tyzm dzielnicowy, mający za tło szlachetną emulację w dziedzinie filantropii.

Dzielnica VI miała tę zasługę, iż pierwsza dała impuls do zajęcia się nieletnią młodzieżą, zwłaszcza warstw ubogich, których dziatwa, przeważnie samopas puszczona, skazana była w czasie inwazyi bardziej jeszcze, niżli w czasach spokojnych, na przesiąknięcie zgnilizną ulicy. Mieszkaniec owego »quartier« radny, Ohly, uzyskawszy przyzwolenie i przyrzeczenie poparcia od prezydenta Rutowskiego, założył w rzeczywistości przy ulicy Nabelaka l. 22 pierwszy »Ciepły kącik«. Realność ta stanowiła przed wojną jeden z sukursalnych budynków Politechniki. Dzięki swemu urządzeniu doskonale nadawała się ona do tego celu, odstąpił zaś ją »Kącikowi« bezinteresownie rektor M. Thulie.

Jakąż właściwie misję spełniał »Ciepły kącik«? Sama jego nazwa wskazuje, że był to przytułek dla biednej dziatwy, która w domu próżno szukała czegoś, co możnaby nazwać ciepłym kącikiem. Już z końcem listopada 1914 »Ciepły kącik« przy ul. Nabelaka rozbrzmiewał wesołym gwarem dziatwy, w dniu zaś 6. grudnia odbyło się oficjalne jego otwarcie. Około 330 dzieci w wieku od lat 4 do 12 spędzało tu co dnia pięć godzin (od 9 rano do 2 popołudniu). Były to prawie wyłącznie dzieci rodzin ubogich, dla których ta pomoc stanowiła nieocenione dobrodziejstwo. Dzieci po zebraniu się dostawały przede wszystkim »papu«

(herbatę z dwiema bułkami), poczem przechodziły do sal zabawy, gdzie pod kierownictwem nauczycielek zaprzętało się je grami froeblovskimi, śpiewem, slöjdem i robotami praktycznymi. Regularna nauka była przez władze rosyjskie surowo wzbroniona. Starsze dzieci ćwiczyły się w koszykarstwie, modelowaniu, intro-ligatorstwie, sporządzały buciki sznurkowe itd. Dziewczęta przyuczały się w kuchni arkanów sztuki kulinarnej, rzesza bowiem maluczkich, zebrana w »Ciepłym kąciku« dostawała we właściwej porze także obiad z dwu dań, jedno — dwa razy w tygodniu — mięsne.

Kierunek wychowawczy dziatwy spoczywał w ręku 13 nauczycielek pod przewodem p. H. Argasińskiej. Dobrą wrózką, rozłaczającą skrzydła najtkliwszej opieki nad tym schronem maluczkich była p. wiceprezydentowa Stahlowa. Wiktuałów i opału dostarczało miasto. Przy sposobności gwiazdki obdarzono dziatwę hojnie, zaopatrując ją w buciki, płaszczyki, — wszystko bardzo porządne.

Wystarczyło na chwilę zajrzeć do »Ciepłego kącika«, aby zrozumieć, ile tam wkładało się trudu i serca. Działwa, jak wspomniano, rekrutowała się ze sfer przeważnie najbiedniejszych i najczęściej trzeba to było dopiero przyuczać najprostszych form współżycia, uobyczajać i oswajać z pewną karnością. W szkole nierównie łatwiej dać sobie radę. Tam przychodzi w pomoc surowy rygor, dyscyplina — tu zastępować go musiało mądre i dobre słowo,

czasem żart, figiel — stosownie do indywidualności. Ale zacne serce kobiecie znajdzie zawsze do dziecka drogę; »ciocie« Kącika stworzyły pod jego dachem jakby jedną wielką rodzinę, w której wszystko szło przykładnie i składnie, ku prawdziwemu pożytkowi dziatwy, a dusznemu zadowoleniu »ober-cioci«, p. Argasińskiej.

DISCE PUER!

...A narzekało to dawniej na szkołę, a odkazywało na »belferów«, jakby naprawdę nauka była piekłem, pedagogowie zaś synami lucypera. Kiedy wojna wybuchła, z min naszych smyków czytałeś, że poza grozą, która ogarnęła także młodociane umysły, kipiało tam coś nakształt uciechy: Nie będzie szkoły!

Ten i ów smarkacz zacierał ręce, bo mu jeszcze ciągle »trójka« z greki lub matematyki wydawała się czemś straszniejszym od tych krwawych not, jakie profesor narodów Mars zapisywał w katalogu dziejowym. Mijały tygodnie, miesiące; młodzież powyżej uszu najadła się bezkarnego leniuchowania za szkołą i — o dziwo — innemi spoglądać poczęła na nią oczyma. Urok koleżeńskiego życia coraz pojętniej odzywał się we wspomnieniu; przytem i umysł pożądać począł więcej urozmaiconej i posilniejszej strawy, niż ją dać mogła monotonia długiego wypoczynku. Wytworzyła się wśród młodzieży szkolnej sama przez się atmo-

sfera, której trudno określić inaczej, jak łaknieniem — łaknieniem szkoły.

To też zaledwie władze rosyjskie zezwoliły z końcem stycznia 1915 na otwarcie gimnazjum prywatnego im. Mickiewicza, iście nakszałt lawiny potoczyły się zewsząd zgłoszenia. Komu tylko pozwoliły na to środki, wiódł syna do zapisu i w kilku dniach liczba uczniów doszła do 260, tzn. znalazła się już niedaleko granicy maksymalnej, poza którą wobec ograniczonej przestrzeni pójść nie byłoby można.

Aż serce rosło, gdy się widziało, z jaką ochotą — jakby każdy stu koni dosiadł — spieszyły chłopięce rzesze w mundurkach do swej uczelni; w jak wyśmienitych humorach wracali potem chłopcy w porze obiadowej do domów, szczęśliwi, że pozwolono im наконец dorwać się pracy, której znaczenia i wartości nie umieli dawniej ocenić.

Gimnazjum im. Ad. Mickiewicza mieściło się we własnym gmachu przy ul. Senatorskiej. Budynek to piękny i — co ważniejsza — wzniesiony z uwzględnieniem wymagań nowożytnej higieny budowlanej szkolnej. Izby klasowe są przestronne, mają wiele powietrza i światła. Zakład posiada też piękną aulę, w której odbywały się nabożeństwa w dni niedzielne i świąteczne. W korytarzach znajdują się szatnie; wszędzie panował jak największy ład i czystość. Budynek ma ogrzewanie centralne, uchylające możliwość zaziębień. Kwestya wszakże opalania tak wielkiego gmachu budziła zrazu niejakie

obawy; dzięki na szczęście hojnej dłoni zarządu miasta, który z uznania godną skwapliwością poczynił wszelkie w tym kierunku ułatwienia, rozwiązana została pomyślnie.

W zakładzie mieściły się szkoły trzech typów: ośmioklasowe gimnazjum klasyczne, tudzież gimnazjum-realne i 7-klasowa szkoła realna. Personal nauczycielski składał się z 22 sił z pełną kwalifikacją, w której to liczbie znajdowało się także kilku b. kierowników docentów uniwersytetu, wogóle sami wybitni pedagodowie. Kierownictwo spoczywało w wytrawnych rękach Dr. Marka Piekarskiego.

Aby ocalić ciągłość nauki, zatrzymano ile możliwości, bez zmiany program lat poprzednich i dotychczasowe podręczniki.

Jako »novum« weszła była z konieczności nauka języka rosyjskiego. Przedmiot ten zajmował w każdej klasie po pięć godzin tygodniowo, skutkiem czego w kilku klasach zdarzały się dni, na które przypadało 6 godzin nauki.

W programie wielką wagę położono na religijne wychowanie młodzieży. Zarówno dyrekcyja jak i katechetura usilnych dokładały w tym kierunku starań.

Równie gorliwą troskę poświęcono wychowaniu w duchu narodowym, z wykluczeniem wszakże polityki.

Tradycya przekazała młodzieży uniform szkolny. Trudno byłoby sobie nawet wyobrazić studencika bez mundurka. Czuła sama mło-

dzież wartość pedagogiczną a także towarzyską tej dystynkcji, jakkolwiek więc Dyrekcyja nie rozstrzygnęła sprawy stanowczem orzeczeniem, uczniowie prawie bez wyjątku stawili się i uczęszczali do szkoły w mundurkach.

Kurs rozpoczęty z końcem stycznia trwał do 15 maja, poczem rozpoczął się kurs drugi i sięgać miał do ostatnich dni sierpnia.

W pierwszych zaraz dniach po otwarciu zakładu zwiedzał go koniuszy cesarski i poseł do Dumy, Czichaczew. Gość z wielkiem wyraził się uznaniem o szkole i o toku pracy. Jawił się również w gimnazjum im. Mickiewicza rotmistrz ułanów hr. Kazimierz Tarnowski z Kijowa, który na pamiątkę swego pobytu złożył był 63 rb. jako całoroczną opłatę za jednego ubogiego ucznia.

»PRZEMYSŁ DOMOWY«.

Właściwie — to szkoła w Kulikach, założona i utrzymywana przez »Mały Świątek« szkoła, która zarazem stała się fabryką zabawek, krajowych, była powodem, że w okresie świątecznym r. 1914 utworzono Bazar gwiazdkowy. Wspomniany bowiem zakład wyprodukował jeszcze w czasach przedwojennych ogromny zapas różnych cacek; trudno więc było, pogodzić się z myślą, by tyle pracy nie poszło na marne.

Mars niechętnie, co prawda, sprzyjał podobnej imprezie i kiedy kwestya była jeszcze w stadyum projektu, nie brakło głosów prze-

strzegających przed fiaskiem. A jednak fiasko nie tylko nie spełniło się, lecz, przeciwnie, zabiegi pań uwieńczył nadspodziewany sukces: samych zabawek kulickich sprzedano w Bazarze gwiazdkowym za 1600 kor.

Powodzenie zachęca. Pomyśleli więc sobie inicjatorzy: Czy to nie wskazówka, że wogóle wyroby przemysłu domowego mogą na silny zbyt liczyć? Skoro nawet zabawki rozsprzedano, to o ileż większym popytem cieszyć się będą wyroby dla użytku praktycznego przyznaczone.

I tak Kuliki dały impuls do założenia Bazaru gwiazdkowego, a z Bazaru wyłonił się »Przemysł domowy«, osadzony w eleganckim sklepie przy ul. Kilińskiego, gdzie dotąd rezyduje. Wystawa magazynu dobrze zaleciła go zaraz w początkach. Widziało się tam wyroby najrozmaitszych kategorii: konfekcje, bieliznę, artykuły z dziedziny gospodarczo-domowej, wytwory sztuki stosowanej, zabawki itd. itd., a wszystko wykonane dokładnie, gustownie i wszystko po cenach nierównie przystępniejszych, niż gdzieindziej. Sklep zasilał się z dwu źródeł: przyjmował wyroby przemysłu domowego w komis, dawał więc możność ich zbytu kobietom, ponadto zaś posiadał własną pracownię, produkującą na razie obuwie sukienne ale mającą w miarę zapotrzebowania zagarniać z czasem coraz nowe dziedziny wytwórczości, coraz bardziej rozszerzać zakres swej pracy.

W sklepie rządy wiodły p. Fryczek, która

specjalnie opiekowała się Kulikami i p. Kołowska, pod której kierownictwem pozostawał dział konfekcyi damskiej i dziecinnej, nadto zaś cały dział komisowy. — Ruch w sklepie bywał bardzo znaczny, przez czas pewien wzrastał niemal z dnia na dzień tak, że miasto, które przez prez. Rutowskiego, pospieszyło tej inicjatywie z pomocą i wogóle umożliwiło jej urzeczywistnienie, wcale nie miało powodu żałować swej skwapliwości.

Bezpłatnie początkowo ofiarowało miasto oprócz lokalu sklepowego także — w tej samej realności na drugim piętrze od ul. Teatralnej, — lokal na pracownię Przemysłu domowego. Tu znowu zawiadowstwo sprawowała p. Demełówna, wytrawna i zasłużona na polu praktycznem pracy kobiecej działaczka, która z fachową wiedzą szczęśliwie łączy dostateczny zapas energii, a z energią, niepospolity zmysł organizacyjny.

»Wojenna« owa pracownia wyrabiała na razie tylko artykuły sukienne, a więc pantofle domowe dla starszych, buciki domowe dla dzieci, berlacze, rozmaitego rodzaju nakrycia na głowę, czapki sportowe i t. p.

Robota była bardzo solidna, a uwzględniała zarazem wymagania gustu i dzięki temu znajdowała tak silny odbyt, że zaledwie można było nastarczyć zamówieniom.

Miało tu zatrudnienie około 60 kobiet. Każda ze wstępujących musiała naprzód przyuczyć się swej roboty, ale nauka nie przycią-

gała się poza dni kilka. Pracę wyspecjalizowano, bucik więc np. przechodził przez kilka rąk, zanim był gotów. Te pracownice sporządzały tylko podeszwy, tamte przykrawywały sukno, inne przymocowywały przyszwę do podeszew, inne zajmowały się wybijaniem dziurek na guziki i przyszywaniem guzików i t. d. Zyskiwała na tem szybkość i dokładność pracy.

Kobiety zajęte w pracowni przemysłu domowego wynagradzane były akordowo, t. j. od ilości dostarczonej pracy. Zarobek, zależnie od zręczności i wprawy, wahał się między 2 a 3 koronami dziennie.

Zarząd, w skład którego wchodził: dyrektor patronatu Schoenett, jakoteż pp.: Dulębianka, Argasińska, (Tow. popierania przemysłu kobiet) i Demelówna, chciał zwolna od tych skromnych początkowo przejść do akcji, która nie dziesiątkom, lecz setkom, tysiącom kobiet dałaby możliwość egzystencji bez upakrzającego czerpania ze źródeł dobroczynności publicznej. Pięknemu zamiarowi nie dane było ziścić się dotąd — choć niema powodu do mniemania, jakoby ziścić się nie mógł kiedyś, gdy wrócimy do stosunków normalnych.

IZBA HANDLOWA I PRZEMYSŁOWA.

Była to wielka, można pani. Zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy na macierzyńskim jej łonie wyrósł Instytut technologiczny dla pod-

niesienia zawodowego wykształcenia i rozwoju przemysłu rękodzielniczego, oraz wyrzała z pie-luch giełda zbożowa i towarowa. Zanim ta o-statnia zdołała się rozwinąć, spadła katastrofa i najpiękniejsze nadzieje poszły »ad patres«. Gmach Instytutu technologicznego zajęły wojska rosyjskie i zbawienna jego działalność dla rzemiosła doznała przerwy.

Izba handlowa i przemysłowa ma za sobą nie byle jaką przeszłość. Ujrzała po raz pierwszy światło dzienne w r. 1850, liczy więc 66 lat życia. Zapewne, dla kobiety wypisywanie takich dat z metryki nie byłoby komplemen-tem. Wszakże instytucye nietylko nie wstydzą się podeszłego wieku, lecz przeciwnie kokieto-wać lubią ogół swym wiekiem, im bardziej sę-dziwym, tem więcej budzącym zaufanie.

Obdarzywszy u wstępu starą Izbę handlo-wą i przemysłową tytułem wielkiej pani, wcale nie myśleliśmy kpić z niej. Bo ta Izba, której prawa i obowiązki określił statut z r. 1850, zastępowała interesy handlowe i przemysłowe nietylko miasta Lwowa, lecz nadto 34 starostw. Obszar podległy Izbie mógłby tworzyć od biedy osobne państewko i to nie najlichsze, w każdym razie większe i ludniejsze, niż n. p. tak pom-patycznie w geografii zarejestrowane królestwo Czarnogóry.

Wspomniany bowiem obszar zamieszkuje ludność 4 miliony głów licząca — obliczyć łatwo, ile np. mógłby on postawić wojska!

Oczywiście, działalność Izby w czasie in-



»Dziki« człowiek



»Waryat« wojenny

wazyi ograniczona była do skromnych rozmiarów. Z handlem jeszcze pół biedy, chociaż i on pod wpływem zdarzeń wojennych otrząsnął się ze wszystkiego, co mu do życia nie było nieodzownie potrzebne. Tedy wymknął się też częściowo z pod opieki Izby, zwłaszcza, że w wielu wypadkach uważał ją raczej za ciężar, ponieważ krępowała niezdrowe zapędy żywiołów z pod ciemnej gwiazdy. W każdym jednak razie handel przynajmniej istniał.

Drugie jednak pole działania Izby — przemysł, przedstawiał się i dawniej w bardzo skromnych rozmiarach. Wojna zaś wszędzie uniemożliwia przemysł, zabija go, lub co najmniej wprowadza w stan letargu. Pewna jednak — co prawda — bardzo niewielka ilość zakładów przemysłowych była w okupowanej części Galicyi w ruchu, a od czasu do czasu, zwolna warstaty pracy przemysłowej — jeden po drugim — budziły się do życia.

Na ogół tedy funkcjonowanie Izby handlowej i przemysłowej w czasie inwazyi, nie było zbyt intensywne. Cóż bowiem miała Izba do roboty? Udzielała informacyi skwapliwie z każdej korzystając sposobności, lecz okazyja taka zdarzała się nieczęsto wydawała atesty, potwierdzenia i t. p., ale i w tym nawet dziale nie-
zbyt częste dochodziły ją zgłoszenia.

Niemniej pięknie to i chwalebnie z jej strony, że ratując honor domu, ilekroć kto zapytał, co też nam ocalało z dawnego dobrobytu — dawał się słyszeć głos jej: »Anch io!«

Pozostała u wyłomu. To jest: kto właściwie pozostał? Przedewszystkiem sekretarz Izby i szef jej Biura, pot. dr. Wł. Stesłowicz, zastępca jego dr. Rodakiewicz, jakoteż adjunkt p. E. Pokiziak, liczebnie cząstka niewielka dawnego Biura, lecz najważniejsza.

Szeregi członków Izby ogromnie los przedził. Prezydent, S. Horowitz nie zdzierzył, gdy nawiedziły Lwów ciężkie terminy; zastępca jego p. L. Baczewski, również lary swe i penaty w bezpieczniejsze uwiózł strony świata.

Kierownictwo Izby sprawował po ich wyjeździe drugi wiceprezydent Izby, znany kupiec, p. Ludwik Winiarz.

Z członków Izby przebywali w czasie inwazyi we Lwowie pp.: Halski W., Lewicki Bol., Janowicz Krzysztof, Getritz Al., Lewakowski Z., Schirmer J., Bardasz F., Szkowron Alb., Thom M., Winlarz L., Wolski W. i Zacharjewicz Alfred — summa summarum dwunastu, jak apostołów Pańskich.

KUPIECTWO.

W sklepie wrzało i huczało. Panie, panowie, wojskowi, dzieci, język polski, rosyjski, francuski — wszystkie lady obłożone!

Pryncypał złożył komendę w ręce p. Władka, sam zaś, ciężko wzdychając, że uprowadzam go z posterunku, usunął się ze mną do t. zw. »dziurki«: w cichą, na wpół ciemną ustron, niedostępną dla profanów.

— Nakoniec! rzekłem. Po dwu tygodniach nagabywania co dni parę, mam pana w swoich szponach i już mi się nie wywiniesz.

Ponowne westchnienie i szanowny przedstawiciel handlowości skrzył się, jak motyl żywcem wbity na szpilkę.

— Sam pan widzisz, przekładał, czy to moja wina. Człowiek niekiedy nie ma czasu utrzyć nosa. — Obiad jadam dopiero późnym wieczorem; o jakichś stosunkach towarzyskich, a choćby z najbliższymi przyjaciółmi, krewnymi, ani myśleć; przyjdzie zaś niedzielne popołudnie, to kładę się i śpię, jak suseł, aby dać sposobność ostygnięcia nieco gorączce. Ale mam nadzieję, że pan mnie długo więzić nie zechcesz; sklep pełen gości...

— A jednak nie puszczę pana, dopóki nie usłyszę exposé o stosunkach handlowych w naszym mieście.

— Ależ panie kochany, wcale niezabawna kwestya! I nie ze wszystkiem wesoła. — Publiczność psy na nas wiesza, nie chce zaś zrozumieć wielu rzeczy, które są przecie tak jasne!

— Dla pana, nie dla publiczności. O to mi właśnie idzie. Pozwól więc pan, że dla uproszczenia postawię kilka pytań. — Primo: Nie da się zaprzeczyć, że okres od września 1914 musiał w handlu wywołać pewne przesilenie. Jakże przebyło je kupiectwo nasze?

— Rozmaicie. Jeśli pytasz pan o kupiectwo poważne, to, wiadomo, że wyszło ono z przesilenia bez szwanku. Nasze wielkie magazyny

utrzymały się wszystkie i żadnemu z nich nie grozi. — Mieliliśmy je dostatnio zaopatrzone, w czasie więc przejściowym, dopóki nie wprawiano żadnego dowozu, było z czego czerpać, teraz zaś (działo się w styczniu 1915. Przyp. Aut.) nie brak już sposobności do sprowadzania nowych zapasów. Oczywiście nie we wszystkich branżach. Główną jednak rolę gra korzennictwo, a właśnie ono znajduje się w położeniu z tego względu najkorzystniejszym...

— Wyzyskuje też niemiłosiernie owe położenie, — korzystne, jak pan przyznajesz.

— Mój panie, na tem polega handel; kupować jak najtaniej, sprzedawać jak najdrożej!

— Do pewnych wszakże granic. Istnieje przecie jakaś etyka handlowa, która wyróżnia solidnego kupca od pospolitego kramarza. Pewnie, że tam, gdzie podaź mała lub ustaje, a popyt wielki, ceny muszą iść w górę. Czy jednak nie jestto ordynarną lichwą, jeśli np. zapalki galicyjskie, — te same więc, których 10 pudełek kosztowało w normalnych czasach 10 do 16 halerzy, czyli za które kupiec zapłacił najwyżej po 6 do 10 halerzy, sprzedaje się teraz po 60 do 70 halerzy?

Kupiec wzruszył ramionami.

— Przyjmijmy, — bronił się, że w tym wypadku »przesadzono sakramentu«. Z drugiej jednakowoż strony także publiczność nie ma dla nas względu. Okazało się to zwłaszcza w pierwszych początkach wprowadzenia monety rublowej. Nasz towar był przecie kalkulowany

na zupełnie innych podstawach; tam, gdzie kupowaliśmy przed rokiem, czy półtora, stosunek waluty koronowej do rubla przedstawiał się zgoła inaczej, rubel nie równoważył 3 kor. 33 h. O transponowaniu cen zrazu nikt nie pomyślał, nie mieliśmy poprostu czasu. Ale publiczność z miejsca połapała się na tem i poczęła na nas robić interesy. Przychodzi np. do mnie dama i skromniutko pyta: »Ma też pan kakao, które zawsze tu brałam?« Jest. »A ile kosztuje?« Cena wydrukowana na etykietce. »Tak! No, to na kopiejki wypada tyle i tyle«. Zapłaciła kopiejkami, nie pytając czy nie ponoszę straty, a ja istotnie dopłaciłem do tego interesu. Takich zaś pozycyi bywało dzień w dzień po kilkadziesiąt.

— Odbiliście sobie na czem innem!

— Czyż mieliśmy dać się zrujnować? Teraz już strat z tego tytułu nie ponosimy, ustanowiony bowiem kurs rubla uwzględniliśmy przy zakupach, ale w ciągu pierwszych kilku tygodni nowego stanu rzeczy dał nam się porządnie wznaki spekulacyjny zmysł P. T. publiczności.

— A jak to było, — zapytałem bez obwijania w bawełnę, z owem, o którym tyle się słyszy, chowaniem pewnych artykułów dla wyśrubowania ich ceny?

— Podobno zdarzyły się takie wypadki istotnie, lecz tylko u kupców — *nomina sunt odiosa* — którzy, jak okazało się, nie zasługiwali na to, by ich kupcami nazywać. Tego ro-

dzaju sztuczki przekraczają granicę moralności kupieckiej. Porządny kupiec nigdy nie zrobiłby nic podobnego. To już ordynarny wyzysk kramarski...

— A kramarzy namnożyło się. Niekoniecznie w ujemnem tego słowa pojęciu. Powstało mnóstwo sklepów nowych. Rzuciła się do handlowania inteligencya. Zjechali kupcy rosyjscy. Czy nie powstał stąd nadmiar konkurencyi?

— Zapotrzebowanie jest tak wielkie, że o nadmiarze nie może być mowy. Starczy dla wszystkich. Jak z czasem stosunki się ułożą, trudno naturalnie przewidzieć.

— Ale dotąd... na ogół?

— Kupcy nie mają powodu uskarżać się. Robią interesy — niektórym nawet świetnie idzie. Lęk tylko zbiera nas o przyszłość. Trzeba będzie wyszukiwać nowe źródła produkcji, do zupełnie nowych firm zwracać się, na nowych podstawach opierać umowy. To będzie dopiero istotne przesilenie. Tym, którzy zechcą je przeżyć, wypadnie nauczyć się wiele rzeczy nowych i — co stokroć jeszcze trudniejsze — oduczyć się niejednego. Ale w Bogu nadzieja!

Tak sytuację handlową na targu lwowskim jeden z wybitnych naszych kupców określił w styczniu r. 1915.

MIZERYA RZEMIEŚLNICZA.

Rzemiosło rzemiosłu nierówne: Są takie, bez których obejść się niepodobna (*ob schoen*,

ob Regen). Inne natomiast, dostarczające zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu, mniej lub więcej zbytkowych, wymagają dla swego istnienia pomyślniej konfiguracji stosunków. Piekarz np. może nieco ucierpieć pod wpływem stagnacji finansowej, ponieważ atoli trudno przypuszczać, by ludzkość mogła *per longum et latum* uprawiać głodomorstwo, przeto zawsze znajdzie zarobek, choćby tu i ówdzie mniej wydajny. Czy jednak w tem samem położeniu znajdzie się — powiedzmy — organmistrz, gdy przyjdą ciężkie czasy, gdy ludność ugnie się pod troską o chleb codzienny, a w kościele szukać będzie nie koncertu na organach, jeno słodczych cichych, żarliwych modłów o zmiłowanie?

Rzemiosła u nas robiły bokami już przed wojną. Lwów jako miasto przeważnie z urzędników żyjące, był chronicznie za słaby, iżby wytworzyć zasobny stan rękodzielniczy. Ponadto zalewała nas tania tandeta wiedeńska, z którą konkurencyja stawiała się na wielu polach wprost niemożliwa.

Wojna oczywiście nie poprawiła tej mizeryi, przeciwnie zepchnęła we Lwowie przeważną liczbę rzemiosł w przepaść zupełnego zastoju i co za nim idzie, nędzy.

Jedynie te rzemiosła, które dostarczają materiału przemysłowi spożywczemu, nietylko bez szwanku wyszły z katastrofy, lecz nawet grubo porosły w pierze. Oblizywał się co dnia po tłustej grzance masarz i rzeźnik, rósł jak na drożdżach piekarz, kuśnierz i wytwórca przyborów

męskich zaledwie nadażyć mógł zamówieniom. Opływali oni *in floribus*, tak samo, jak wśród sfer kupieckich korzennik i galanteryjnik.

Ale poza tem...

»Siła złego na jednego« powiedzieć o sobie mogło rękodzielnictwo lwowskie czasu inwazyi. Bo też co wszystko zwały się na nie: drożyzna życia, brak materyałów i ogromne podrożenie tych, które było dostać można, brak rąk roboczych, bo z pomocników przeważna liczba wyruszyła w pole, — no, i popyt wogóle osłabiony, w wielu zaś gałęziach spowodowany do poziomu zupełnego zaniku.

Nawet szewstwo, jakkolwiek słusznie uchodzące za najpewniejszy ze wszystkich rzemiosł interes, niezmiernie ucierpiało pod brzemieniem tych przeciwności. Z 590 samoistnych majstrów zaledwie u $\frac{1}{5}$ nie obniżyła się skala produkcji, przyczem jako znamię charakterystyczne zaznaczyć wypada, że najlepiej prosperowały pracownie wielkie, dostarczające głównie obuwia wykwińskiego. Pochodziło to stąd, że klientela obca zwracająca się naturalnie kunim, rozporządzała dostatecznymi środkami, by wymagać tylko odpowiedniej jakości, a nie dbać o taniość. Natomiast drobne pracownie, albo zupełnie ruch zastanowiły, albo też prowadziły nędzny, suchotniczy żywot, ich klienci bowiem liczyli się z każdym groszem, na sprawienie sobie pary tanich bucików tygodniami musieli co dnia odkładać po parę groszy i nawet podeszwy nie

prędzej dawali »podzelać«, zanim stara na wskróś się nie przetała.

Wojna skroiła kurtę także krawcom. Z około 600 pracowni tej kategorii zaledwie drobny procent znajdował się w ruchu, reszta popadła w zupełną martwość. Jak baśń o żelaznym wilku wspominano czasy, gdy ludzie przychodzili zamawiać — nie mówiąc już o frakach i smokingach — garnitury marynarkowe, surduty, anglezy, raglany, ulstery i tyle, tyle pięknych rzeczy, na których wprawdzie skutkiem konkurencyi wiedeńsko żydowskiej nie zarabiało się wiele, jednakże, gdy tego zebrało się wiele, to przynajmniej wyżyć było można.

A pracownice igły dzieliły dolę męskich swych kolegów. Około 1000 krawczyń, szwaczek i modystek snuło się po Lwowie bez zajęcia i bez nadziei znalezienia go w niedługim czasie.

Do zawodów, które najciężej ucierpiały skutkiem wojny, należało niewątpliwie drukarstwo. We Lwowie istniało 42 zakładów drukarskich i litograficznych. Zatrudniały one przed wojną ponad 500 pracowników kwalifikowanych, z których zaledwie cząstka znikoma nie straciła chleba, otrzymawszy zatrudnienie w oficynach tłoczących pisma codzienne. Pozatem drukarnie zgoła nie miały roboty; ledwie tu i ówdzie zamówił ktoś afisz, tabele rachunkowe, klepsydry pośmiertne itp. Wojna potrzebuje prochu, stali, ołowiu; potrzebuje chleba i siana -- nie bibuły.

Dozwólmy jednak »wygadać się« cyfrom. Z innych zawodów rękodzielniczych mało który ocalał — choćby częściowo. Wypoczynku przymusowego z braku jakiejkolwiek roboty zażywało 232 lakierników i malarzy, 220 stolarzy, 165 ślusarzy, 120 blacharzy, 70 tapicerów, 60 intro-ligatorów, tyluż instalatorów, 56 szczotkarzy, tyluż szklarzy, 50 murarzy, 39 mechaników, 36 kamieniarzy, 35 rymarzy i siodlarzy, 30 organ-mistrzów i fortepianistów, 30 tokarzy, 19 cieśli, 15 stelmachów, 14 rytowników, 12 studniarzy, 12 sztukatorów, 12 kaflarzy, 10 mosiężników, 9 bronzowników, 8 bednarzy, 6 rzeźbiarzy, 5 kotlarzy, 5 rusznikarzy, 4 koszykarzy i 3 instru-mentarzy. Wykaz ten obejmuje samoistnych tylko majstrów, utrzymujących osobne pracow-nie. Ogółem wyrwała wojna grunt z pod nóg 2500 pracownikom rękodzielniczemu we Lwowie, nie licząc wyłącznie kobiecych. Ponieważ na każdym z owych zakładów po kilka rodzin opie-rało swą egzystencję, śmiało stwierdzić można, że w dziesiątki tysięcy sięgała liczba osób tej kategorii, wyrzuconych na bruk i pozbawionych kawałka chleba przez katastrofę wojenną.

Izba Stowarzyszeń rękodzielniczych z któ-rej ksiąg zaczerpnęliśmy nasze daty, dokła-dała wszelkich starań dla przyjscia rękodzielom z pomocą: także miasto czyniło w tym kierunku niemałe wysiłki; niestety ogrom nędzy był zbyt wielki, by można go było opanować.

POD ZNAKIEM TEMIDY.

Sądownictwo nasze chlubne miało zawsze za sobą karty. Stało poza obrębem dykasteryi, zażywało szczególnej a zasłużonej powagi. Wyposażone niezawisłością, składało niejednokrotnie dowody szczytnego pojmowania swej misyi. Sądownictwo też jedyne z władz w krytycznym momencie przewrotu wrześniowego pozostało z nami. Nie ruszyła się Temida z miejsca. Nie dała sobie przez Marsa wytrącić szal sprawiedliwości z ręku.

Nieznacznie tylko uległy szeregi justycyi przerzedzeniu. Powstały tu i ówdzie luki, przeważnie wszakże z tej jedynie przyczyny, że niektórych na urlopie bawiących sędziów lwowskich zaskoczyła wojna niespodziewanie, odcinając im możliwość powrotu.

Wyjechał wprawdzie z władzami w noc z 30. na 31. sierpnia 1914 prezydent wyższego Sądu krajowego. Eksc. Czerwiński, ale nie wyjechał przeznaczony wiceprezydent Przyłuski. Zastępczo sprawował on funkcyę prezydenta przez szereg miesięcy — ustąpił ze stanowiska dopiero z początkiem lutego, gdy mu władze rosyjskie kazały »zmienić miejsce pobytu«, od którego to czasu kierownictwo wyższ. Sądu krajowego sprawował radca dworu Bieńczewski.

Podobnie stało się i w prokuratoryi państwa, gdzie miejsce naczelnika, prokuratora Maliny, zajął zasłużony pierwszy prokurator Barth, kie-

rownictwo zaś prokuratorji lwowskiej radca Szymonowicz.

Nie poniósł tedy szwanku wymiar sprawiedliwości. Za zgodą władz rosyjskich zarówno wyższy Sąd krajowy, jak sąd cywilny i karny, jak wreszcie wszystkie sekcye (I, II, III) urzędowały nadal i wcale nie przerywały urzędowania. Również personal ich kancelaryjny w poczuciu moralnego obowiązku spełniał z całym zaparciem swe obowiązki.

Z zaparciem! To nie frazes pusty. Wśród sędziów i urzędników sądowych niewielu chyba znajdowało się takich, których egzystencya oparta była na czem innem, jak na służbowych poborach. Sądowcy dzielili przecież dolę innych urzędników — jeżeli dolą nazwać godzi się taką błyszczącą nędzę. Nagle znaleźli się na lodzie — bez dochodów i bez możności szukania ich na innych polach, jak urzędnicy, których urzędy zwinięto. A jednak powiedzieli sobie, że wytrwać trzeba i — wytrwali. Zaliczki na płace urzędnicze — to był jedyny zasiłek, który im się dostał, zasiłek, ani wczesny, ani zbyt suty.

Zostały wprowadzić w kasach sądowych pewne sumy (znaczniejsze sumy i depozyty wczas przewieziono do Wiednia), tych wszakże użyć trzeba było na cele inne, bardziej jeszcze piekące, bo na utrzymanie sądów, by one wogóle funkcjonować mogły — tedy na pauszalia, na opał, oświetlenie, a głównie na utrzymanie aresztów i żywienie więźni, boć trudno ich było morzyć głodem lub rozpuścić to stado wilków po-

między owce. Gdy zasoby sądów wyczerpały się, wyasygnował skarb rosyjski na wspomniane cele odpowiednie fundusze — tak, iż sądom naszym ten przynajmniej kłopot spadł z głowy.

Kłatwą sądownictwa galicyjskiego wogóle, a lwowskiego w szczególności, było — jak wiadomo — przeciążenie pracą. — Agendy wzrastały w stosunku geometrycznym, a personal pomnażał się zaledwie arytmetycznie. Wprowadzenie nowej procedury małą tylko przyniosło ulgę. Sędziowie uginali się pod nawałem pracy i trzeba było ogromnych wysiłków, wysokiego poczucia obywatelskiego, by w tych warunkach judykatura nie była na ujme narażona. Różne stosunki składały się na to: zawikłany tok postępowania, bujanie spekulacji, pieniactwo.

Wojna wszystko to wymiotła. Wprawdzie nie uległ zmianie tok postępowania, jednakowoż przedmioty akcji prawnej doraźnie uległy gwałtownemu ograniczeniu. Samo już moratorium oczyściło pole, jak kosa zapuszczona pomiędzy chwasty. Zamknięcie wielu kanceleryj adwokackich i wyjazd mnóstwa osób z rzędu tych właśnie, które sądom najwięcej przysparzały roboty, podziałały tak samo. Koniec końcem przeciążenia sprawami aktualnymi podczas inwazyi nie było w sądach. Sądownictwo cywilne uprawiało niemal wyłącznie pertraktacje spadkowe, ustanawiało kuratele do majątku osób nieobecnych, rozpatrywało sprawy o najem mieszkań i lokali, o zapłatę czynszu itp. Także repertuar sądu karnego zeszczuplał bardzo, a nie

dlatego naturalnie, jakoby zmniejszyła się zbrodnicość, lecz z powodu, że znaczna liczba deliktów podpadła pod jurysdykcję sądu wojennego.

Mylnem byłoby mniemać, że wobec niewielkiej ilości spraw nowych, czynność sądów polegała na takim sobie niepróżnującem próżnowaniu w myśl znanej zasady *ut aliquid fecisse videatur*. Dawna Sodomia i Gomora pozostawiła po sobie co niemiara zaległości. Teraz więc to odrabiało się — o, paradoksie! — spokojnie. Oczywiście nie w każdym wypadku możliwe było załatwienie. Wiele spraw musiano znowu napowrót odłożyć, jakże bowiem rozstrzygać je, skoro powyjeżdżały strony, lub prawni ich pełnomocnicy, albo też i ci i tamci.

Wymiar sprawiedliwości odbywał się w dalszym ciągu na podstawie ustaw austriackich; nawet sporządzało się akta i wygotowywało rezolucye na dawnych »druksortach«, jak gdyby nic wogóle w stosunkach nie uległo zmianie. Wymiar należytości prawnych opierał się na przepisach austriackich. Austriackimi w końcu posługiwano się stemplami, dopóki można ich było dostać; dopiero około lutego zajęły ich miejsce stemple rosyjskie.

W ciężkich nad wyraz okolicznościach Temida nasza usprawiedliwiła w sposób arcychwalebny wysokie rozumienie, jakie mieliśmy o niej. Zdała egzamin *maxima cum laude*.

PALESTRA.

Lwów cierpiał na hyperprodukcję jurystów. W spisie z r. 1914 zarejestrowano adwokatów bez mała 500. Znaczy to, że jeden adwokat przypadał u nas na mniej więcej 400 dusz. Jeśli z tej liczby odrzuci się jedną setkę na dzieci, jedną na kobiety niesamoistne, jedną wreszcie na ludzi ubogich, lub tak żyjących, że do porady prawnej sięgać, nigdy nie mieli potrzeby, to adwokat lwowski ostatnich czasów mógł liczyć co najwyżej na stu klientów. Trzeba było niemało rozwijać sprytu, by z tak szczupłego zastępu wydusić dostateczne fundusze na utrzymanie własne i kancelaryi.

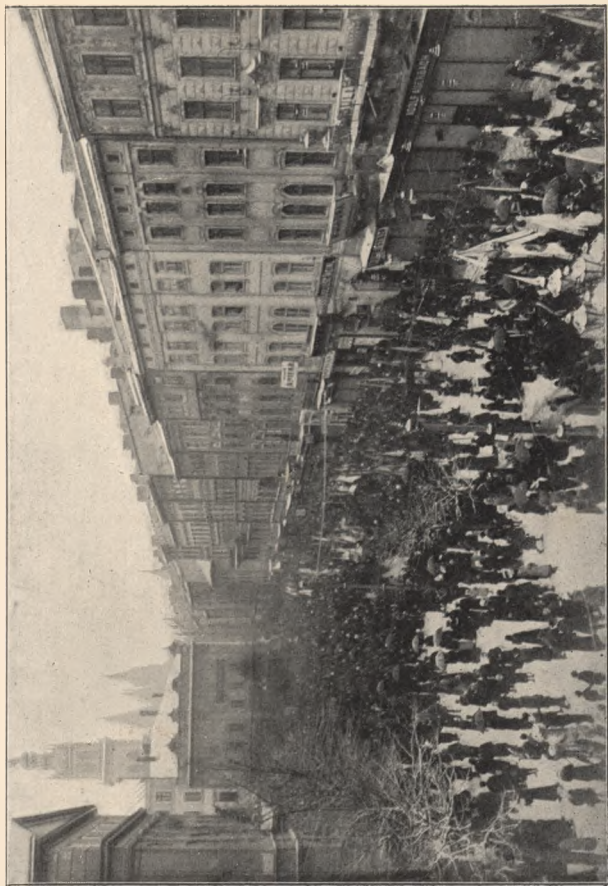
A jednak pchało się jakoś tę ciężką taczkę żywota i ostatecznie, czy kto słyszał, by jaki »mecenas« złorzeczył swej doli? W ostatecznym razie nadrabiał miną. Jednym szło lepiej, drugim gorzej — egzystencję jaką taką mieli wszyscy. Różnice były pod tym względem, co prawda, ogromne. Istniały kancelarye prawnicze, których dochody obliczano na kilkadziesiąt, ba, kilkaset tysięcy koron rocznie. Drugi kraniec szeregu zajmowały takie, w których »Maciek zrobił, Maciek zjadł« i to jeszcze nie bardzo się pożywiwszy.

Palestra lwowska grupowała się dokoła kilku znakomitych przedstawicieli wiedzy prawniczej i oni też również pod względem finansowym najwybitniejsze zajmowali stanowiska. Jedni z nich zasłynęli w kryminalistyce jako pierwszorzędni

obroncy karni — inni woleli zjadać spokojny, a pożywny chleb prawa cywilnego. Adwokaci średniej miary szukali oparcia na syndykatach; oczywiście, im większa była instytucja, tem większe dochody przynosił urząd syndyka. Wreszcie adwokaci ostatniej gildy prowadzili żywot bardzo mozolny i zależeli właściwie od łaski losu. Lepiej jeszcze stali ci z nich, którym udawało się pośrednictwo w interesach handlowych i finansowych; schodzili wprawdzie na poziom zwykłych sensali, ale jeden dobry interes mógł na czas dłuższy spędzić z czoła troskę o jutro. Najmizerniej wiodło się adwokatom wyspecyalizowanym w sprawach spornych mniejszej wagi. To była istna »hamarnia« — ciągłe użeranie się ze stronami, uganianie po terminach, dopilnowywanie zajęć i egzekucyj, ogółem kłopotów i trudu co nie miara, zysku zaś mało.

Odkąd wojna rozpostarła swe nieszczęsne panowanie nad wymienionemi dziedzinami życia, nastąpiło wśród wymienionych powyżej kategorii adwokatury zupełne zrównanie: nie było kancelaryj, które miałyby więcej i takich, które miałyby mniej, bo wszystkie nie miały nic do roboty!

Przeważna liczba naszych mecenasów, ujrzawszy Lwów zagrożony, otrząsa pył z obuwia i czmychła. Zasobni skrycie rozumowali, że mogą niewątpliwie przeczekać wichurę wojenną w spokojnem miejscu z większem nerwów oszczędzeniem, niżli tu na bruku lwowskim; jak sobie na uchodźstwie dali radę niezasobni, to już



Uroczystość Jordanu w Rynku



Tania kuchnia w »Sokole«

ich tajemnica. Koniec końcem, z falangi około 500 adwokatów, niespełna stu (licząc już z przybyłymi z prowincyi) siedziało na bruku lwowskim. Siedziało w czasie inwazyi, o ile nie woleli przechadzać się i z melancholią wodzić oczyma po murach grodu, w którym tak niedawno jeszcze było dla człowieka prawniczo wykształconego tyle do roboty.

Izba adwokacka niby urzędowała, niby nie urzędowała, w każdym razie ustanawiała substytucye dla kancelaryi, opuszczonych przez właścicieli. Substytucye takie dawniej były rzadkie, a młodzi adwokaci witali je z wielką radością, jako zwiększenie dochodów. W czasie inwazyi budzić przestały one entuzjazm, bo nie dawały nic, prócz — niewielkiego zresztą — kłopotu.

Ruch w kancelaryach adwokackich prawie zupełnie ustał. Zaledwie od czasu do czasu przybłąkała się jakaś marna sprawa, jakieś dochodzenie pretensyi wynikłej już po ogłoszeniu moratorium, jakieś awizowanie czynszownika, któremu udowodnić można było, że zarobkuje w takiej mierze, iż mógłby bez ujmy dla swej egzystencji czynsz zapłacić — same, jednym słowem, »szuszwalki«, a i one nawet bardzo nieliczne, ale za to ogromnemi odstępami czasu od siebie odgrozione.

TELEFONY.

Słońce znajduje odbicie nawet w najdrobniejszej kropelce rosy a echo wielkich wypad-

ków dziejowych wciska się we wszystkie zakamarki życia.

Instytucja telefonów, tyle udogodnień nam zapewniająca, niemało poniosła szwanku skutkiem zdarzeń, które przyniosła z sobą wojna. Już przed jej wybuchem regularne funkcjonowanie telefonów uległo licznym ograniczeniom; w drugiej zaś połowie sierpnia 1914 publiczność prawie wcale z nich nie mogła korzystać. Gdy rząd austriacki opuścił miasto, stanęła i ta maszyna.

Jednakże już w dwa dni po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Lwowa wezwał prezydent Rutowski starszego radcę pocztowego p. Józefa Białynię Chołodeckiego, by wspólnie z kontrolorem p. Łukaszem Kurmanowiczem zajęli się organizacją telefonów miejskich. Organizację przeprowadzono niezwłocznie. P. Chołodecki objął kierownictwo administracyjne, p. Kurmanowicz zawiadowstwo ruchu, dział zaś budowy linii oddano pod zarząd inżyniera Romana Garwulińskiego.

Na wezwanie umieszczone w dziennikach zgłosiło się 32 dawnych oficjantek i 46 substytutek — liczba wcale znaczna, jednak mało co przekraczająca zaledwie połowę sił dawniej do obsługi telefonów zaprzężniętej, ostatnimi bowiem czasy przed wojną pracowało u nas 146 telefonistek. Funkcye mechanika poruczone zostały p. Emilowi Preyerowi. W myśl reorganizacji przeprowadzonej przez star. radcę Chołodeckiego trwać miała służba w telefonie od

godziny 8 rano do 8 wieczorem. Telefonistki podzielono na dwie partye, z których jednej połocono urzędować do godziny 2 popołudniu, drugiej zaś od tej godziny do 8 wieczorem.

Abonentów zgłosiło się nieco więcej ponad połowę dawnej liczby, inni albo wyjechali ze Lwowa, albo też z powodu zepsucia linii stracili kontakt z centralą.

Zaledwie jednakowoż tym sposobem wznowiono ruch telefoniczny, władze rosyjskie każały go zaraz nazajutrz, d. 6. września, zastanowić.

Dopiero dnia 25. września 1914 można było przystąpić na nowo do wznowienia ruchu telefonicznego przynajmniej w ścieśnionym zakresie. Dnia 3. października zrezygnował inż. Garwuliński z posady kierownika Biura instalacyjnego, a miejsce jego zajął inż. Zdzisław Białynia Chołodecki. Dzięki zezwoleniu generał-gubernatora na otwarcie także i dla osób prywatnych, zarząd telefonów zmuszony był przyjąć znaczniejszą liczbę funkcyonaryuszy, dla działu instalacyi. Roboty postępowały szybko i sprawnie. Zastęp telefonistek jednakowoż zmniejszył się do 14 w zakładzie centralnym i dwu w biurze generał-gubernatora.

Ten stan rzeczy trwał aż do 22. listopada 1914, w którym to dniu władze rosyjskie objęły telefony w swój zarząd, powierzając kierownictwo tego działu służby inżynierowi Ł. Komarnickiemu.

Skutkiem nieustannych przerw w funkcyo-

nowaniu i zmian organizacyi telefon dla publiczności stracił był dawne swe znaczenie, jak tego dowodziła znacznie zredukowana liczba abonentów. W zastoju pogrążony spoczywa i teraz...

Gdy kiedyś zawita wreszcie pokój, gdy stanie już pora odbudowy ruin, gdy życie znowu silnem uderzy tętnem, wtedy dopiero ruszy się również telefon, zabrzmi, jak dawniej, ze wszystkich stron niecierpliwe: »Halloh! »halloh!« i jesteśmy pewni, że wrócą nawet — przysłowiowe utyskiwania na telefonistki!

URZĘDNICY.

Biurokratyzm austriacki słynął zawsze z osobliwej zdolności rozszczepiania najdrobniejszego włoska na kilkoro, z owej znanej *Haarspalterei*, która tak powszechny w świecie zdobyła sobie rozgłos. Stąd wynikła w nieuchronnem następstwie konieczność utrzymania ogromnej falangi urzędniczej, hyperprodukcy tej warstwy, skazanej na swe stałe, lecz mniej lub więcej skąpe dochody.

Niedostateczne uposażenie miała równoważyć inna korzyść, wyrażona w znanej sentencji, że »urzędnik wprawdzie nic nie ma, ale przynajmniej to, co ma, jest pewne«. Urzędnikom lwowskim los przyniósł smutną sposobność przekonania się, że nawet i owa pewność bynajmniej nie na granicie była osadzona.

Pozostawieni zostali zupełnie na pastwę

losu. Wypłacono im za wrzesień, jak zwykle, jednomiesięczną pensję, a niektórzy nawet i tego nie otrzymali. — Jedyne źródło, z którego czerpali środki egzystencyi, wyszło pod skwarem pożogi wojennej. Łudzili się z początku, że znajdzie się sposób przyjscia im z pomocą za pośrednictwem państw neutralnych, ale piękna iluzja rychło rozviała się w niwecz. Zostali na bruku.

Dla człowieka przedsiębiorczego, który z niejednego pieca chleb jadał, nie byłoby to ostatecznie tragedją. Wszakże stało się tragedją dla urzędnika. Całe jego wykształcenie, wszystkie jego zdolności już od lat najmłodszych skierowywano ku temu jednemu celowi, by został kiedyś urzędnikiem. — A raz zasiadłszy przy biurku urzędowem, już tracił świat z oczu i brał życie o tyle tylko, o ile ono odbiło się w aktach. Im więcej posuwano go po drabinie klas rangi i poborów, tem bardziej marniały w nim siły, jakich nie potrzebował gimnastykować do celów służby.

Pozycya zaś dawała mu więcej pozornego splendoru, aniżeli materyalnego oparcia. Wszak wiadomo, że urzędnik, o ile nie ożenił się bogato, nie wygrał »Haupttreffera«, lub nie odziedziczył schedy po amerykańskim wujaszku, całe życie klepie biedę. W ostatnich latach przed wojną drożyzna umiała go gruntownie wyżyłować. Do niesłychanie też rzadkich wypadków należało, by ktoś z urzędników, chyba od ust sobie odejmując, zdołał bodaj coś niecoś za-

oszczędzić na czarną godzinę. Ogół urzędniczy natomiast wił się w długach, jak piskorz w więcierzu.

I oto ów bezradny człowiek, automatycznie utrzymywany przez swe pobory, łatający biedę z miesiąca na miesiąc, stanął nagle oko w oko naprzeciw »stanu bezpensyjnego«, dowiedział się, że ani na przyszły, ani na następny i dalsze miesiące, nie otrzyma złamanego grosza i że wogóle niewiadomo, kiedy mu coś znowu kapnie do kieszeni.

Gdyby nie litościwe miasto, szafowaniem tanich — najczęściej bezpłatnych — obiadów, drzewa za darmo, zasiłków w gotówce i w naturze; gdyby nie głowa i wielkie serce prezydenta Rutowskiego, opiekujące się po ojcowsku niezliczoną rzeszą złamanych egzystencji, inteligencya urzędnicza w czasie inwazyi byłaby chyba wymarła głodową śmiercią.

Tylko niewielu urzędników zdobyło się na próby samopomocy i dali sobie jakoś radę. Szczęśliwsi, którzy mieli kilka groszy przy duży, rzucili się na bystrą falę przedsiębiorstw. Powstały sklepy, składy drzewa, tz. »obywatelskie« i t. d. Urzędnicy przyuczyli się tu całkiem nowej dla nich sztuki dorabiania jednego grosza zysku do 10 włożonych, a po bohatersku nieraz łamać się musieli z trudnościami, aby ów grosz wydobyć. Inni próbowali sił swych w pośrednictwie handlowem, decydując się raczej na codzienne obieganie sklepów ze swemi ofertami, aniżeli na korzystanie z dobroczyn-

ności publicznej. Tą samą tendencją, piękną i szlachetną, kierowali się ci, których żywicielką była ciężka praca fizyczna, jak rębanie drzewa, powożenie furmanek itp.

Jednak takich znajdowało się niewiele, bo bez znacznego zasobu zdrowia i siły muszkułów, szkoda nawet porywać się do konkurencyi z zawodowymi rębaczami i woźnicami. Pozwolić sobie mogli na podobny eksperyment jedynie ludzie młodzi, niewyczerpani jeszcze do cna długoletniem ślęczeniem w biurze.

Poza wymienionymi wyjątkami masa urzędnicza przeżywała straszne czasy. Cierpiała niedostatek i czekała. Czego? Zmiłowania Bożego. Odżyła nieco dopiero, gdy dzięki niezmordowanym zabiegom prezydium miasta otrzymała bodaj skromną zaliczkę na płacę. — W każdym jednak razie i przy tej pomocy nie stanęła jeszcze na nogi. — Pograżyła się więc w dalsze czekanie z niemą rezygnacją, zazdroszcząc w duszy każdemu, kto nie wysilał mózgu na przyswojenie sobie paragrafów i »Erlasów«, kto nauczył się czegoś, co w życiu istotny przynieść może pożytek, bo w każdym położeniu zapewnia kawałek chleba.

KAMIENICZNICY.

Ich dolę z epoki inwazyjnej należałoby wyśpiewać w poemacie — bardzo nastrojowym, bardzo smętnym, albo też przelać w formę dramatu, ledwie o mały włos oddalonego od tra-

gedyi. Z tytułem nie byłoby kłopotu; możnaby nawet wcale efektownie dobrać np.: »Powalone bożyszcze o glinianych nogach«, lub »Wczoraj Mateusz, dzisiaj chudeusz«, lub Przyszła kreska na Matyska« — lub... Nie marnujmy jednak wólowej skóry bo ów artykuł bardzo podrożał na równi z innymi.

Ubyły kamienicznikom tego rodzaju wrogi, jak podatki, jak raty bankowe, jak różne inne zresztą sępy, rzucające się na źródła ich dochodów, ale też nie mieli... dochodów. Przyszedł jeden sęp, niewidziany przedtem i zabrał im wszystko: przyszło moratorium. Czego nikt nie umiałby sobie dawniej wyobrazić, stało się faktem dokonanym: mieszkało się za darmo. Niezawsze i nie wszędzie, ale przeważnie. Przedewszystkiem w tych kamienicach, których właściciele uciekli, a ponadto we wszystkich realnościach, gdzie mieszkali ludzie pozbawieni dochodu. A takich niestety było najwięcej. »Kiedyś... po wojnie — to się ureguje...«

I bądź z tego syty!

Byli między właścicielami nawet okazałych, krocie wartych realności, tacy, dla których posiadanie stało się w tym krytycznym czasie jedynie źródłem niezliczonych przykrości. Cóż po wspaniałych murach, kiedy tych murów mieszkańcy, goli jak święci tureccy? Nawet szkoda cisnąć podobnej biedoty, bo nic się nie wyścisnie. A odium kamienicznikowstwa mimo to ciążyło na właścicielu: jemu nie wypadało pójść do taniej kuchni, on nie mógł prosić o żadne

zasiłki — jeśli zaś miał jaką gotowiznę, to naturalnie w starej pończosze jej nie trzymał, tylko złożył w banku, który wyjechał, lub w Kasie Oszczędności, która zrazu całkiem przycupnęła, a później — dopiero po Nowym Roku — ochłonawszy, oświadczyła gotowość wypłacania na każdą książeczkę — malutkiej jakiejś części miesięcznie. I żyj tu, człowieku!

Zart zresztą na bok. Zmienna losów kolej sprawiła, że niejeden z kamieniczników zazdrościł lokatorowi.

A jeśli mamy być sprawiedliwi, to i dawniej zbyt generalizowano zachłanność owej nacyi i aksamitną jej egzystencję. Nie zapominajmy bowiem, że wiele przyczyn złożyło się na to, by także kamienicznikom zalewać kipiącego sadła za kołnierz. Wytapiał je gorliwie w swej brytwance fiskus, miasto zaś zmuszone czerpać skądś przecie fundusze na swe ogromne potrzeby, również niezbyt folgowało. Nie bez tego oczywiście, by kraj nie wyciskał z kamieniczników, co wycisnąć się dało. Sens moralny tego gniecenia, prasowania, skubania był taki, że ponad połowę dochodu czynszowego kamienicznik musiał nieść do sztajramtu, a drugą... No, na tę drugą czyhały znowu pożądlive duchy. Budowano prawie w regule na kredyt, zatem dobierały się właścicielom do skóry banki; nadomiar drożyzna materiałów i roboty, a już wprost bezprzykładna drożyzna gruntów ołowiem ciężęły na kalkulacjach budowlanych. W wielu wypadkach ratowano się sztuką, rwąc

od góry, łątając od dołu; w innych, — ku chlubie kamieniczników dodajmy: nielicznych, — próbowano nawet sztuczek, przewidzianych w kodeksie karnym, co znów równało się poddaniu głowy pod miecz Damoklesa. Oczywiście nie znaczy to, jakoby wszyscy kamienicznicy byli właściwie bezpłatnymi zawiadowcami realności na usługach władzy skarbowej, miasta, banków i prywatnych wierzycieli; owszem wielu zbijało majątek, umiało bowiem tak godzić sprzeczne interesy, że ostatecznie »głupich« 10—20 proc. od wkładu wpływało do kieszeni. Wojna pogmatwała wszystko.

Nawet benjaminkowie losu, nawet kamienicznicy, którym lokatorowie nie czynili obstrukcyi, odczuwali jednak dotkliwie skutki wojny. Zamiast ugodzony czynsz odbierać, musieli przystać na umowę dodatkową i zadowalali się częścią, w najlepszym razie połową czynszu za czas wojny...

Co najbardziej trapiło i przerażało kamieniczników, to zupełna nieświadomość ostatecznego rozwikłania galimatjaszu, sprawionego przez wojnę. Teorya juretyczna wprawdzie zapewniała ich, że z chwilą powrotu stosunków normalnych będą mieli prawo żądać zapłaty całego zaległego czynszu, ale co komu po teoryi? O urzędników mniej bano się, wiedząc, że kiedyś dostaną przecie zaległe pensye; natomiast co do innych lokatorów trudno było przypuszczać, by nagle z kolana kiedykolwiek wyłupali horendalne dla nich sumy!

CZARNA GIEŁDA.

Znikła Czarna giełda na Wałach hetmańskich, żalność więc pokryła naród lichwiarzy i serca ich stały się jako rozbite naczynie gliniane. Jeśli na akacyach Wałów hetmańskich zawiesili swe płaczące lutnie, jak ongi tułacze na wierzbach wód Babilonu, to zaiste nie ze względów politycznych. Moratorium podcięło egzystencję tych ciemnych duchów; ono błysnęło nagle nad nimi, jak zabójczy topór, którym ścina się drzewo. I ono ścięło istotnie pień Czarnej giełdy — ścięło go przy samej ziemi. Przeto szachrujący Izrael rozdarł szaty, posypał głowę popiołem i z okrzykiem: »Rakka!« rozbiegł się na wszystkie strony.

Może dla nikogo u nas gwałtowny przewrót wrześnieowy nie był tak druzgocącą niespodzianką, jak dla Czarnej giełdy. Jej członkowie, same szanowne postacie, przeważnie w długich chałatach i z długimi brodami, ledwie tu i ówdzie przegrodzeni młodym, przyuczającym się, a pełnym nadziei narybkiem, pozostawiali do ostatniej chwili w pętach optymistycznego zacierzwienia. Nie mogli sobie wyobrazić, by miał runąć — i to tak nagle — gmach geszeftu, rękoma ich wzniesiony, — ten gmach, który wspierał się na smukłych, prawie niebotycznych filarach procentów, a nakryty był olśniewającą mozajkową kopułą spekulacyi niezawsze czystych.

W sieciach Czarnej giełdy wikłały się nieopatrzone muszki z całego miasta. Wszystkie

nacye, stany i zawody zabiegały tutaj, gdy je przyparła bieda. Jak sztab generalny, ze słuszną dumą skupiali się w odrębne grupy eskonterzy; jak gwardya przyboczna, wyczytująca z oczu wolę i rozkaz komendy dreptali obok nich sensale, pośrednicy pomiędzy kapitałem a kandydatami na dłużników, lub dłużnikami. Owa gwardya ofiarowała pracę, nieraz bardzo ciężką, krezusi zaś chałatowi dostarczali gotówki; zyskiem dzielono się, oczywiście w stosunku takim, w jakim zawsze rozdziela się dochody pomiędzy kapitałem a pracą. Z biesiadnego stołu zysków, zastawionego przed »geldhaberami«, spadały ledwie ochłapy w rozwarte paszcze głodnych sensali. Oni jednak byli szczęśliwi, że wogóle coś zarobić mogli. Niektórzy, gromadząc owe okruchy, sami urastali z czasem na samoistnych lichwiarzy; zazwyczaj jednak pośrednictwo nie opłacało się do tego stopnia, by sensal mógł wiele odłożyć.

Piękne to były czasy! Brało się procenty rozmaite — 30, 50, niekiedy 100, ba, więcej 200, 300, 500 od sta, zręcznie maskując istotną wysokość odsetek, aby nie popaść w konflikt z kodeksem. Rentowność geszeftu była za wielka, by nie skusiło tego i owego puścić się niekiedy na hazard. W razie pomyślnego wyniku ryzykujący podwajał lub potrajał inwestycję w tak krótkim czasie, że to wynagradzało mu aż na- zbytnie hojnie manca, jakie z bolem serca okazały się tu i owdzie przy likwidowaniu innych interesów.

Nagle wszystko to zapadło w przeszłość — dotąd niepowrotną. Co będzie po wojnie, trudno przewidzieć. Niewiadomo jeszcze, kiedy skończy się wojna. Czarne więc żmije niepokoju kłębiły się w sercach członków Czarnej giełdy; prometejskie sępy ogryzały lichwiarzom zakamieniałe wątroby. Jak na ruinach Jerozolimy snuły się od czasu do czasu na Wałach w miejscu, gdzie dawniej »urzędowała« Czarna giełda nie liczne, melancholijne postacie b. jej członków. Krocząc w zamyśleniu, błędnym wzrokiem wodzili ci ludzie cienie dokoła, stwierdziwszy zaś, że gruzy są nadal gruzami, pełni żałoby rozchodzili się każdy w swoją stronę.

Kapitaliści Czarnej giełdy szukali zapewne w takim dniu wskazówki, co będzie z pieniędzmi rozpozyczonymi; ile z nich przepadnie na zawsze. Bo, że część pretensyi ukutych na Czarnej giełdzie, okaże się niemożliwą do ściągnięcia — to jasne. Z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że nawet co do pretensyi ściąganych będzie się musiało dłużnikom przyznać pewne ulgi bądź to w procentach, bądź też w terminie spłaty. Jednem słowem wszystkie najsubtelniej obmyślane rachuby wzięły w łeb i było w czasie inwazyi, jak zresztą jest i dziś jeszcze najgorętszem u nas pragnieniem lichwiarzy, aby przynajmniej włożony kapitał nie doznał zbyt znacznego uszczerbku.

Gorzej jeszcze dojechało wojenne morytoryum senzalom. Ci zeszli całkiem na psy. O udzielaniu pożyczek w czasie wojennym nie

może być mowy, a zatem nie może także nic kapnąć z tytułu pośrednictw od wypadku do wypadku. Nawet drobna prowizyjka za inkasowanie rat u dłużników w imieniu wierzyciela, bo kto podczas wojny płaci raty?

Rzucili się więc dawni senzale Czarnej giełdy po zajęciu Lwowa przez Rosyan do pośrednictwa handlowego. Ale to znacznie mozolniejszy i lichszy interes.

— Panie, — żalił się raz jeden z tych wygnanych z raju, — pośredniczyłem wczoraj przy sprzedaży tytoniu rosyjskiego. Udało mi się umieścić 100 funtów i zarobiłem na tem — 2 ruble! Żeby moje wrogi dostawali do rąk takie interesy!

Głucha rezygnacya pokryła surowe ongi w swej zajadłości oblicza lichwiarzy i ich famulusów. Przy spotkaniu z dłużnikami nie wspominali nawet o pretensjach. Wypytywali o zdrowie, o powodzenie, wzdychając, że wojna tak się przeciąga. Co najwyżej przy pożegnaniu szepnął taki pan rzewnie:

— Ja nic nie żądam, niech Pan Bóg broni! Ale gdyby pan miał czasem parę rubli za wiele, niech pan o mnie pamięta. Czasy takie ciężkie. Człowiek nie wie nieraz, jak dzień zepchnąć.

I pomyśleć: to ten sam jegomość, który jeszcze przed rokiem nachodził cię po dziesięć razy dziennie, grożąc sądem, przełożonymi, skandalem, jeśli mu nie zapłacisz zaraz!

ROZBITKI.

W początkach okupacji tragikomedia przypadkowości nie szczędziła drastycznych efektów. Burza wojenna rozbiła nam okręt, w którym mieliśmy wszystko ułożone wygodnie i w możliwie największym porządku, formalnie, jak w pudełeczku.

Na każdym więc kroku widziało się sceny, jakie towarzyszyć zwykły podobnej katastrofie. Mnóstwo rozbitków dawało unieść się fali na oślep, z rezygnacją oczekując, czy ona wyrzuci ich szczęśliwie na brzegi, czy też pogrąży na dno morza. Inni, sprytniejsi, chwyтали się każdej deski, każdego żdźbełka, ufni, że byle czas najgorszy przetrwać, a — do licha — przecież nadciągnie pomoc! Jeszcze inni, pływać przyuczeni, dopadłszy nieznanego lądu, już tam pozostali, wyczekując zupełnego uspokojenia wzburzonych fluktów.

O bezradnych desperatach przemilczymy tutaj. W gruncie były to ofiary nietyle losu, ile własnego braku zdolności akomodacyjnych. Co prawda, nauczyła nas dopiero wojna, że każdy powinien tak kształcić swe siły fizyczne i umysłowe, aby w każdym położeniu potrafił dać sobie radę.

Ci z rozbitków, którzy zachowali dość ziemnej krwi, by przetrwać bez szwanku chwile najkrytyczniejsze, wyszli z katastrofy cało. Trzeba jednak było zdobyć się tu i ówdzie na wiele abnegacyi, aby pozostać na powierzchni.

Pamiętam, że raz, wsiadając do tramwaju, słyszę nagle z dwu stron głosy powitania. Tu wita mnie motorowy, mój dobry znajomy, dyplomowany inżynier, a zaledwie zamieniłem z nim kordyalne »shak-hands«, z humorem salutuje konduktor. W tym znowu odkrywam niemniej dobrze znanego mi urzędnika jednej z naszych instytucyj prywatnych.

— Niech się pān nie żenuje, powiada żartem. Pan znajdziesz więcej swych znajomych na podobnych posterunkach i proszę wierzyć, to są najszcześliwsi. Niejeden też nam zazdrości. — Bo dzisiaj znaleźć kawałek chleba, choćby tak skąpy, to podobnie, jak ongi było trafić terno.

Miał zupełną słuszność. Więc terno zrobił, ów urzędnik państwowy VII kl. rangi, który w jednym ze składów drzewa wykonywał nadzór; ów metrapaź, który przez czas pewien udawał strasznie ostrego człowieka, jako milicyant miejski; a nawet owe »tritolum«, jedno z mnóstwa: profesor, sadowiec i abituryent gimnazjalny, którzy rąbali drzewo w składzie obywatelskim przy ul. Snopkowskiej. Mniejsza z tem, że młodzież gimnazjalna szła na kolporterów, pracowała przy rozwózce drzewa itd., że seminarzystka był roznosicielką gazet. Zdarzały się jednak nierównie jaskrawsze wypadki »przeszacowania wartości«, zamiany zawodów.

Wiadomo np. o jednym z urzędników, wysokie zajmującym w hierarchii rang stanowisko, że mając na szczęście własne konie i ekwipaż,



Tani opal



Ruch uliczny w zimie 1914/15

bardzo rozumnie odrzucił wszelkie uprzedzenia na bok i najmował się jako fiakier do dalszych tur poza miasto. Wiadomo dalej, że dwaj członkowie Rady szkolnej krajowej pracowali we własnym, nb. doskonale prosperującym, sklepie. Wiadomo również o pewnym artyście dramatycznym, pracującym wkrótce potem znów na scenie, że przez czas pewien pełnił funkcyę — kelnera u Naftuły.

Ale artyści — skoro o nich mowa — mieli stosunkowo nielada szczęście. Zaopiekował się nimi za swych rządów dyrektor policyi p. Tauer i był czas, że mieliśmy policyę dosłownie operetkową (z lekką przymieszką także opery i dramatu), a co najważniejsza: spełniała ona swoje funkcyę jak najpoważniej i najdokładniej.

Może nawet osobliwy ówczesny skład policyi oddziaływał korzystnie na stosunki. Wyobrażamy sobie, że np. taki komisarz jak p. Zarembo z niezrównanym humorem mógł grać rolę surowego władcy wobec nacyi łyczakowskiej, czy zamarstynowskiej; że p. komisarz Kuligowski potrzebował tylko uśmiechnąć się po swojemu i zanucić leciutko pierwszą lepszą arytekę z »Wesołej wdówki«, aby najwstrętniejszą poskromić przekupkę; że p. komisarz Miller od najzatwardzialszego włamywacza wydobywał bez trudu zeznania, jeśli mu przyrzekł w nagrodę zaśpiewać kuplet — dajmy na to — o »aeroplanie«. A gdzie wszystko to zawiodło, otwierało się jeszcze pole dla dramatycznej akcji p. komisarza Rasińskiego, lub występował z wielką

aryą z »Aidy« czy »Trawiaty« p. sekretarz dyrektor Dobosz i sprawa była załatwiona.

Wszyscy wymienieni tu pp. komisarze pomienili rychło role, pracowali potem na scenach Kasyna miejskiego i »Casino de Paris«, a p. Dobosz oparł się aż w Warszawie. Także p. Tauer ustąpił ze swego stanowiska i przeniósł się do magistratu. Pamięć jednakże tej operetkowej, a całkiem *correct* policyi zasługuje, aby wskrzeszona była — gdy pora przyjdzie po temu — w operetce.

Jak o żelaznym wilku słuchać się będzie kiedyś operetki o naszych rozbitkach,..

ULICA.

I.

Ulica zupełnie zmieniła swą fizyognomię. Znalazła się •ona *in statu nascendi* nowej swej formy, której ukształtowanie zawisło od dalszego toku wypadków.

Co ta ulica przeszła, a raczej: co tą ulicą przeszło od sierpnia r. 1914.! Zrazu były to długie kolumny wojsk, ufne w jasną gwiazdę, którą aż nazbyt szybko zasłoniły tak ciężkie chmury.

Jak piorun z jasnego nieba padł nagle w czwartek dnia 27. sierpnia pamiętny popłoch, który wieczorem, pod wpływem rzuconej przez kogoś pogłoski, zamienił ulicę lwowską we wspioną rzekę, cofającą się w okropnym zgiełku

od peryferyj ku środkowi miasta. Uspokojono wprawdzie trwożne rzesze, ale prawdziwego spokoju nie udało się już ugruntować. Nastąpił wsteczny przemarsz tych samych wojsk, które tak niedawno przedtem wyruszyły ku wschodnim granicom kraju po pewne zwycięstwo, Z trwożnem zdumieniem patrzyła na to ulica, nie umiejąc pogodzić odwrotu z uspokajającemi depeszami sztabu generalnego.

I jakby śmiertelny bezwład po niezmiernym ekspensie energii nerwowej padł rano w poniedziałek d. 31. sierpnia na ulicę naszą spokojów głuchej rezygnacyi. Nie reagowała już na nic; brakło jej sił poprostu. W niemem osłupieniu i opustoszeniu czekała swego losu, gdy dusza jej, pozostała ludność, przykucnęła u ognisk rodzinnych, zasłoniwszy okna obrazami świętych, jedyną tarczą opieki,

I tak upłynęły trzy dni, długie jak wieczność. I należy to z uznaniem zaznaczyć, że puszczone samopas, przez nieliczny tylko zastęp straży obywatelskiej chroniona, ulica lwowska nie splamiła się gwałtem, ni grabieżą, które w ciągu owych trzech dni miałyby były wszelką szansę po temu, iż pozostaną bezkarne.

Stała pełną pustką rankiem w pamiętny czwartek d. 3. września. Była to cisza śmierci. I śmierć naprawdę powionęła łożyskami ulicy lwowskiej: umarł autorament, który przez półtora wieku sprawował na niej rządy, — umarł, ciężko zraniony poza obrębem miasta na polach Rawy, Kamionki, Buska i Kulikowa, tak, że

w warownym grodzie lwowskim już sił nie miał do oporu...

Z chwilą wkroczenia zwycięskiej armii rosyjskiej nowa dla ulicy naszej rozpoczęła się faza.

Zwycięzca oznajmił jej, że nic złego nie zamierza wyrządzić spokojnym mieszkańcom, wydanego mu na łup grodu. I zaraz już popołudniu tego samego dnia czwartkowego ulica lwowska drgnęła napowrót życiem. Wyległy na nią przedewszystkiem grupki ciekawych, którzy nie mogli z siedzib swych widzieć przemarszu carskiej armii.

A tymczasem zwolna wracało znowu życie. Sama konieczność wywlekała je — nieraz, możnaby powiedzieć, za włosy — z kryjówek. Ale przewrót był zbyt gwałtowny i raptowny, aby nawet ulica mogła ochłonąć równie szybko, jak szybko przebiegły przez nią zdarzenia.

I długo, długo nie odzyskała zupełnej równowagi.

II.

Ulica lwowska w czasie inwazyi straciła wiele ze swej żywości. Nie dziwo zresztą. Wojna przerzedziła zastępy mieszkańców. Z mężczyzn liczbą przeważną podążyć musiała pod krwawy sztandar Marsa; mnóstwo zresztą rodzin wywędrowało w złudnej nadziei, że gdzieindziej będzie spokojniej i bezpieczniej. Dla tych zaś, którzy przybyli, ulica nasza przedstawiała zu-

pełnie nowy teren; oni przesuwali się tylko po jej powierzchni, sami niedowierzając, czy kiedykolwiek będzie im dane zrosnąć z tym gruntem trwale.

Musiało też na fizyognomii ulicy lwowskiej wycisnąć swe piętno powszechne przygnębienie stałych mieszkańców — nieuniknione następstwo wojny. Kiedy serca drżały o los ojców, synów i braci, oderwanych przez wojnę od ognisk domowych; kiedy ciągle krew przelewała się na tyłu niezbyt nawet odległych polach walki, trudno było niefrasobliwie pchać przed siebie z dnia na dzień taczkę żywota.

Nie bez wpływu pozostały też stosunki ekonomiczne. Ogólna bieda odjęła ulicy wiele splendoru. Ludzie stroskani, skwaszeni o jutro stanowili gros, wśród którego zaledwie tu i ówdzie spotykałeś twarz pogodną, filozoficznym owianą spokojem. Bo i jak tu filozofować o chłodzie i głodzie?

Nakoniec odmienił nam ulicę nowy porządek, nowe regulaminy, sięgające aż nazbyt często poza ramy ostrożności, jakiej wymaga stan wojenny. Lwowianin zdębiał, gdy mu kazano — z początku, już od ósmej wieczorem — sterczeć przy ognisku rodzinnem, a nie odsapnąć bynajmniej, gdy termin »szpery« przesunięto później na godzinę 9-tą. Pamiętał przecie czasy, gdy nawet szpera o 10-ej była przedmiotem narzekania i gdy gotowała się na onem tle mała rewolucja lokalna z tendencją wywalczenia Lwowu tego przywileju, by bramy zamykano o 11.

Wprowadzenie czasu »piotrogrodzkiego« dopełniło miary osłupienia ulicy naszej. Miało się wrażenie, jakby raczej nie chciała, niż nie umiała zorientować się w nowym stanie rzeczy, w przesunięciu czasu o godzinę naprzód. Usiłowała tylko, w rozmaity sposób, tak akomodać swe życie, aby wilk był syty i owca cała.

Wstawała też ze snu o tej samej, co dawniej porze, niezbyt troszcząc się, że na spiocha wygląda miasto, które dopiero około 9 rano na dobre zwleka się z łóżka. A zwleka się zaspane, jakby mało mu było tego spoczynku, jakby chętnie spało dalej i jakby jeszcze chętniej prześpało tygodnie, czy miesiące — ile wypadłoby, iżby ułożyło się wszystko w dawne formy i groza wojenna ustąpiła z przed oczu.

Wreszcie około południa ruch rozpoczynał się żywszy. Promenady szeleściły jedwabiami pięknych kobiet — ale — dziwnie mało spotykałeś pomiędzy niemi twarzy znanych, obok egzemplarzy cywilnej elegancji męskiej i rytmicznie, przy pobrzękaniu ostróg, stąpających postaci oficerów rosyjskich.

O tej samej porze, lecz jakże odmienny w szczegółach, ogarniał również ruch ulice boczne, zwłaszcza w okolicy tanich kuchni. Pora obiadowa! Jedni spieszą do zastawionych stołów, inni z menażkami, dla przeniesienia obiadu do domu, gdzie posiłek odgrzany, niekiedy przy szczęśliwej okazji — wzmocniony, pożywić ma rodzinę. Wśród tej publiczności mało dbano naturalnie o szyk, o prezencję; tutaj znamienym

rysem był wypisany wyraziście na wszystkich twarzach — apetyt.

Z nastaniem zmroku ulica popadała w drzemkę. Jeszcze tętnią zgiełkiem główne arterye, lecz i tutaj wkrótce on umilknie. — Około 7-mej już jakby makiem zasiał na wszystkich przecznicach i dalszych korytach komunikacyi; o ósmej ulica miała kompletnie senne wejście; o 9-tej trudno nawet było rozpoznać jej zarysów, bo ze względów oszczędności, gasły wszystkie, z wyjątkiem narożnych, latarnie.

Jeszcze raz uderzył mocniej puls ulicy około godz. 10-tej. To powracali do domowych pieleszy goście kawiarniani i wysypywała się publiczność Teatru w Kasynie miejskiem, jakoteż Casina de Paris, by dostać się za bramę swego domu, zanim nastąpi panowanie przepustki...

III.

Wstrząsały nieraz ulicę w tym nowym okresie konwulsyjne drgania.

Po wkroczeniu wojsk rosyjskich przeraziło ją z miejsca widmo głodu. Odcięty dowóz i niesumienna spekulacja stworzyły stek trudności, które musiały wzbudzić niepokój.

Była to owa faza, kiedy np. piekarze kazali sobie płacić po 40—50 centów za bocheneczek chleba, kilka tygodni przedtem szacowany na 36 halerzy. Nadomiar wypiek chleba uległ znacznemu ograniczeniu, a to z braku nie mąki, lecz drożdży. Białe pieczywo zupełnie znikło.

I była to ta sama faza, kiedy kupcy pochowawszy zapasy towarów kolonialnych, ustanawiali ceny o pomstę do nieba wołające; kiedy cukier nabywało się niemal na wagę złota, a dostać go było można tylko po znajomości.

Więc też ulica, jak polane ukropem mrowisko, pełna była wtedy desperatów, drepzczących bezradnie tu i tam, wypatrujących jedynie, gdzieby co dostać można. Piekarnie ujrzały się w oblężeniu, a widok niesionego bochenka chleba ściągał na się zewsząd zazdrosne spojrzenia. Ale nierównie częściej niż chleb spotykało się w ręku śpieszących — rzecz w pierwszej chwili nie do pojęcia — karafioły! Ponieważ jarzyna ta wymaga masła, a tłuszczów wogóle zabrakło, warzywa zaś właśnie w owym roku nadzwyczajnie obrodziły, sprzedawano tę jarzynę za bezcen, po 6—8 hal. ogromną różę! Nigdy Lwów nie spożył tyle karafiołów, co w drugiej połowie września 1914 i dni te niezawodnie zapisane pozostały w pamięci amatorów jako okres — karafiołowy.

Aby powszechnej mizeryi przyjść z pomocą, miasto pomnożyło liczbę swych sklepów i uczyniło je ogniskami aprowizacyi. Ulica nie miała dość słów wdzięczności, ale uczucia jej ujawniały się w sposób wcale niepożądany. W owych czasach — pamiętamy przecież wszyscy — całymi dniami wystawały przed każdym sklepem miejskim takie tłumy, że aż tamowało to komunikację. Dostanie się do sklepu wymagało bohaterских wysiłków; ludzie nieobdarzeni że-

lazną energią, zrezygnowaną cierpliwością i twardymi łokciami nigdy nie dostali się do celu. Ścisk zagrażał nieraz życiu tych, którzy go wytworzyli; wiadomo np. (zapisały to kroniki), że przed sklepem miejskim w ulicy Ormiańskiej literalnie na śmierć zaduszono jakiegoś starowinę.

W miarę coraz chłodniejszej pory, ogarnęła ulicę gorączka opału. I w tym kierunku spekulacya nie zapała gruszek w popiele — i w tym też kierunku znowu jako zbawca wystąpiło miasto, rozwołując tanie drzewo opałowe. Ale ulica, wyprowadzona z cierpliwości nieznanym przedtem niedostatkiem, urządziła przy wozach magistrackich, gdziekolwiek pojawiły się, takie sceny rozbewstwienia, że dobrym intencjom magistratu skutek nie dopisał. Prasa też zmuszona była energicznie wystąpić przeciwko brutalności mas, wśród których, niestety, aż nazbyt często inteligencya szła o lepsze z mobem.

W każdym razie akcyja miasta odjęła kwestyi aprowizacyjnej jej pierwotną ostrość. Ponieważ równocześnie i dowóz jaki-taki udało się przywrócić i ustanowieniem taryf maksymalnych położono kres rozpasaniu lichwy żywnościowej, ulica poszła więc po rozum do głowy i sama utemperowała się zwolna.

Dantejskie sceny, tylko lekko zaznaczone powyżej, zapadły ostatecznie w odmęt przeszłości. Sklepy miejskie, których konkurencyja tak bardzo zasłużyła się około uregulowania cen środków żywności, przestały być warownia-

mi narażonemi na ciągłe szturmy tłumu, a także kwestya taniego opału znalazła racjonalniejsze załatwienie.

Oczywiście ulica próbowała ten problem rozwiązać na swój sposób. Przez czas pewien co krok spotykało się ludzi ugiętych pod ciężarem gałęzi, patyków, kłoców, desek, lub wiozących je taczkami. *Misera plebs* rzuciła się na plantacye, ogrody, laski podmiejskie, a obok tego rozszarpała i uniosła napotkane gdziekolwiek parkany i zagrodzenia. Maluczko, a w mieście nie pozostałoby było ani jedno drzewko, ani jeden obiekt drewniany. Trzeba było dopiero uciec się do kar surowych, aby ulicę przekonać, że są inne jeszcze sposoby uzyskania opału, niż barbarzyńska dewastacya cudzej własności.

Tak więc w historyi naturalnej ulicy lwowskiej, znalazło się miejsce i dla botaniki i dla — zoologii.

IV.

Zajęcie Lwowa przez Rosyan nadało charakterowi ulicy nowe cechy. Nie tylko, że bruk jej udeptywać poczęły w miejsce siwych kawowe mundury, lecz za wojskiem nadsunęły także tabory kupców rosyjskich i rosyjska klientela.

Pociągnęło to za sobą reformę w dziedzinie szyldów. Nie było czasu i nie starczyłoby fachowców na przemałowywanie z dnia na dzień,

gdy jednak dobrym chęciom nie trudnego, znalazł się sposób wyjścia i z tej trudności. Początek dały sklepy na Kazimierzowskiej i na placu Gołuchowskich. Nie uznawały one za potrzebne dawniej bawić się w jakieś ustępstwa językowe dla ludności. Przeważnie — prawie wyłącznie — poprzestawały na szyldach niemieckich. Natomiast przyznać wypada, że z budującą skwapliwością, na poczekaniu, szyldy ich zaraz po zajęciu Lwowa schowały się pod pokrowcami z białego płótna, opatrzonemi w »ruskie« napisy o barwach czerwonej i niebieskiej. Dobry przykład znalazł natychmiast, z miejsca, mnóstwo naśladowców; z dniem każdym przybywało tych prowizorycznych, niezbyt estetycznych, ale za to najczęściej fatalną ortografią skonieczpowanych wywieszek. Jeden z korespondentów rosyjskich aż załamał nad nią ręce; radzono mu pocieszyć się okolicznością, że i my musieliśmy dawniej stawiać tu i ówdzie, jak piorunem rażeni, czytając np., że tędy jest »fhut«.

Osobliwszą zmianę fizyognomii ulicy pociągnęło za sobą również zniknięcie z niej »półksiężyca«. Zastąpiła go naprzód straż obywatelska w cywilnych strojach z przepaskami o barwach miasta na ramieniu, a później stworzono milicję miejską i przez czas pewien, pod jej wyłącznie opieką, pozostawało miasto.

Trudno zataić przytem jednej rzeczy: ów wytwór konieczności niezbyt imponował. Ulica nawykła była oddawna identyfikować opiekę bezpieczeństwa z mundurem. Miała respekt dla

błyszczącego półksiężyca z numerem; wyjątkowo, godząc się z położeniem, »szła na rękę« panom ze straży obywatelskiej, ale cywil przypasany do szabli, jakim był nasz milicyant, budził mało poważania. Znał on braki swej roli i dlatego też czuł się zadowolony, jeśli go tolerowano; niekiedy nadrabiał miną, zdobywał się nawet na stanowcze rozkazy, nie roszcząc sobie jednakże pretensyi, by je wykonano.

Rychło też pojawiać się począł milicyant w niewielu już tylko punktach miasta, jako szczątkowy zabytek. Z oczu patrzyła mu melancholia muzealnego mamuta.

Rządy nad ulicą objął gorodowy. Ten miał już mundur; o tym wiadano, że słów na darmo tracić nie będzie. W ciepłym czarnym płaszczu, w krągłej czapeczce z błyszczącą odznaką, w butach ochronionych przez kalosze lub papucze, rozpatrywał się po nowym dlań »gorodzie«, nowych stosunkach i żył z ulicą początkowo w dobrej komitywie, pomny snąć zasady, że »wzajemne ustępstwa uprzyjemniają ludziom życie«.

V.

Nowy stan rzeczy wydobył wiele cech odrębnych ulicy lwowskiej; wiele jednak pozostało tak, jak było i nawet wcale »ku starości się« nie »pochyliło«.

Za dobrych czasów w zimowym sezonie z za każdego u nas węgla wyzierały stragany pomarańcze, przeciągały tam i tam wózki, ugi-

nające się pod obfitością złotych »jabłek hesperyjskich« (oczywiście same »malinówki«!). Niemniej zaopatrywał Tyrol ulicę naszą w marony »pieczone, świ-żeeee!«. A oto raptem z jednych i drugich nie pozostało ani śladu; ulica obliczywać się musiała smakiem, szczęśliwa, że ocalały przynajmniej różne »makagigi«, produkt domowego przemysłu Zarwanicy i Opałek.

Zwłaszcza w niedzielę i święta ogarniała ulicę naszą degrengolada. Ruch centralizował się w okolicy kościołów: ulica spobożniała. Zwykłym jej rozrywkom odjęła gruntu *dura necessitas* wojenna i przymus abstynencji. Nie widziało się tych »zabawionych«, których tuzinami co chwila każdy szynk wysypywał na ulicę; gwar pijacki przeszedł do dziedziny szpetnych mytów i ustały huczne zabawy »za drągiem«, kończące się stale łbów rozbijaniem, a nawet »szport-muzyka u Kizyka« na górnym Łyczakowie rozplynęła się w sentymentalnem milczeniu Pasiek, Cetnerówki, Mazurówki, Pohulanki.

Szkarpy przestały co popołudnia jeżyć się sterczącymi wytrwale synami austryackiego Marsa, wielbicielami cnoty niewieściej, uosobionej w ży, dowskich mamkach, a na Wałach pozostało jakby dla zaznaczenia tradycji, ledwie kilku typowych chałaciarzy, by dumać nad znikomością wszystkich rzeczy ziemskich, nie wyłączając procentów i pośrednictwa.

Słynna »przechodnia kamienica« w rynku, pełna drobnych kramików, gdzie nawet eleganterki cichaczem zaopatrywały się w piórka

»paryskiego szyku« za psie pieniądze — zmarła.

Pustką także stał pasaż w kamienicy Andreolego, rok jeszcze przedtem gwarne centrum uczonych w piśmie wiedzy loteryjnej. Całą oną wiedzę wzięli dyabli. I to była jedna z największych tragedij ulicy. Cóż po najpiękniejszych snach, po najlepszych sennikach babilońskich w zanadrzu, po tylu do niezawodnych kombinacyj na secco, ambo i terno okazyach, skoro sfruktyfikować ich nie można było ani na Berno, ani na Linz, ani na Pragę! A ulica żyła się z hazardem w upartej swej manii biedaka, który koniecznie napał się zostać krezurem. Pozbawiona wszelkiej nadziei »trefera«, realniej musiała odtąd w bardziej szarym tonie kombinować marzenia o jutrze ..

Ubyło ulicy również wiele typów charakterystycznych. Pozostał tylko, jako bohater u wyłomu »ślepy Ignac«, znowu płaczliwie skarżący się, że nie otrzymał jeszcze ani centusia. Ale już nie znęcał się nad skrzypcami. Nawet jego odeszła chętka muzykowania.

Mimo wszystko ulicą nie wyzbyła się swych stołecznych ambicij, Widać to było najlepiej na wielkich arteriach ruchu, gdzie gwarno i szumno przelewało się życie; gdzie wystawy sklepowe olśniewały swą wspaniałością, a przechodnie płci obojga sprawiali wrażenie, jakby wielu z nich przyjechało prosto z Paryża, przywożąc z sobą szyk francuski i wielkoświatową bezmyślność.

Zachowała też ulica inny jeszcze ze swych rysów dawnych; rys, który więcej trafia nam do przekonania, niż ów złudny polor. Przypomnijmy sobie: ona zawsze skłonna była do współczucia z mizeryą ludzką wszelkiego rodzaju. A wtedy miała więcej, niż kiedykolwiek sposobności po temu. Nie zaniedbywała zaś żadnej. Zwłaszcza ranni, zwożeni do Lwowa, a tak samo też pędzeni przez nią jeńcy, doświadczyli na sobie dowodnie, że ulica nasza, mimo wszystkie swe przywary i braki — ma złote serce.

SZUMOWINY.

Z uczuciem prawdziwego pokrzepienia kreśląc rysy tej tężyzny, jaką nadspodziewanie okazało miasto nasze wśród przejść ciężkich, nie możemy z drugiej strony zataić pokwitania pleśni, nieuniknionego w wielkich zbiorowiskach ludzkich.

Miazmy jej tkwią stale wśród mobu, a mobem jest nietylko hałastra brudna i odarta na zewnątrz i w głębi. Z nią łatwiej nawet byłoby sobie dać radę, ten bowiem typ zwyrodnienia sam rzuca się w oczy. Władzom bezpieczeństwa wiadomo, gdzie gnieździ się ordynarny upadek, wiadomo, jakie są stałe jego cechy; więc też aby kanałą z wybitem na czole, jak stempel, znamięm deprawacyi, utrzymywać w ryzach, wystarczy mieć ją na oku i miarkować odstraszającymi przykładami siły.

Nie tak łatwo wdrzeć się z postrachem w wyższe, bardziej rafinowane szczeble hierarchii bezecnych. Te umieją dobierać sobie ułudną maskę legalności, pobłyskują też chętnie ogładą porządných ludzi, ba, nawet elegancyą, aby nikt nie poznał, że wyrosły ze śmietnika i do niego należą. Wprawdzie i to rycerstwo lekkiego przemysłu prędzej czy później dociera do matyskowej kreski, ileż jednak przedtem szkody, częstokroć niepowetowanej, wyrządza jego rafinowana zręczność!

Zbrodniczość pierwszej, najpospolitszej kategorii korzysta z każdego zamętu, by obłowić się łupem. Więc też, kiedy Lwów po opuszczeniu przez władze i wojska austriackie, a przed zajęciem przez rosyjskie, rzucony był na pastwę losu, tłum podmiejski zaraz się ruszył. Rozpoczął od splondrowania magazynów kolejowych; miał nadzieję, że potem rzuci się i na miasto, ale zabrakło mu już czasu: rozporządzenia gubernatora wojennego, Szeremetjewa, w jednej chwili powściągnęły impet rabusiów, a przeprowadzone justyfikacye przekonały ich, że igraliby z ogniem, próbując skutecznie swe plany. Drapieżny tłum częściowo przycupnął, częściowo zaś rozbiegł się po wsiach okolicznych, podając pomocną dłoń »pocziwemu ludkowi«, który po 40 przeszło latach ofiarnej dlań pracy oświatowej ślicznie złożył egzamin z swego uświadomienia i uobywatelenia!

Miasto więc ocalało od hyen i szakali. Ale gdy im przeszkodzono w żerowaniu »en gros«,



Uroczystości z powodu »wzięcia« Przemyśla
Pochód przez miasto



Uroczystości we Lwowie z powodu »wzięcia« Przemyśla
»Pochód« w parku Kilińskiego

zrywały się co chwila przynajmniej okazyjnie do detalicznych przedsięwzięć, aby tym sposobem wynagrodzić sobie ubytek w zyskach. Nigdy jeszcze kroniki policyjne nie notowały tylu wypadków włamania, co w tym okresie. Zorganizowały się formalne stowarzyszenia włamaniowe, spółki z nieograniczoną poręką swych członków, wpłacających udziały sprytem i hazardem. Ten prawie nieznan u nas dawniej ruch asocyacyjny znajdował podniechęć i niemałe poparcie w szczególnych stosunkach chwili. Mnóstwo mieszkań opuszczono w popłochu; istniały całe kamienice, w których ani jeden lokator nie pozostał. Rzecz zaś jasna, że uciekinierzy należeli do kategorii osób mniej lub więcej zamożnych, bo biedak nie mógłby sobie pozwolić na luksus ucieczki. Stąd w opustoszałych sadybach zawsze dość znajdowało się mienia, by warto było pokusić się o grabież, a niepodobna przecież było przed każdym takim mieszkaniem ustawiać osobnej straży.

Sporo kompanij włamywaczy udało się policyi, pomimo nadzwyczajnych trudności, pochwycić i w bezpiecznem osadziwszy miejscu, unieszkodliwić. Wpłynęło to ujemnie na energią rzezimieszków, wypadki włamania zmalały zarówno liczebnie, jak i jakościowo.

Niedaleko od pospolitych łotrzyków, manipulujących wytrychem, odbiegli oszuści różnych kategorii. Wyjątkowe stosunki rozbudziły w nich nadzwyczajną pomysłowość. Straż obywatelska kilka razy znalazła się w ogromnym kłopotcie,

gdyż oszuści nie wahali się nawet jej szarż przybierać sobie do pomocy; czytaliśmy też o wypadkach, gdy taki okpisz grał rolę ajenta policyi, lub fikcyjnego urzędnika, doktora medycyny i t. d., indywidualnie uprawiając proceder osmuszania naiwnych. Ale ciężki to był na ogół kawałek chleba wobec ogólnej biedy, a najwięcej trudu nastrecało oszustom nie-tyle metoda polowania ile raczej wyszukanie ofiary.

W końcu o jeszcze jednej warstwie szumowin ślad pozostać winien w tych zapiskach.

Bywało tak zawsze i chyba będzie do końca świata, że obok kobiet istnieją... kobiety.

Generalizowanie objawów rozwiązłości, jakie w prasie rosyjskiej, chętnej zawsze do przyzywania nam łątek, odbiło się zjadliwem echem, przedstawiło sprawę w zgoła fałszywem świetle. Nie przeczymy: Lwów aż roił się od kobiet, których podejrzana elegancya szła o lepsze z bezwstydem. Ale te damy — albo nie wyrosły na lwowskim bruku, albo też jeśli wyrosły, nigdy nie miały nic wspólnego z naszą kobietą. Część ich wylęła ze spelunków, część zbiegła się z prowincyi... Dla charakterystyki dość nadmienić, że pokaźny owych elegantek brukowych procent stanowiły bezrobocze sługi, które porozbijawszy szafy swych pań nieobecnych, szeleściwały ich jedwabiami... Że przytem umiały renomować się, to już należy do *metier*: jedna

przedstawiała się za żonę majora, zamkniętego w Przemyślu, inna była wdową po poległym kapitanie, jeszcze inna towarzyszką życia spariżowanego hofrata, a wszystkie, gdyby adorator krytyczniej zechciał się im przyjrzeć, miały maniery dziwnie przypominające *savoir vivre* dam od koromesła, lub z szantanu ostatniej gildy.

Więc twierdzić, że Lwowianki, że Polki..., ależ to było takie zwykłe, trywialne »drańcie«, które w każdej geograficznej grasuje szerokości, które o narodowość troszczy się tyle, co kot w marcu o gwiazdzistą teorię Laplace'a, a z gruntem lokalnym tę ma chyba łączność, iż go zanieczyszcza...

Ubolewać można nad ofiarami sprytu rzekomych »wdów«, »żon oficerskich«, »radczyń«, »hrabin«, ale też tylko ktoś, kto nigdy nie widział naszej kobiety, mógł wziąć za nią owe... kobietki.

ŻYWICIELE I ŻYWICIELKI MIASTA.

Nawykliśmy byli dawniej widzieć całe zbawienie w utrzymywaniu tego urzędowego alembika, przez który tyle lat sączyło się u nas życie. Tymczasem, choć alembik rozbił się, żyliśmy jakoś, borykając się z losem, jak kto mógł i umiał.

Wywietrzały nam z głowy subtelności jurydyczne i administracyjne, odkąd kwestya chleba codziennego wysunęła się we Lwowie na czoło spraw piekących.

Dziwna zaprawdę złośliwość ze strony losu, że w chwili kiedy olbrzymie zagadnienia przyszłości, kiedy losy państw i narodów zawisły na ostrzu miecza, Lwów patrzeć musiał, co-by do gęby włożył.

Zmiarkowali zawczasu nasi żywicieli i nasze żywicieli, co w trawie piszczy, i — nie obwijamy w bawełnę — zmiarkowali również, że chyba głupi nie sprofitałby z takiej sposobności. Najjaskrawiej wystąpiło to w pierwszych dniach po zajęciu Lwowa, kiedy austriacka taryfa maksymalna przestała już obowiązywać, a rosyjskiej jeszcze nie ustanowiono. Można było wtedy podziwiać bezczelność kramarską w całej pełni; można też było zrozumieć, dlaczego starożytni kazali Merkuremu być patronem równocześnie i kupców i pracowników z całkiem innej dziedziny wolnego przemysłu, Ceny podwyższano dowolnie; często dla każdego z gości cena była inna, odpowiednio do prawdopodobieństwa jej uzyskania; ponieważ zaś zachodziła obawa, że Lwów zostanie w krótkim czasie ogołocony z zapasów, publiczność dawała drzeć z siebie skórę bez słówka protestu. Nie brakło wprawdzie handlów, w których poczucie obywatelskie utrzymało przewagę nad żądzą zysku, ale tych było niestety niewiele. Na ogół łupiono publiczność bez ceremonii i bez litości, korzystając z jej przymusowego położenia.

Po wprowadzeniu przez rosyjskie władze taryfy maksymalnej proceder ten doznawał pe-

wnego utrudnienia. Czegoż jednak nie pokona pomysłowość ludzka? Przeto i z taryfą dała sobie jakoś radę. Największą pod tym względem zręczność przypisać sobie mogły drobne sklepiki, owe tradycyjne grajzlerajnie, zaopatrujące w żywność po kilka, co najwyżej kilkanaście domostw. Prawda, że i one same padały ofiarą lichwy żywnościowej, zaopatrując się u engrosistów, ale też odbijały ją z sutym naddatkiem na skórze swej klienteli.

Że przekupki wszelkiego rodzaju nie pozostały w tyle pomiędzy prześcigającymi się w pogoni za łatwym zyskiem, to jasne. I nie szły tylko owczym pędem w tropy łupiskórców, lecz starały się urozmaicić własnymi wynalazkami ten pochód do wspólnego celu. W owym n. p. roku ziarna fasoli u przekupek dochodziły do niebywałych rozmiarów. A przyczyna tego zjawiska? Oto fasolę przed wyniesieniem jej na sprzedaż moczyło się pilnie w letniej wodzie, aby dobrze napęczniała. Gdy ją wilgoć już rozparła, to czy kto kupił na wagę, czy na miarę, został oszukany w ilości przynajmniej o jedną czwartą, pomijając już, że choćby do końca życia gotował taką fasolę, nigdy ona nie zmiękła.

W świetle tych doświadczeń dopiero przekonano się, jakim dobrodziejstwem są dla Lwowa tanie sklepy miejskie. Im też głównie przypisać należy przełamanie lichwy żywnościowej. Akcyi zaś zarządu miasta dopomogły nie mało również sklepy obywatelskie, których w za-

dney dzielnicy nie brakło. Wziętość ich szybko rosła, gdyż poprzestając na drobnych tylko zyskach, dawały równocześnie towar dobry i — dobrze odważony. A pod tym ostatnim względem w sklepikach i u przekupek zdarzały się zbyt często i zbyt dziwne pomyłki.

MLECZARKA.

Baba kuta na cztery nogi, choć na dwu tylko chodzi. Doskonale świadoma roli, jaką odgrywa w życiu codziennem. To też umiała zawsze należycie wyzyskać ów atut.

Czasy wojenne zaostrzyły jeszcze bardziej jej rozum praktyczny. Mleczarka dotąd nie żali się na nie. Ma niezawodnie kłopoty z wyżywieniem krowy, bo rekwizycya często gęsto pozostawiła ją bez paszy, jednakowoż — koniec końcem — tak dobrych interesów nie robiło się nigdy.

W czasie pokoju chętnie dawała mleko »na gotowe«. To znaczy: na miesięczny obrachunek. Wygodniej było, od razu otrzymać znacznieszą kwotę. Swoją drogą, często gorzki spotykał ją zawód. Gdy »na pierwszego« przyszło rodzinie urzędniczej załatwiać rachunki, to po zapłaceniu pilniejszych, nie starczyło już niekiedy na mleczarkę i dopiero w ciągu miesiąca wyrównywała się powoli zaległość.

Od chwili wybuchu wojny nie zaznała tych nieprzyjemności mleczarka. System dawania »na gotowe« skasowany został wobec tego, iż »pierw-



szy« doszczętnie utracił sakramentalny swój charakter. Kredyt u mleczarki — tak jak w ogóle kredyt — poszedł pomiędzy wzruszające legendy. Nie dostawało się już mleka »gotowe«, tylko za gotówkę — brzmienia bardzo zbliżone, ale sens kaducznie różny.

Niewygodę codziennego inkasa umiała mleczarka obrócić sobie na pożytek. Cena mleka podskoczyła z 24 do 36 hal. za litr, bez wpływu, przynajmy, na jego dobroć. Nazywało się owo mleko »świeżem«, co jednak nie miało wcale znaczyć, jakoby świeżo udojone od krowy dostawało się w dziewiczym stanie do naczynia konsumenta. Przeciwnie: mleko znacznie zcieśniało i tak samo, jak cena, urósł w niem procent — wody. Ponieważ atoli mniej na ogół mleczywa dostarczało się wówczas, mleczarka nie robiła sobie z tej przyczyny żadnego skrupułu, ufna, iż towar w każdym razie znajdzie nabywcę.

Tu i owdzie spotykało się jeszcze drastyczniejsze kawałki tej pomysłowości. Były mleczarki, u których krowy wogóle nie dawały mleka, tylko — śmietankę. Rzecz prosta: śmietanka kosztowała 60 hal. za litr, tedy o 24 hal. więcej niż mleko, no, a różnic się odeń nie potrzebowała zbyt jaskrawo. Doda się do mleka trochę mniej wody i jest »wojenna« śmietanka, że tylko palce oblizuj!

Nawet swe konserwatywne skłonności umiała mleczarka uczynić narzędziem dla zagarnięcia zysków. Przywykła od małego dziecka do pie-

niędzy austriackich i innych nie uznawała. Musiało się jej płacić halerzami i koronami, w przeciwnym bowiem razie — za delikatna, by kogo opaść gębą — zmilczała to »nadużycie«, ale... nazajutrz już nie pokazała!

Swoją drogą, jeżeli spróbował kto w podobnem położeniu serdeczniej przemówić do rozumu mleczarki, to jej wyrozumiałość okazywała się skłonna do ustępstw. Co tam jakieś różnice pomiędzy dawną, a nową monetą: u niej obie równie dobre! Nie masz pieniędzy austriackich, mleczarka w drodze łaski zadowoli się rosyjskimi: zamiast 18 ct. daj 18 kopiejek — no i wszystko będzie dobrze!

ŁUPISKÓRSTWO.

Nieustannie ujadała na nie publiczność w czasie inwazyi; jakoż godzi się wystawić osobny tej pladze pomnik, bo w tak drastyczny, jak wówczas sposób, nigdy nas jeszcze nie pouczano, że »pecunia non olet«.

Szedł ów prąd z góry, od engrosistów, których pomysłowość okazała się wprost nieprzebraną, ilekroć przewąchali, że można drzeć tylko. O gromadzeniu zapasów i chowaniu ich, by potem, gdy puszczone w obieg wyczerpią się, sączyć szczyptami po horendalnych cenach, — śpiewały już wróble na dachu. Proceder ten uprawia się zresztą i obecnie, a wówczas uprawiany był z ogromną finezyą, obejmując kolejno coraz inne produkty — oczywiście najniezbę-

dniejsze, bo artykuły zbytłowe, jakkolwiek podrożały również ogromnie, przecież nie do tego stopnia, co przedmioty stałej konsumeyi.

Aby położyć tamę lichwie żywnościowej, ustawiono wprawdzie taryfę maksymalną, kilkakrotnie pozycye jej zmieniając w miarę konjunktur. Ale żadna taryfa nie da sobie rady z nieuczciwością. Po ogłoszeniu następował długi okres, w ciągu którego sprzedający liczyli na to, że nie każdy z klienteli zna już taryfę; w drugim okresie czytało się gościowi z nosa, czy lubi robić awantury z powodu bezczelnego wyzysku, czy też woli, kupiwszy za żadaną cenę, splunąć i pójść dalej; w końcu — i to dość rychło — nadciągało stadyum pogrążania się taryfy w coraz głębsze zapomnienie.

Mnóstwo zresztą przedmiotów codziennego użytku stało poza taryfą. Te dawały szczególnie wdzięczne pole do popisu łupiskórstwu. Uprawiało się chętnie nawet i fałszerstwo, by n. p. zamiast 100 mieć 300 procent zysku.

Pamiętasz zapewne, szan. czytelniku, jak delektowałeś się ongi bryndzą wiosenną, płacąc za ćwierć funta 20 hal. Jeśli pociągnęła cię tęsknota ku temu specyałowi w czasie inwazyi, to za ćwierć funta zapłaciłeś 18 kop. I co w zamian dali ci w sklepie? Mieszaninę seru krowiego rozprowadzonego wodą z odrobiną zjełczalej śmietany i roztartą — dla zapachu — grudką bryndzy, przechowanej z roku poprzedniego. Naturalnie! Skądżeby miała wziąć się bryndza, skoro dostarczają jej tylko Węgry, od-

graniczone wówczas od nas żelaznym murem dział i bagnetów. Za ćwierć funta zwykłego sera krowiego zapłaciłbyś wedle taryfy tylko 9 kop. Tego panu kupcowi było zamało, dodawał więc przymieszki za 1 kop., zastępując odpowiednią ilość sera wodą z bezwartościowym przydatkiem i brał za ćwierć funta sera krowiego w rezultacie 18 kop.

Byłem, opowiadał mi w owych czasach jeden znajomy, u szewca, który od lat kilkunastu dostarczał mi obuwia, a byłem, nie mogąc doczekać się podzelowania bucików. Skromny niegdyś majsterek urósł, widzę, w fantazyę; taka bagatela, jak zelówka, niezbyt mu pochlebiała. Ileż to kosztuje? Dwa ruble. Pytam, czy nie za drogo. A no to płać pan... 6 koron 60, mnie to wszystko jedno. Jeszcze niedawno, dodawszy nieco, można było za te pieniądze dostać od biedy buciki. Pytam o przyczynę takiej drożyzny. Oczywiście: materyał, życie itd.! A przytem nieuczciwość ludzka. Ot, świeżo pięknie wykierował mnie jakiś panisko. Obstałował buty z cholewami; zażądałem 30 rubli, zapłacił. »Czemże więc wykierował?« — A może nie? Spostrzegłem się potem, że byłby zapłacił, ilebym tylko był zaśpiewał. A mnie sam materyał, panie, kosztował z 10 rubli! »Zatem panu mało 20 rubli za półtora, powiedzmy dwa dni roboty. Co ja bym dał za to, bym tak mógł zarabiać!« Żachnął się. 20 rubli! Co to jest? 50 koron! »Panie majster! Przecież przed chwilą zamiast 2 rubli kazałeś mi pan zapłacić 6 koron 60.

Po jakiemu pan liczy?« Z całą szczerością odrzeczł mąż zacny: Dla gościa liczę rubel po 3·30, ale dla mnie po 2·50!

Ten łupiskórca był przynajmniej szczery. Uważał klienta za nieuczciwego, ponieważ prawdopodobnie dałby się był jeszcze bardziej obdrzeć, a tu p. majstrowi koncept zapóźno przyszedł do głowy. Miał też inną tabelkę walut dla gościa, a inną dla siebie — i czuł się jeszcze pokrzywdzony.

Inni tego nie mówili; czynili jednak podobnie.

KOLEKCYONERZY.

Napężenie nerwów, naturalne następstwo stanu wojennego, przyprawiło wielu z nas o dziwactwa. Dowód to słabej odporności psychicznego ustroju, niemniej jest faktem i jako fakt zapisujemy go tutaj.

Wśród dziwaków, stworzonych wyjątkowymi stosunkami, prym wiedli na szczęście nieszkodliwi maniacy. Namnożyło się tego co nie-miara. Wyrośli jak grzyby — pod krwawym deszczem wojny.

Kolekcyonerstwo ma wszelkie warunki po temu, by zaliczone było do rzędu manii. Jużcić nie kolekcyonerstwo celowe, umiejętnie i celom nauki oddające się w usługi. Ale jeśli kto zasadzi się na pierwsze lepsze głupstewko i głupstewko to gromadzi w tysiącznych odmianach, — no, to człowiek o całkiem zdrowych zmysłach

zrozumieć nie potrafi tego amatorstwa, ani nie odgadnie, komu stąd urość mógłby pożytek.

Kolekcjonerzy nasi wówczas zbierali z zapalem wszystko, co w jakikolwiek sposób przyczynić się może ich zdaniem do ilustrowania historycznego momentu, który przeżywano. Lecz właśnie rozsądzenie, o ile coś charakteryzować może chwilę, stanowi »punctum saliens« sprawy, a kolekcjonerzy nasi w ów punkt utrafić nie zawsze umieli, zamiłowania ich najczęściej kulą w płot godziły.

Oto np. poważny pewien jegomość — nawet nie bez narażenia się na niebezpieczeństwa — zwiedzał przez czas dłuższy pobojuwiska. Rezultatem wypraw było zawalenie całego pokoju najrozmaitszem rupieciami. Czego tam brakło? Kawałki rzemieni, postronków, szmaty, drzazgi drzewa, patrontaszki, puste naboje itd., piętrzyły się stertami. Ugodził w zbieracza straszliwym ciosem nakaz wydania wszelkich możliwych jeszcze do użytku utensyliów wojskowych i wiele pierwszorzędných ozdób ubyło jego zbiorom. A on, kolekcjoner, byłby najchętniej, zamiast wydawać, wniósł raczej do swego muzeum całą zbrojownię. Raz nawet śniło mu się, że dostał — armatę. Słodki sen, niestety, sen tylko!

Ktoś inny znowu zbierał monety ze stemplem pamiętnego roku 1914. Zrozumiałyby ostatecznie byłoby zachowanie sobie kilku sztuk na pamiątkę. Ale prawdziwy kolekcjoner-amator

doprowadzał rzecz do absurdu. Każda świeża moneta z pamiętnego roku, wpadłszy mu w ręce, szła zaraz w odstawkę. Było tego już cała kupa, apetyt jednak kolekcjonerski nie da się zaspokoić. Ponieważ zaś człowiek to był wcale niezasobny pekuniarnie, więc owo odkładanie równało się ciężkiej ofierze, która na skąpym budżecie rodziny dotkliwie ciążyła. To też jeśli do tego domu dostała się jaka wspomnianego stempla moneta, zaniepokojona jej widokiem gospodyni starała się ulokować ją czemprowadzej w sklepiku.

Owa słabość do monety pociąga uwagę ku innej kategorii kolekcjonerstwa, ani bezcelowej, ani też zabawnej. Zaraz po zajęciu Lwowa przez Rosyę, poczęło się wyłapywanie zdawkowej monety przez »kolekcjonerów« dobrze świadomych, dlaczego to czynią. Spekulacya (ta najniższego rzędu, obskurna, a — jak wampir na krew — łakoma), rzuciła się na żer łatwy i w krótkim czasie »drobne« znikły, jak kamfora. Po niejakej przerwie, gdy konjunktura ukazała zysk właśnie w wyrzuceniu zdawkowej monety na rynek pieniężny, wylały się »drobne« na czas pewien istotnie i to odrazu wartkim potokiem. W ukryciu pozostało tylko srebro; później i ono wyłaziło jak sztybel z woru, służąc za przedmiot rozmaitych transakcyi, zbyt subtelnych, by profan mógł się na nich połapać.

Przeciw podobnemu »kolekcjonerstwu« występowała wprawdzie władza, ale ono umiało wymykać się z pod palców i tylko od czasu do

czasu ten lub ów amator dobrze opłacającego się zamięłowania wpadał w ukopany przez niego samego dołek.

Muzealnych upodobań doczekano się nawet w dziedzinie mączarstwa. Ledwie do Lwowa zwieziono olbrzymie zapasy z młynów rosyjskich, a już w kilka dni potem okazało się nagle, że mąki brak, że tylko z trudem dostać jej można, że więc chcąc nabyć tego niezbędny artykuł żywności, trzeba go przepłacać. Sprawa streściła się ostatecznie w pytaniu: kto dłużej przetrzyma: »kolekcyonerzy«, czy publiczność? Na szczęście tej ostatniej przybyła pomoc ze strony miasta: sklepy miejskie sprzedawały mąkę po cenie normalnej — więc do tamtej, gdzieś po piwnicach nagromadzonej już się nie rwano, życząc jej tylko, by sobie stęchła, a choćby zgniła.

KOLPORTERZY.

W czasie inwazyi wychodziło we Lwowie sześć pism codziennych polskich.

Przed wojną egzystencja prasy opierała się na dwu czynnikach: na prenumeracie prowincjonalnej i na inseratach. Wojna zniszczyła oba te źródła dochodu, pozostawiając żurnalistyce zaledwie suchy kęs chleba: rozsprzedaż lokalną.

Wobec tego kolportaż, dawniej traktowana dość obojętnie, jako uboczny środek egzystencji, wysunęła się na czoło jako niemal jedyna, niemal wyłączna żywicielka prasy. Nie tylko jej

wszakże; owszem, kolportaż żywiła tych przedewszystkiem, którzy ją uprawiali.

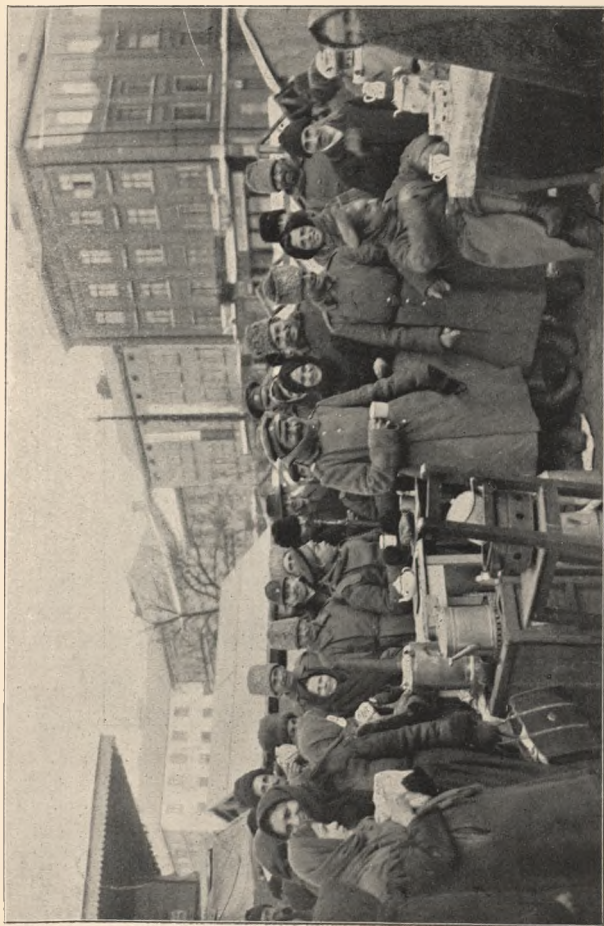
Wśród niezmiernie ciężkich warunków, w jakich znalazły się niezamożne warstwy ludności Lwowa; wobec tego zwłaszcza, że możliwość zarobkowania spadła do minimum,— roznosicielstwo pism stało się dla setek osób ostatnią deską ratunku. Stąd też zastępy kolporterów ogromnie urosły co do liczby, a skala wieku pomiędzy nimi sięgała od jakich lat 7 do ... W górze trudno było ustalić granicy, dość wszakże zaznaczyć, że pomiędzy kolporterami spotykało się ludzi już nietylko w podeszłym, lecz wprost w sędziwym wieku.

Rekrutowali się kolporterzy z warstw najrozmaitszych. Obok sfery, która także dawniej dostarczała głównego kontyngentu roznosicieli, a która gnieździ się po przedmieściach, lub w suterrenach domów miejskich; obok więc podrostków płci obojga i dorosłych osób z ubogiej klasy robotniczej, znajdował się w tym zastępie i gimnazjalistę, który tym sposobem dopomagał rodzicom i akademika, pozbawionego środków utrzymania, jakich mu użyczały lekcye i zecera, skazanego na przymusowe bezrobocie i tyłu, tyłu innych, którym z pewnością nie śniło się nigdy, by w podobny sposób z dnia na dzień pchać mieli biedę.

A nie łatwy to zawód — kolportowanie. Ileż trzeba nachodzić się, naziębnać, nadrzec gardła, zanim rozsprzeda się tyle egzemplarzy pism, iż uzyskany stąd zarobek zaważył coś

może w szali budżetu dziennego. »Dura necessitas« jednak wytwarza spryt, bo tylko przy jego pomocy kolporter może cel osiągnąć. Tu zaś spryt ujawniał się w dwu kierunkach: w wyszukiwaniu sobie miejsca dla rozsprzedaży odpowiedniego i w zdobyciu się na oryginalny, własny sposób drażnienia słuchu przechodniów. Gardło kolportera, to jak syrena automobilu: im potworniej skrzeczy, piszczy, wogóle rozdziera uszy, tem pewniejszy efekt. Kolporterzy też nasi doszli byli w czasie inwazyi do prawdziwego - w tym względzie mistrzostwa: ten wył, ów ryczał, tamten pohukiwał, jak z beczki, a już do najświetniejszych pod tym względem zjawisk zaliczano kunsztyk jakiegoś podlotka, przystrojonego w czarny rańtuch zakonny. Ta roznosiicielka zyskała ogromną popularność, gdyż nie wysilając głosu, recytowała tytuły pism z taką niesłychaną monotonią, że i trybuszon skuteczniej nie prześwidrowałby uszu.

W porze południowej, kiedy zbliżała się chwila wyjścia nowych numerów pism, nasze »Quartier de la Presse«, tj. ulice Sokoła, Chorażczyzny i Zimorowicza przepełniał tłum kolporterów. Gwarno tam bywało i huczno; malcy pustowali, aż dudniło, starsi trzymali się na uboczu; co chwila zabiegał ktoś do drukarni spenetrować, czy maszyna jeszcze nie w ruchu. Wyjście numeru witały młodociane smyki entuzyastycznym wrzaskiem; tłum na wyprzódki spieszył do ekspedycyi, skąd co chwila wypadał



Życie na pl. Krakowskim



»Sestriczka«

któs z paczką gazet i biegnąc na miejsce swego postoju, obwoływał po drodze nowiny.

Nie przeczuwał z pewnością taki łobuz, że głos jego był składowym tonem dźwięków, zlewających się w zbiorowym głosie miasta, które o rana do nocy wołało nieustannie — po polsku: **Żyję! Żyję!**

W KRAINIE PAPIERU.

Jest przekleństwem człowieka kulturalnego, że stworzył sobie mnóstwo potrzeb, o których w stanie pierwotnym nie miał pojęcia, a które potem zaspakajane być muszą. Ot, np. taki papier? Żyło się bez niego w zamierzchłej przeszłości całkiem dobrze i ściśle biorąc, żyć można by tak samo dzisiaj, a jednak — niepodobna! Niechżeby współczesny kochanek odważył się przesłać swej dulcynei wyznanie uczuć naskrobane kozikiem na glinianym czerepku, jak za dobrych czasów asyryjskich! Albo: czy przyszłoby komu dziś na myśl, dla zakomunikowania sekretu, zgolić służącemu głowę, na niej wypisać, o co idzie, potem trzymać go w domu aż włosy odrosną i posłać adresatowi z poleceniem, by przybysza gruntownie ostrzygł!

Nam trzeba koniecznie papieru! Nawykliśmy do wyrabiania istnych z nim orgij; do wszystkiego musi być zatem papier. I tak nam spowszedniał, że ani śniło się kiedy komu, by nawet tego głupstwa mogło zabraknąć. A tymczasem od marca r. 1915 już zanosilo się na to, że go zabraknie.

Całe szczęście, że we Lwowie uprawiano na wielką skalę spekulację papierową. Krajowa fabryka czerlańska, fabryki szląskie, austriackie, czeskie, utrzymywały tu na składzie olbrzymie zapasy swych wyrobów. Tylko temu zawdzięczać wypada, że mimo obaw, do końca inwazyi nie zabrakło nam papieru, a jeśli oszczędzano go, to jedynie z powodu, że podróżał.

Wybuch wojny z miejsca ubezwładnił całą industrię papierową. Już w sierpniu 1914 zapanowała na tem polu zupełna stagnacya. Trwała ona we Lwowie mniej więcej do połowy września 1914.

Po okupacyi, zaledwie przeszło pierwsze oszołomiające wrażenie, papier — t. j. handel papierem — odżył i coraz pełniejszym tętnem zapulsował ruch na tem polu. Okazało się ogromne zapotrzebowanie papieru, składy więc poczęły wysypywać swą zawartość, której część znaczną spotrzebował przedewszystkiem miejscowy przemysł. Tak np. fabryka wyrobów papierowych S. W. Niemojewskiego, jeden z największych w kraju zakładów tej kategorii, nie pracowała nawet w czasie pokoju z równem, co od drugiej połowy września r. 1914 wyłączeniem.

Niestety, jednak zachodziła obawa, iż gorączkowa praca w krainie papieru, pewnego pięknego poranku nagle ustanie, jakby prysła bańka mydlana. Od chwili bowiem wybuchu wojny ustał zupełnie dowóz surowca, spożytko-

wywało się więc tylko pozostałe we Lwowie zdawna zapasy, a tym raz koniec być musiał.

Dowóz papieru z Rosyi napotykał na szalone trudności. Tam dostarczały go fabryki finlandzkie. Ich zaś wyroby pod względem jakości nie wytrzymują porównania z tymi, do jakich przywykliśmy, są zaś już na miejscu droższe. Wobec olbrzymiego oddalenia, transport musiałby był kosztować bajeczne sumy. Gdyby więc wypadło było sprowadzać papier finlandzki, to kto wie np., czy nie taniej wypadłoby pisanie listów na... banknotach.

Wyroby papierowe zakupywali kupcy rosyjscy w wielkich ilościach, a »podrjadczycy« ich, czyli, jak się u nas wtedy utarło, »podraczki«, rozwozili towar po pozycjach, bez trudu, wyprzedając go tam do szczętu.

Także zapasy papieru drukowego, zwłaszcza gazetowego, znajdowały się pod koniec inwazyi u schyłku. Nie brakowało też widomych tego znaków.

Lepsze papiery drukowe znajdowały się w bardzo nieznacznej tylko ilości, a ceny ich doszły do nieprzewidywanych wyżyn, koszt zaś ciągle wzrastał skutkiem braku odpowiednich formatów. Co do poślednich gatunków papieru, to te znikły prawie bez śladu. Nie było np. papieru do wyrobu torebek sklepowych i coraz częściej spotykało się w handlach nieapetytne torebki z makulatury. Hygiena załamywała na ich widok ręce. Ale to trudno, radzili sobie ludziska, jak mogli.

TUTKI.

W jednym z pism codziennych czytaliśmy jakoś w kwietniu: »Ktokolwiek nawykłeś do używania tutek krajowych, przygotuj się na to, że już niedługo czas przyjdzie, gdy powrócisz do przedpotopowych bibulek! Są różne znaki na niebie i na ziemi, uprawniające do tak złowróźbnych horoskopów. Przyjrzyj się tutkom Banku przemysłowego: czy nie zastanowiło ciebie, jak »bajecznie kolorowa« jest wewnątrz od pewnego czasu lufa munsztuku? To wyziera karton skrojony z makulatury kart, które fabryka Banku wyrabia. Karton ów zaś rzuca istne Thekel-Manes-Phares pod adresem palaczy. Nie brak bibułki bowiem zagraża produkcyi tutek krajowych, jeno brak takiego głupstwa, jak wyściółka do munsztuka (wyraz szkaradny, ale co począć, skoro proponowana »ustnica« nie zdołała wyrobić sobie prawa obywatelstwa!).

»Tak więc, gdyby tutkarstwo nasze było Achillesem, to munsztuk odegrałby dziś rolę jego nieszczęsnej pięty«.

Tak pisano z wiosną 1914.

A miał w sobie ów przemysł w czasach przedwojennych coś naprawdę z achillesowskiej buńczuczności. Tyle innych nie udało się, ten się udał. Był jednym z niewielu, którego wyroby pobiły z kretestem obcą konkurencyę, co więcej: dostarczyły strawy eksportowi. Nasze tutki palono nad świętym Gangesem, w skwarnych okolicach Sachary, szły nawet do Ame-

ryki, Australii, że już nie wspomniemy o Bałkanach. Trzydziestu tysiącom ludzi dawało tutkarstwo galicyjskie egzystencję, co zaś najdziwniejsza, wzięto początek — wiadomo — od jednego człowieka, p. S. W. Niemojewskiego.

W owych, o które zawadziliśmy, czasach przedwojennych, wytworzyła się była nawet niezdrawa konkurencya. Produkowano więcej, niż było trzeba i niż można było rozmieścić. Ale też, gdy w sierpniu skutkiem rozpętanej burzy wojennej, stanęły raptem fabryki tutek, gdy właściciele fabryk powyjeżdżali, znalazły się u nas tak znaczne zapasy tego artykułu, że o pokrycie zapotrzebowania na czas dłuższy nie mieliśmy kłopotu. Haussa cen była najzupełniej bezpodstawna, uprawiano ją tylko dlatego, by w systemie lichwiarskiego wyzysku nie powstała, broń Boże, luka.

Gdy się umysły nieco uspokoiły, w fabrykach tutek zawrzała praca na nowo, zwłaszcza, że zwiększył się popyt na wielkie masy towaru dla potrzeb armii rosyjskiej. Wtedy była istotnie chwila, że mogło stanąć wszystko z braku surowca. Dostarczała go bowiem naszym tutkarniom fabryka sasowska, a ta z powodu wojny zawiesiła pracę. Ale tu rzutkość p. Niemojewskiego ocaliła sytuację. Jego to zabiegom przypisać należy w znacznej części, że dzięki okazałemu zamówieniu rosyjskiej firmy Bogdanowa na sumę 140.000 rubli, Bank przemysłowy ujął sprawę w swe ręce i Sasów znowu w ruch puszczono. Wyrabiał wszakże nie samą już

tylko »combustible«, jeno i bibułkę francuską dla klientelii rosyjskiej, ta klientela bowiem nie doszła jeszcze do poznania, że natłuszczona gliceryną bibułka tylko wydaje się cienką, dzięki prześwietlaniu, a nie przemawiają za nią względy ani smaku ani higieny.

Że tutki w czasie inwazyi były znacznie droższe, niż dawniej, to miało do pewnego stopnia słuszne podstawy, cena bowiem surowca podskoczyła o 40 proc. Że jednak w przeważnej liczbie sklepów uprawiało się i pod tym względem wstrętne łupiskórstwo — to również pewnik. Bo jeśli np. fabryka Niemojewskiego mogła sprzedawać bardzo dobre tutki swego wyrobu po 8 kop. za setkę, to niewiadomo, dlaczego inne tutki, wcale nie lepsze, dochodziły w cenie do 12, 16, 18, ba, nawet 20 kop. za setkę.

Taka już widocznie handlu psychologia, że nie przepuści żadnej okazji, by kogo chwycić, osmuszyć, byle samemu porastać można było w pierze!

O RÓŻNYCH DYMACH I DYMKACH.

Te uwagi niechaj ołowiem wyrzutów przytłoczą... duszę Kolumba! Gdyby nie on bowiem, nie byłoby Ameryki, a gdyby nie odkrycie Ameryki, może palilibyśmy lulek, bielun — jakąś trucizna jużby się znalazła, — nie palilibyśmy jednak tytoniu i nie mielibyśmy przynajmniej pod tym względem kłopotów, które spadły na nas w następstwie wojny.

Może kiedyś siła woli urośnie w człowieku do tego stopnia, że ogółowi odjąć będzie można tytoń, tak samo, jak odjęto np. Lwowu w czasie inwazyi alkohol. Na razie wszakże ideał to nie do osiągnięcia. Choćby z jeszcze większą, niż dotąd usilnością przestrzegali abstynenci przed zgubnem działaniem nikotyny, palacz nie porzuci swego nałogu. Przyczyna bardzo prosta. Na walkę z przyzwyczajeniem nikotynowem mogą puścić się chyba ludzie pod każdym względem niezależni, którym stosunki pozwalają przez 2 lub 3 miesiące pozostać w zamknięciu, zerwać stosunki ze światem, poniechać wszelkich zajęć i oddać się całkowicie drzemce, przerywanej tylko wybuchami wściekłości, zanim wreszcie tępa rezygnacya przywróci organizmowi zachwianą równowagę.

Palacz przywyka z czasem nałogowo nie tylko do nikotyny, lecz nawet do formy, w jakiej ją przyjmuje. Tedy są ludzie, którzy palą wyłącznie cygara, są specjaliści przepadający za fajeczką, tabaka ma już niewielu tylko miłośników — przeważna większość palaczy, można przyjąć, że 90% ogólnej liczby, trzyma się papierosów, jako najtańszych i najwygodniejszych w użyciu.

Także co do gatunków tytoniu ważną rolę odgrywa przyzwyczajenie. Nam np. wędzonym przez lat tyle w dymie tytoniów austriackich, ogromnie trudno przyszło zdobyć się na sympatyę dla dymków innego pochodzenia. Austriackie wyroby tytoniowe cieszą się zresztą nie-

tylko w Austrii, lecz i poza granicami państwa znakomitą opinią. Mniejsza i o nią, faktem jest jednak, że mają pewien smak odrębny. *Vox populi* przypisuje to saletrowaniu, chociaż — o ile sobie przypominam — zarząd monopolu tytoniowego niejednokrotnie zastrzegał się przeciwko podobnym insynuacyom.

W trafikach lwowskich już przed zajęciem Lwowa przez Rosyę, dotkliwie dawał się odczuwać brak tytoniu. Roztropniejsi i zamożniejsi palacze zawczasu wykupywali znaczujsze partye. Nie każdego jednak stać było na to. W pierwszych dniach po okupacyi wypaliliśmy już resztki. Pozostało trochę »grenzera« po 10 h. paczka, sorty najpodlejszej, grubo krajanej, jak do fajki — i nieco wykwintnego tytoniu macedońskiego. Co nigdy przedtem nie byłoby wpadło nikomu na myśl, mieszano obie te sorty — lecz niebawem także ich zabrakło. Szczęściem wysypała się wtedy w sprzedaży ulicznej wielka ilość cygar winnickich, przeważnie »inlenderów« i »portorica«. Paliło się więc albo cygara, albo też krajało się je na tytoń do papierosów, co jednak należy nazwać pomysłem bardziej desperackim, niż udatnym.

Dopiero w październiku nadeszły tytonie rosyjskie. Uprawiano niemi zrazu lichwę, sprzedawano je po cenie dwukrotnie wyższej niż była oznaczona. Dopiero władza wdać się musiała w sprawę i zagroziła temu ażytożowi surowemi karami.

Na początek zasypano nas tytoniami ni-

skich sort i podrzędnych fabryk — wyrobami z Rostowa, Teodozyi, Berdyczowa. Dopiero około grudnia zjawiły się fabrykaty takich firm, jak Popow, Kogen, Dukat, Krem i in. Okazały się również i papierosy rozmaitych marek — tak, że odtąd na brak wyboru skarżyć się nie było można.

Tytoń rosyjski wogóle ma smak mniej pełny w porównaniu z tytoniem austriackim. Przeważają tytonie lekkie, które naszych podniebień, przywykłych do silnego podrażnienia, nie mogą zaspokoić. Nawet sorty oznaczone jako »krepkie« wydają się nam jeszcze zbyt mdłemi. Papierosy rosyjskie uderzają wprawdzie taniością i praktycznem opakowaniem w pudełeczkach po 6, 10, 20 itd. sztuk, wszystkie jednak mają jedną wadę: bibułkę francuską, z którą my dawno zerwaliśmy, poznawszy, o ile pod każdym względem górują nad niemi bibułki, fabrykowane na sposób egipski. Francuskie papierki cygaretowe wydają się cieńsze, bo są przejrzyste, zawdzięczają to jednak glicerynowaniu. Papieros ujęty w bibułkę francuską, po pierwszym zaraz pociągnięciu brunatnieje cały, co nadaje mu nieapetytną fizyognomię, a pozostawiony na chwilę w spokoju, gaśnie, co znowu w czasie drożyzny zapalek nie jest rzeczą obojętną. Przytem i na smak papierosa gliceryna oddziałująca ujemnie.

Koniec końcem palacze lwowscy do końca nie zdołali oswoić się z tytoniem ani papierosem rosyjskim i dopiero powrót rządów austri-

ackich a z niemi austriackiego tytoniu uspokoił ich nerwy.

Co do cygar rosyjskich tyle tylko powiedzieć można, że nigdy nie zaaklimatyzowały się u nas. Podostatkiem we Lwowie bowiem przez cały czas inwazyi było cygar austriackich, których znakomita jakość i niska stopniowo cena utrudniała importowi konkurencyę. Były one bardzo poszukiwane także przez Rosyan, bo : oni przyznawali cygarom austriackim, bez żadnych zastrzeżeń wyższość nad rosyjskimi.

TEATR W CZASIE INWAZYI.

I.

Nie dały się muzy helikońskie wypłoszyć grozą wojny. Skoro tylko przycichło nieco i krzyk broni oddalił się od Lwowa, wystąpiła z ukrycia... sztuka. *Eppur si muove!* Wspaniała jej przebytek przy pl. Gołuchowskich nie otworzył wprawdzie swych podwoi, ale czyż tej świetlanej pani koniecznie gmachów potrzeba? Mógł Szekspir arcydzieła swe wystawiać w drewnianej budzie — pomyślał Lelewicz, — dlaczego więc nie możnaby rozbić namiotów sztuki w Kasyń miejskiem?

To było bardzo trafne rozwiązanie kwestyi. Lwów, do ostateczności zbiedniały i strapiony, nie mógłby zdobyć się za zapełnianie wielkiej sali teatralnej; było już wiele, że zapełniał przez szereg wieczorów w tygodniu salkę Ka-

syna miejskiego. Panowała tam oczywiście nie sztuka w wielkim stylu — na tę czas wojny nie pora; szło o rozrywkę ujętą w formy estetyczne, aby publiczność chcąc oderwać się od przygniatającej ją atmosfery życia, nie była skazaną na same tylko — Kina.

Teatr w Kasynie miejskiem jasno postawił kwestyę i tem odrazu podbił publiczność. —

Zgromadzono pozostałą na placu, a w rozproszeniu tułającą się trzódkę apollinową, przy czem wyszło na jaw, że i liczebnie i jakościowo potrafi ona sprostać wdzięcznemu zadaniu.

Program przedstawień bywał wcale urozmaicony. Wszystkiego zawierał potrosze i dla ucha i dla oka — nie brak było nawet piruetów baletowych. Ośrodek stanowiła wesoła jakaś »sztuczka«, zręcznie zazwyczaj wybrana, wyreżyserowana starannie i odegrana *con a amore*.

Pierwsze zaraz przedstawienie w teatrzyku Lelewicza dowiodło, jak mało racyi mieli pesymiści, przewidując, iż rzecz z miejsca nie pójdzie. Jednak poszła. Publiczność szczerze wypełniła salkę i nie bez rozrzewnienia oczekiwała po tak długiej przerwie — dźwięku polskiego słowa ze sceny. Przybyło też wielu oficerów rosyjskich, oczywiście Polaków. (Później także oficerowie nie Polacy spieszyli tu, szukając rozrywki).

Rozpoczęły ów pierwszy wieczór deklamacye. Z ogniem wygłoszoną przez p. Pella »Somosierra« Or-Ota przyjęto frenetycznymi oklaskami. Nie dające się opisać wzruszenie wywo-

Łał p. Miller odśpiewaniem piosnki »Jeszcze jeden Mazur dzisiaj« i przygodnej »Pieśni na czasie« której tekst podajemy tutaj:

I.

Pożoga się krwawą dziś rumieni kraj,
Za wieścią złą płynie zła wieść. —
Ku scenie wołają: Ty piosnkę nam daj!
Ach, jakież pieśni mam dziś nieść?

Ja jedną, jedyną piosnkę tu mam,
Co w mem sercu echem wciąż brzmi.
Tę wam, o, rodacy, z pod serca dziś dam,
Ze szczerą, to wierzajcie mi:

Wytrwania i sił, Panie,
Dla ziemi tej!
Niech swobód nadejdzie nam czas;
O, zgody, jedności daj
Nam w doli złej,
By gniew bratni nie złamał nas!

II.

Mam niecić wesołość, humoru rwać kwiat,
Dać kuplet, co śmiechem się skrzy.
A może tam brata morduje dziś brat,
W niewinnej kalając się krwi?

Żądacie piosenki, by uśmieć się znów,
Lecz cóż ja dać mogę prócz łez?

Toć w uchu brzmi echem płacz sierót i wdów,
O, Boże, niedoli daj kres!

Wytrwania i t. d.

Teatr w Kasynie miejskiem utrzymał się do końca kwietnia, zyskując sobie coraz większe uznanie. Było ono w zupełności zasłużone. Dobrze przysłużył się Lelewicz Lwowu, dając mu szlachetną rozrywkę, dobrze artystom, dając im możność pracy i jakiej takiej egzystencji.

Przeto Lwów otrzymał sposobność ujrzeć wielu miłych, dobrze w pamięci zapisanych znajomych, których usunęła z przed oczu zawierucha wojenna. Przedewszystkiem uśmiechnęło się znowu jowialne oblicze Lelewicza, magicznie poprostu pociągające widza. Tak sympatyczna bonhomia Jaworskiego załaskotała jak dawniej, po sercu i wystąpił z za kulis pełen tego samego, co zawsze, animuszu, Hierowski — a wzniesiony ponad stronnictwa teatralne, (bo wszystkie równie go uznały) podbijający widzów szczerym komizmem i serdecznością Dobrzański w puch rozbijał najczarniejszy pesymizm zgryźliwców. P. Okornicki, w teatrze wielkim trzymany długi czas na uboczu, tutaj stał się filarem. Jako reżyser i aktor święcił nieprzerwany szereg tryumfów, urósł na ulubieńca publiczności, rzetelnie zaś pracował nad tem, by usprawiedliwić ową sympatyę. Także p. Pell, najmłodszy z grona, znalazł sposobność zaznaczenia swego talentu. Zwłaszcza »Śluby panieńskie«

i »Romantyczni« zjednały mu wiele pochwał. Później nadciągnęli jeszcze inni. Przybył Kalinowski z bardzo cennym sukkursem, p. Neumann, zaokrągliło się kółko artusowe. Damą coeurową publiczności była oczywiście p. Zielińska, rozrzutnie szafująca wdziękiem swym i wyjątkowym talentem. P. Latoszyńska chlubnie dobijała się estymy u publiczności i krytyki, p. Sznage nie wypuszczała z ręki dobrze zasłużonej gałązki laurowej, p. Grabowska bardzo dobrze zawiadowała teką ról charakterystycznych, a p. Miłosz-Okornicka sumienną zawsze grą swą mile zapisała się w pamięci. Przygodnie występowała od czasu do czasu p. Dobrzańska, gorąco zdobywając sobie każdym razem poklask.

Z pośród rzeszy śpiewaczej wysunęła się na czoło — damom pierwszeństwo! — p. Leda Rogińska, rozporządzająca bogatym dobrze o-szlifowanym, materyałem głosowym. Tenor, p. Miller, porywał słuchaczy nie tylko wykonaniem swego repertuaru, lecz w wyższym jeszcze stopniu doskonałą interpretacją i siłą niekłamanego uczucia. Już przy okazaniu się jego na scenie wybuchały huczne oklaski. Bo też świetnie umiał takimi piosnkami jak »Podróż podróż poślubna«, Białą pokoi«, »Aeroplan« łechtać nerwy i uczucie, a »Białym mazurem« porywać słuchaczy. Bardzo miłe wspomnienie pozostawiły też produkcyje doskonale zharmonizowanej »Dziesiątki chóru technicznego«, która cieszyła się stale ogromną sympatyą publiczności.

Nakoniec — *last not last* — z jaką finezyą tańczyły pp. Poraj i Burkacka, opisać trudno, trzeba było to samemu robaczyć.

Ów mały Olimp, w Kasynie miejskiem usadowiony, to także jeden z dowodów, że gród nasz — mimo wszystko — nie stracił był fantazyi w dniach przejść ciężkich. Ona zaś wśród charakterystycznych rysów ówczesnego Lwowa należała niewątpliwie do najbardziej ujmujących.

II.

Bramy teatru miejskiego przez jesień, zimę i początek wiosny stały nadal zamknięte. Rutowski dokładał starań, aby gmach salwować, bo nie brakło ze strony władz rosyjskich apetytu na tę siedzibę sztuki. Otwarcie teatru, o czem Rutowski nieustannie myślał, stały zrazu na przeszkodzie różne trudności. Już sam problem oświetlenia i ogrzania nie był łatwy do rozwiązania. Zachodziła ponadto bardzo uzasadniona obawa, że wśród ogólnego przygnębienia teatr nie znajdzie dostatecznej liczby widzów, nawet więc nie osiągnie się efektu bodaj moralnego.

Dopiero z wiosną, gdy odpadła przynajmniej potrzeba palenia w kaloryferach gmachu, prez. Rutowski poczynił kroki u władz o pozwolenie otwarcia teatru. Hr. Bobriński zgodził się. Kierownictwo artystyczne powierzył prezydent Kornelowi Makuszyńskiemu, administracyę objął dyr. Glikson; Lelewicz ze swą trupą wszedł w skład personalu sceny miejskiej.

Pierwsze przedstawienie odbyło się w d. 8. maja. Zamiarowi prez. Rutowskiego, by je urządzono w sposób uroczysty, odmówiła władza. Zezwolono tylko na zwykłe przedstawienie.

Skutkiem zakazu władzy pozostał niewyłoszonym także wiersz inauguracyjny. Korzystamy ze sposobności, by go tutaj ogłosić.

WIERSZ NA OTWARCIE TEATRU DNIA 8. MAJA 1915.

Sztuka (mówi):

Z którymi jestem znowu, którzyście znowu ze
[mną,
Witajcie! Tęsknot mych żądza nie nadaremno
Uderzała o tego Theatrum złote podwoje,
O złote — a zamknięte. — Było tu głucho
[i ciemno,
Jakby się już wypaliły wszystkie pochodnie
[moje,
Jakby wyschły wszystkie moje miodowe kruże;
Jakby tu nie był pałac zakłęty na szklanej
[górze,
Jeno grób i jakby w grób ten na pastwę roba-
[czywa,
Niby trupa, mnie rzucono, — mnie, któram, ci
[żywa,
Stokroć więcej, niż żywa: Nieśmiertelna!



Oficer kozacki



Pożar dworca we Lwowie

Czystą i dumną, jak marmurowych skroń
[kapiteli;
Kto bez szemrania twardą odprawiał pokutę,
A choć złożył losowi ofiary aż nazbyt sute
I nowe wciąż jeszcze składa, —
Przecie ufa, że tam przy Bogu jest jakaś wiel-
[ka rada
Wielkich duchów, które ten naród wydał
[z siebie.
Tedy ta rada — jego nadziei nie pogrzebie,
Lecz pokłoniwszy się, przemówi: »Ojcie
[i Panie!
Jutro z oddechu straszego świat nowy po-
[wstanie,
Nowe zabłyśnie słońce. To niechże na koniec
[ono
Jasnym pękiem promieni nagrodzi pokutę speł-
[nioną!«

Tak-ci na deskach świata groza bezkresa
Tworzy drama, wspanialsze stokroć, niżeli ongi
Poczęte z Eschylowej fantazyi, lub Sofoklesa.
A te deski, okolone przez białe duchów posągi;
Deski, co łącząc sen i jawę niezerwanemi
[ogniwy,
Świat przedstawiają, — świat wam ukażą.
Lecz nie ten straszliwy,
Który dzisiaj jest światem i który wam smaga
Dusze, jak bicz...

Słowami wieszczów naszych, naszemi,
Sztuka wołać stąd będzie do was: »Odważa!»

Już po burzy, już po nocy, już rano,
To błogosławione rano, którego czekamy !«

Mimo, że pierwszemu przedstawieniu zakaz władzy odjął cechę solenną, dla publiczności było ono jakby uroczystem świętem. Entuzjastycznie witano sztukę jako czarodziejkę, przybywającą. Wkraczała znowu Melpomena, aby ukazać nam tę jasność, w której promieniach zacierają się szare, czarne i krwawe plamy rzeczywistości; aby z promieni swych uczynić jakieś skrzydła złociste, i na tych skrzydłach unieść dusze z trosk, bólów i lęków ku górze, w świetlane kręgi piękna; aby wreszcie znowu zawołać: »Niechaj żywi nie tracą nadziei!«

Rozśpiewała się pieśń polska w »Halce« — popłynęły tak miłe sercu polskiemu dźwięki srebrnym strumieniem, w którym przegląda się jak w zwierciadle i to słońko nasze jasne i te chmury ciężkie przy niem i kwiaty i zioła łąk naszych i tajemnicze cienie boru polskiego z wychylającemi się z poza gałęzi widmami bajkienie-bajki: dolą i niedolą...

A dnia następnego przemówiła poezya wierszem Rydla w »Kole zaczarowanem«. Przemówiła wielkim, mistrzowskim tragizmem młynarki-Siemaszkowej, cudnym, jak malowanie wdziękiem wojewodzianki - Zielińskiej, koturnowym aplombem wojewody-Hierowskiego, wstrząsającą szczerością drwała - Rygiera i t. d. — całym wogóle zespołem tak troskliwie zharmonizowanym, że dźwięczał jak pieśń Maciusiowej li-

gwki — aż publiczność, ni to wojewodziańska, dść nasłuchać się nie mogła onego grania.

W oba wieczory wielka sala teatru miejsiego zapełniona była po drzegi.

Entrepriyza Makuszyńskiego przetrwała nie wiele nad miesiąc. Od zachodu ciągnęła już potężna burza, mająca nam przynieść oswobodzenie. Zanim nowa dyrekcyja zdołała »rozmachać się« na dobre, trzeba było teatr znowu zamknąć i czekać, aż wrócą ci, co w nim władali przed zajęciem Lwowa.

APPELESY I FIDYASZE.

Harda to i twarda nacya — dziatwa applesowa i fidyaszowe potomstwo. Naokół płoną zgłiszczę, walają się trupy, pękają z piekielnym łoskotem szrapnele, a taki p. artysta siedzi zamknięty w swej pracowni. palety lub rylca nie wypuszcza z ręki, jeno — jak za dobrych czasów — wiecznie coś »dłubie«.

Z takimi niema żartu! A jeszcze, jak się zdarzy, że znajdą swego kochanego p. Stanisława, który od tylu a tylu lat wysilał całą troskliwość, by naszej »malaryi« i kunsztom pokrewnym nie zabrakło chleba naszego powszedniego, to i gotowa... wystawa!

W istocie też p. Sokołowski jestto przede wszystkim zasługą, że Lwów nie potrzebował za dni opresyi rosyjskiej wyrzekać się szlachetnych podnieceń, jakie daje kastalska krynica sztuki. W narożnej kamienicy, przy

zbiegu ul. Akademickiej i Chorążczyzny, inne ongi tryskały źródła. Szumiały tam *anno olim* pod godłem Wojciechowskiego usypiające, ociężałe flukty pilznera. Od jesieni zaś r. 1914, w erze abstynenckiej, zapraszano z tego samego lokalu do zaczerpnięcia kryształnego napoju wrażeń estetycznych, co wychodziło z pewnością na większy duszy pożytek.

Nie mogła przygodna wystawa uskarżać się na obojętność miasta. Ciągnęła tu publiczność, bo kogoż nie skusi chęć odświeżenia się kojącym czarem sztuki, — czarem, bez którego kulturalnemu człowiekowi trudniej chyba istnieć. niżli nawet — bez alkoholu.

»Chciałoby się, czytaliśmy w styczniu r. 1915 w jednym z pism lwowskich, uściskać tych wszystkich, których dzieła zdawało się, wołają ku nam na przekór fluktuacyom chwili. że reprezentowane przez sztukę ideały piękna, są czemś niezmiennem, czemś, co ani uszczuplić, ani zachwiać się nie da zmiennej czasów kolei.

»Wystawa jest właściwie miniaturą wystawy, ogromnie sympatycznem — cackiem. Już z wierzchu, od ulicy, chwyta cię; witryny — to istny wabik. Nie wspominając o innych, Wygrzywalskiego bogini w hełmie, nie daje przejść spokojnie z jednej strony, a z drugiej, na poczekaniu więzniesz wśród idyli pejzażowej. Choćby tylko z pod półkopków M. Piotrowskiego nie sposób ci się wyrwać. »Wsi spokojna, wsi wesoła!« zaczynasz powtarzać za Kochanowskim, lub — Bartoszewiczem.

»Już cię wzięło!«.

»Składasz 10-kopiejkowego obola i otwiera ci się sezam. Sama bezpretensjonalność! Ma-lutkie to, ledwie dwa pokoje. Ale sztuce, jak miłości, nie zawsze pożądanym nadmiar prze-strzeni. Chałupeczka niska, tatuś mamę ściska...

»Rozglądasz się. Aż dziw, że jednak tyle tu do widzenia. Niejedno, co prawda, już ci znane, ale sporo też rzeczy zgoła nowych. Niektóre nawet z piętnem aktualności. Wygrzywal-ski — padam do nóg! Błocki — *chapeau bas!* Karpiński — *all right!* Odo Dobrowolski (zwła-szcza w paryskich widoczkach) — *Famos!* Stanisława Rychter Janowska — *evviva!*

»Zapuszczasz się dalej. Czujesz niepokój, bo popadasz z emocyi w emocję. Tu cię chwyci Gawlikowski zamaszystym portretem mężczyzny w uniformie z czasów napoleońskich, tam Ryb-kowski, mistrz drobiazgowej miniatury obraz-kiem z chwili, ówdzie Tondos charakterystycz-nym pejzażem, lub Mikolasch, podpatrujący róż-nego zwierza. coś niby Dygasiński w malarstwie. I znowu w kółko Wygrzywalski, Błocki, Dobro-wolski, aż jak wryty staniesz przed zielonem niebem Buyki i gotówbyś kusić się o rozwiąza-nie zagadki ukrytej w każdej z notatek M. Ol-szewskiego, co do których przeczuwasz, że znawcę muszą co najmniej zająć, jako próby nowego sposobu rozwiązania różnych problemów arty-stycznych.

»Wychodzisz oszołomiony i... odwracasz się. Bo masz wrażenie, że krok w krok za tobą

zdąża eteryczne, ze mgły, pełne uroku widmo
 »Białej pani« Błockiego, królowej »Salonu« —
 i przymykasz oczy, jakby cię ścigało to pełne
 czaru, głębokie spojrzenie, któremu nie mogłeś
 dość napatrzeć się w kobiecym portrecie Wy-
 grzywalskiego«.

.

Tak więc Lwów, któremu tylokrotnie za-
 rzucano brak zainteresowania sztuką, dowiódł
 czegoś wręcz przeciwnego: nie wypuścił jej
 z serca nawet w czasach, gdy byłoby to zupeł-
 nie usprawiedliwione.

ZIMA.

Zima roku 1914—15 okazała się bardzo
 pobłażliwa. Około połowy listopada przybrała
 groźną minę (rtęć w termometrach spadała wtedy
 nagle do minus 12), lecz nie na długo. Było to,
 jakby przestrzedz chciała: »Mieście się na bacz-
 ności; patrzcie, co potrafię!« Szczęściem pozna-
 liśmy się na tem: były to tylko strachy na la-
 chy, przykra, życzliwością wszakże podyktowa-
 na, przestroga surowej malki, by dziatwa spra-
 wowała się grzecznie. Po tygodniu termometr
 poszedł w górę, śnieg na dół — i wszystko było
 dobrze. W ciągu całego grudnia i stycznia nie
 notowano ani razu temperatury niższej, jak 5
 stopni R.

W styczniu dały się we znaki raczej okresy

odwilży. Zdarzyło się nawet sporo dni — deszczowych; lało tak gruntownie, że mógłby chlapy pozazdrościć listopad lub marzec. Wogóle długo nie czuło się prawie zimy — tej zimy, która przecie ma także swoje piękne tradycje i właściwy nie do zastąpienia urok.

Dopiero ostatni dzień stycznia okazał przecie pazurki zimy, obniżył temperaturę do —8 stopni R. Pierwsza połowa lutego była lekka mroźna; w drugiej wracały znowu częste odwilże, za to marzec przez dni dziesięć od 4 począwszy niósł z sobą kawalerski mroźnik, najodpowiedniejszy, by nim pożegnać zimę.

Ilekróć przy łagodnym mrozie śnieżycą roztoczyła dokoła Lwowa pejzaż zimowy, a także w samym mieście białą swą feeryą polectała ośrodek zimowych wspomnień, piękniał gród Lwi pod śnieżnym nasypem. Różniej też niejednemu zrobiło się na duszy, gdy obaczył, że jednak odwieczna kolej rzeczy nie doznała zachwiania na równi ze zmiennymi walorami naszej istności.

Odżyły tory ślizgawkowe i saneczkowe; zabrzęczały łyżwy, zachręściały narty, wyruszyły z lamusów domowych *bobs-leighi*... Brawo! Nie mazgać się, bo z tego nikomu nic nieprzyjdzie; nie tracić humoru i fantazyi, a jeśli do tego jest się jeszcze młodym, to młodości tej nie dać skisnąć! Przystwórz nieba nad sobą, a dołem śnieżne pościelisko lub zwierciadlana szyba lodu — cóż piękniejszego znajdziesz dla młodocianej żwawości w porze, gdy ani łąka

miękkimi trawnikami, ani bór wonnem uroczyskiem nie może jej przyhołubić!

Pozostali wówczas z dawnego obrazu zimy lwowskiej sportowcy. Ubyło wiele innych cech charakterystycznych: przeszedł do legendy krupniczek gorący, gorąca na widelcu; pączki nie rzucały się tak zewsząd w oczy, jak ongi, a jednak więcej było ich, niż ...amatorów; w świątach poranku nie snuły się po ulicy wyfraczone i jedwabiste postacie o pomiętych sukniach i twarzach, bo karnawał runął w przepaść.

- Narciarze i saneczkarze mieli sposobność stwierdzić, że również poza miastem niejedno inny przybrało wygląd, niż choćby przed rokiem. Zwłaszcza Lonszanówka, czyli po polsku... Kajzerwald Ten nieborak przez wiele lat już łyślał, ale trzymał się jakoś, a wówczas ze śniegu wynurzył się ni to rzadziutki kosmyk na głowie starego kawalera, tak go oporządził wandalizm sąsiadów, gromadzących sobie »psim swędem« najtańszy bo całkiem bezpłatny opał.

Mimo wszystko prześliczny był ten zimowy pejzaż Lwowa nawet w owym nieszczęsnym czasie. Łagodna melancholia włóczyła się po białych bezmiarach okolicy, zasiadała w cieniu lasów, pięła się na wzgórza i ciekawie z ich wyżyny patrzyła ku miastu, które wyzbywszy się melancholii, nosa nie spuszczaając na kwintę, pchało z niesłabnącą energią taczkę żywota ciągle naprzód, przez zaspy śniegowe — ku wiośnie.

BOŻE NARODZENIE.

Lwów łamał się opłatkami w r. 1914, ze smutkiem i w przygnębieniu aż nazbyt widocznym. Rosya stała wtedy jeszcze u szczytu powodzenia. Czuło się to na każdym kroku. Gospodarowała we Lwowie ja na własnem śmieciu, pewna, że już nie wypuści z rąk tego »gorodu«, o którym przy każdej sposobności słyssało się z ust Rosyan, że im się »nawierno« bardzo podobał.

Pet. Ag. Tel. raczyła nas wiadomościami, jakby w sam raz obliczonemi na rozwianie do szczytu nadziei skrycie żywionych przez Lwowian. Niedawne wycofanie się wojsk austriackich z Serbii podsycalo przykre uczucia. Z »Piotrogradu« właśnie d. 23. grudnia depeszowano, że gen. Potiorek ma być oddany pod sąd wojenny, że w Wiedniu i Pradze przyszło do wrogich dla rządu demonstracyi, że Austria nosi się z zamiarem zawarcia odrębnego pokoju, itd., wieści, których prawdziwości niepodobna było, rzecz jasna, skontrolować.

Więc smutno było, bardzo smutno.

O jakimś ruchu przedsięwziętym nikomu ani się nie śniło. Wprawdzie »Samopomoc« p. Kazeckiej, urządziwszy Bazar gwiazdkowy, świetnie prosperowała, ale nagromadzone tam artykuły rozkupili dla swych rodzin oficerowie rosyjscy. Wogóle jeśli był ruch w mieście, to podsycaly go żywioły obce.

Lwów modlił się. Nie widziano jeszcze ta-

kiego napływu do wszystkich świątyn lwowskich, jak przed świętami i w czasie samych świąt roku 1914 Setki i tysiące tu szukały pociechy, oddzielone linią bojową od swoich, ugięte pod brzemieniem niepewności

Konfesyonały były obleżone, spowiednicy opadali ze znużenia.

Prezydent Rutowski poczynił starania, by przynajmniej trosk materyalnych na czas świąt oszczędzić mieszkańcom. Kuchnie miejskie zaopatrzyły swą klientelę w zapasy na dwa dni, a w Kole literackiem, urządzono nawet wigilię, przy udziale przeszło 1000 osób. Poza tem, wszyscy, którzy korzystali z dobrodziejstw miejskich kuchni, otrzymali strucle świąteczne, po sztuce na osobę. Zaopatrzono także liczne rzesze bezpłatnie w opał, którym szafował wiceprezydent Stahl. Najbiedniejszych wreszcie obdzielono jeszcze i datkami pieniężnymi.

Biedy więc w czasie Bożego Narodzenia dzięki niezmordowanej i zapobiegliwej opiece prezydium miejskiego, Lwów nie zaznał.

Nakoniec jeszcze jedna reminiscencya.

Drugiego dnia świąt około południa, podczas zmiany straży na odwachu, gromadka chłopaków, zebrawszy się tam, zaśpiewała pełnym głosem kolendę:

Wśród nocnej ciszy
Głos się rozchodzi:
Wstańcie Moskale
Austryak nadchodzi.

Czempředzej się zabierajcie,
Do Rasiei umykajcie,
Do swego cara!

Uszło to urwiszom na sucho. Sałdaci w dobrym humorze odpowiedzieli śmiechem, nie dobywając nahajek, któremi przy innych sposobnościach bez żadnej nieraz przyczyny wywijali tak chętnie.

PRZYJĘCIE NOWOROCZNE U PREZYDENTA MIASTA.

W dniu N. Roku 1915 prezydent Rutowski urządził wielkie przyjęcie.

W smutku powszechnym powitano dzień. Ciężkie chmury słańiały się na widnokręgu wojny, a Lwów jak ołowień przygniotła inwazyja. Nie powiódł się był Rosyanom wprawdzie atak na Kraków, ale w Królestwie Hindenburg przeszedł do obrony, wieści z Karpat brzmiały coraz niepomyślniej i nie bez troski kierowały się spojrzenia Lwowa w stronę Przemyśla osaczonego od szeregu tygodni. Opadały skrzydła optymistycznym nadziejom. Co chwila urywał się jakiś nowy kawał gruntu z pod stóp i waliły się na głowę zdruzgotane krokwie przewidywań.

Dość zresztą było patrzeć na to, co działo się we Lwowie, by człowieka odbiegła otucha. Rosyanie od połowy grudnia urządzali się tu już na stałe. Z ogromną pewnością siebie, do

której poniekąd uprawniała ich sytuacja chwilowa, wprowadzali w życie swój ład, swoje urządzenia, snuli projekty przyszłej konsolidacji. Byli w tym czasie bardzo układowi, bardzo nawet uprzejmi. Może chcieli sobie tem oszczędzić kłopotów, przemienić Lwów na «istинно russki gorod» jak najmniejszym wkładem trudu i siły. Chcieli cel osiągnąć bez teroru bez uciekania się do despotyzmu.

Lwów to odczuwał i tem bardziej miał się na baczności. Widoma jego głowa, (ratusz) nie myślał kapitulować. Nie porywał się nie do nierozważnej walki, która musiałaby doprowadzić do tragedyi, nie bawił się także w żaden walenrodyzm; jawnie, z godnością, statecznie bronił praw królewskiego miasta, ratował jego egzystencję i charakter narodowy.

Więc także przyjęcie noworoczne u prezydenta miasta miało cel nierównie ważniejszy niż zwykłe tego rodzaju zebrania przy biesiadnym stole. Szło przede wszystkim o zachowanie tradycyi, o zaznaczenie, że mimo niedoli ta nie, która nieznaną przyszłość miała połączyć z przeszłością, nie uległa starganiu. Szło dalej o skorzystanie z uroczystej chwili ku pokrzepieniu serc i uspokojeniu umysłów, iżby nie zachwiały się, nie popadły w odmęt zwątpień.

Dzień N. Roku obudził się jasny, słoneczny. Lekki mróz nadawał powietrzu rozkoszną rzeźkość. Mimowoli chciało się w tem widzieć pomyslną wróżbę — zapowiedź jaśniejszej doli.

Od rana przedstawiciele wszystkich warstw

tłumnie spieszyli z życzeniami do obu pałaców arcybiskupich. Około południa cały ruch ten gratulacyjny podążył w stronę ratusza.

Niebawem zapełniły się salony prezydenta. Przybyłych witał dr. Rutowski w towarzystwie obu wiceprezydentów, — wszyscy trzej z odznakami swej godności, herbem miasta na długim łańcuchu. Władze rosyjskie nie były reprezentowane.

Szereg przemówień rozpoczął wiceprezydent dr. Stahl. Jako rzecznik pozostałych na miejscu członków Rady miejskiej oddał hołd zasługom prezydenta Rutowskiego, a przede wszystkim tej jednej wielkiej zasłudze, że pracą swą i podstawą dał przykład męstwa duchowego. Męstwo to — wywodził Stahl — u wszystkich znaleźć powinno odbicie w głębokiej wierze, iż zbliża się nowa dla naszego narodu era.

Ze wzruszeniem ucałował dr. Rutowski mowcę. Zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Wszystkich oczy skierowały się na wyniosłą postać ojca miasta, który zdławionym zrazu głosem, potem z rosnącą energią i właściwym mu zapalem odpowiedział na wystosowane doń słowa.

Była to przedziwna mowa, jedna z najpiękniejszych z pewnością, jakie wyszły z ust Rutowskiego — świetna improwizacya rzucona w wyrazach żarzących się od ognia wewnętrznego a równocześnie pełna głębokich myśli, godnych takiego, jak Rutowski, statysty. Nieodżałowana szkoda, że nie znalazł się na miejscu stenograf, któ-

ryby ją utrwalił. Pisma zaznaczyły treść mowy ledwie kilku wyrazami, przyczem »Słowo Polskie« nie wahało się wykoszlawić jej myśli przewodniej w duchu swej polityki.

Więc rozdzielał Rutowski na wstępie przypisywane jemu zasługi pomiędzy swych kolegów, obu wiceprezydentów. O zasługach zresztą, mówił, nie powinno być właściwie mowy tam, gdzie się spełniło i spełnia to, co wynika z prostej konieczności. A taką koniecznością jest praca, jest nieustawanie w wysiłkach, nie opuszczanie rąk, męskie spoglądanie w oczy rzeczywistości i ufność, że to, na co złożyły się długie wieki dziejów, nie może paść pod ciosem chwili. Więc trwać i wytrwać, a polskość swą nosić jako godło chlubne i godłu temu nie przynieść żadnej skazy, owszem nowego dodać mu blasku w dniach ciężkich — oto obowiązek każdego.

Z zapartym tchem słuchano słów Rutowskiego, ze łzami w oczach... Głębokie wzruszenie opanowało słuchaczy i przez dłuższą chwilę nikt żadnym ruchem, żadnem słowem, nie ważył się zamącić podniosłego nastroju.

Nastąpił potem szereg tradycyjnych przemówień. Przemówił imieniem Koła mieszczan dyr. Bolesław Lewicki, imieniem Towarzystwa strzeleckiego p. Ohly, imieniem uniwersytetu rektor dr. Beck, imieniem nauczycielstwa p. Kwiatkowski, W roli rzecznika Izby adwokackiej wystąpił dr. Łoziński, od Ligi pomocy przemysłowej przyniósł wyrazy czci śp. dr. Ulmer.



Ewakuowani Żydzi z Przemyśla w »Brygidkach«



»Oficerski sklep« przy ul. Karola Ludwika

Jako przedstawiciel Tow. Dziennikarzy złożył prezydentowi hołd wiceprezes, red. Miłski; za zajęcie się dolą artystów sceny miejskiej dziękowała p. Siemaszkowa; w zastępstwie artystów malarzy zabrał głos p. Kaczor-Batowski.

Prezydent dr. Dylewski złożył imieniem Związku rodzicielskiego adres opatrzoney tysiącami podpisów dziatwy z »gniazdek rodzinnych«, a nauczycielstwo dołączyło do życzeń odpowiedni swój adres.

Do najbardziej wzruszających momentów należał hołd złożony przez reprezentantów gminy izraelskiej pod przewodem rabina Braudego, który rozpoczął słowami: »Panie, dziękujemy ci za nasze życie!«

— Dopóki ja tu jestem, rzekł Rutowski, możecie być o nie spokojni!

Wszystkim mowcom odpowiadał prezydent słowami serdecznej podzięk. Gdy przesunął się już szereg deputacyi, — otwarto podwoje wielkiej sali ratuszowej. Oczekiwały tam gości suto zastawione stoły. Zasiadło do nich przeszło 300 osób. W serdecznym nastroju zebranie przeciągnęło się do późnej godziny popołudniowej.

W czasie śniadania zjawili się obaj księża arcybiskupi dr. Bilczewski i dr. Teodorowicz w celu złożenia życzeń.

Jak zaznaczono, władze rosyjskie nie były na przyjęciu reprezentowane i wiadano z góry, że ze sfer tych nikt się nie pojawi. Tem więk-

sze było zdziwienie, gdy właśnie w toku mowy prezydenta zadzwoniły nagle ostrogi i miarowym krokiem, acz z uprzejmym na twarzy uśmiechem, wszedł jakiś pułkownik rosyjski i skłoniwszy się gospodarzowi jakoteż obecnym, stanął obok mowcy. Prezydent prawil rzecz swą dalej, wcale nie krępując się obecnością niespodziewanego gościa, który z wielkiem nabożeństwem, wysłuchawszy przemowy, wymienił ledwie kilka słów z Rutowskim i zaraz potem ulotnił się dyskretnie.

Jak później dowiedziano się, pułkownik ów był komendantem... więzień lwowskich, a przybycie jego miało zgoła niepolityczne cele. Nie wiedząc, że stanie się świadkiem tak uroczystej chwili, przybył w prywatnym interesie, mianowicie z prośbą o udzielenie córce posady w magistracie.

Nawiasem dodać wypada, że ponieważ prośba p. pułkownika poparta była zalecającym biletem gubernatora, uczyniono jej zadość. Panna L. otrzymała natychmiast zajęcie w biurze prezydyalnem i przetrwała w niem aż po koniec kwietnia, kiedy to ulegając »zaproszeniom krewnych« w Kijowie, opuściła swój posterunek, jak chyba przeczuwała, już na zawsze.

Gości opuszczających salony prezydenta uderzyło niespodziewane zjawisko, mgła tak ciężka, że o kilka kroków przed sobą nie można było nic rozpoznać. Ludzie, jak cienie ginęli

w chmurze; znikły kontury kamienic; z trudem wśród nieustannego nawoływania syren, krążyły automobile, kierując się wedle drobnych, kółek świetlnych, któremi latarnie napróżno usiłowwały zaznaczać drogę.

Równie szybko, jak spadła, mgła ustąpiła i ukazały się na niebie roziskrzone gwiazdy pierwszej nocy nowego roku, który przybywał jak zagadka nierozwiązana, mroczna dla jednych, otuchę zapowiadająca innym.

PRZEMYŚL.

Dla Lwowa w czasie inwazyi Przemyśl stał się symbolem krzepiącym, podwaliną nieskruszoną, na której wsparte były nadzieje, że »poptop«
moskiewski, prędzej, czy później cofnie swe rozhukane fale.

Kiedy w początkach września przez Lwów przewalał się tak imponujący carskiej potęgi rozmach, opowiadali, żołnierze rosyjscy, że wedle tego, co im mówią komendanci, Przemyśl nie będzie atakowany. Zostawia go na boku, a pójda — jedni na Węgry, na Budapeszt, inni na Kraków, na »Winę« (Wiedeń). Przemyśl potem sam się podda, zamknięty, jak kura w kojcu.

Komendanci szerzyli takie o dalszych planach kampanii, wieści wśród wojska, gdyż Przemyśl był czemś nakształt smoka wyobraźni prostego żołdata. Nie chciano więc żołnierzy przerażać, choć musiało przecie komendzie rosyjskiej być rzeczą jasną, że bez Przemyśla, posiadanie

Galicyi pozostałoby zawsze czemś problematycznym.

Rozumiano to i u nas i dla tego ciągle kierowały się oczy i myśli w stronę twierdzy, która na swe barki wzięła tak odpowiedzialne zadanie.

Zwątpienie krzewiły w nas — i nie mogło być inaczej — doniesienia o coraz dalszych, a błyskawicznych iście, postępach armii rosyjskiej, ale równoważyła wszystkie hiobowe wieści myśl jedna: Przemyśl się nie podda! Zagrozić będzie nieustannie, ten blok granitowy na drodze rosyjskiej armii postawiony i prędzej czy później potknie się o jego nieugiętość najeźdźca.

Osaczenie Przemyśla przez Rosyan nikogo nie przerażało. Ogromnej zaś otuchy dodał Lwowu sukces, jaki odniosły wojska austriackie w jesieni 1914 roku, skruszywszy od zachodu żelazny pierścień oblężniczy.

Gdy potem pierścień ów znowu się zamknął, przyjęto wiadomość o tem z ubolewaniem, jednak bez obaw o przyszłość Przemyśla. Ogólne było przekonanie, iż w przerwie, dzięki połączeniu z zachodem, twierdza zaopatrzyła się dostаточно w prowianty i amunicję, tem spokojniej więc spoglądać może w przyszłość. O tem, że było wprost przeciwnie, że twierdza musiała właśnie wtedy uszczuplić swe zapasy, przyjąwszy w swe mury ocalałe reszty rozbitych na północy armij, nie wiedziano we Lwowie, a ci, którym to było wiadome, bacznie kryli swe wia-

domości w tajemnicy, by nie odbierać innym otuchy.

O bojach pod Przemyślem krążyły coraz nowe legendy. Chociaż przesada winna była podać w powątpiewanie ich wiarygodność, znajdowały jednakże chętny posłuch. Jak tonący chwyta się ździebełka, chwytało się bajek fantastycznych, byle tylko uratować szczątki nadziei...

Co dni kilka, w grudniu i styczniu rosła ona; słyszało się o niezmiernych klęskach oblężniczej armii rosyjskiej, o brawurowych wycieczkach załogi fortecznej i uwieńczonych świetnem powodzeniem atakach. Raz wzięli Austriacy do niewoli cały korpus rosyjski, innym razem wysadzili w powietrze 70.000 żołnierza rosyjskiego jednym zamachem, potem zaraz kilka pułków oślepił promieniami ultrafioletowymi.

Z mnóstwa opowiadań, jakie wówczas krążyły, jedno dla przykładu. Któryś z fortów przemyskich pewnego razu opustoszał nagle. Wywiady rosyjskie stwierdziły, że nie pozostawiono w nim ani jednego żołnierza. Należało go przeto zagarnąć. Obawiano się jednak po stronie rosyjskiej, czy to nie podstęp. Anuż tam znowu miny czekają nowych ofiar? Aby więc wypróbować teren, popędzono naprzód w stronę fortu stado bydła. Nietknięte popędziło poza warownię, w głębi, teren więc chyba nie był podminowany!

Tymczasem i ta ostrożność zawiodła. Ledwie bowiem wojsko rosyjskie fort zajęło, nastąpił

straszny wybuch. Mina połączona była drutem elektrycznym z sercem twierdzy — i drobna iskierka stamtąd przerzucona spowodowała na Rosyan katastrofę. Bydło zaś zagarnęli Austriacy, bardzo sobie chwając to niespodziane zasilenie swej prowiantury mięsem.

Oto, jakimi pocieszano się bajeczkami. Sam fakt ich krążenia świadczy dowodnie o panującym wówczas we Lwowie nastroju. Łudzono samych siebie, tak gorącą była potrzeba wiary w możliwość oswobodzenia się od nieproszonych gości.

Ostatecznie utrwaliło się przekonanie, że Przemyśl wytrzyma choćby i dwa lata oblężenia, a dopóki on stoi u wyłomu, trwała okupacja Galicyi jest rzeczą niemożliwą. Jakże bowiem choćby pomyśleć o zajęciu kraju na zawsze, mając taką pod bokię groźbę nieustanną?

Aż oto nagle, w pierwszy właśnie dzień wiosny, owa ostatnia nadzieja rozbitków, — nie-skruszona, wedle powszechnej opinii niemożliwa do zdobycia warownia, Przemyśl — kapitułuje!

Istny grom z jasnego nieba, tem zaś straszliwszy, że spadł na Lwów zgoła niespodzianie! Nic nie zapowiadało katastrofy, nic nie słyszano, co mogłoby zachwiać wiarę naszą, w wytrzymałość Przemyśla!

O powzięciu postanowienia kapitulacyi wiedziało już dnia 20-go marca 1914 roku, kilka osób na podstawie całkiem autentycznych informacji. I one jednak niezbyt dowierzały do niesienia, pojawiała się bowiem wersja taka

już kilkakrotnie przedtem, a nigdy nie sprawdziła się przecie. Tym razem, co prawda, doniesienie brzmiało całkiem stanowczo i podawało szczegóły tak dokładne, iż prawie usuwały wszelkie podejrzenie o mistyfikacyi.

W istocie też dnia następnego w południe, był to poniedziałek, — prawdziwie feralny poniedziałek, — otrzymały pisma urzędową depeszę o wielkiem zdarzeniu i w lot całe miasto dowiedziało się, że Przemyśl upadł.

Wrażenie było straszliwe. Ludzie na ulicy wybuchali spazmatycznym płaczem; kroniki zapisały następnego dnia »liczne wypadki wybuchu histeryi«; gorzej jeszcze: jakaś staruszka padła tknięta apopleksyą, ktoś rzucił się z trzeciego piętra na bruk ..

Zwycięscy tryumfowali; urządzono uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Na ulicach zaroiły się świetne mundury, w lokalach oficerskich odbyły się huczne biesiady.

Jak było do przewidzenia, nie uczuwali Rosyanie bólu miasta. Zgnębiony do ostateczności Lwów musiał przystroić się we flagi o barwach rosyjskich, aby nikt nie miał wątpliwości, że to »istinno russki gorod«.

Kiedy w dwa miesiące później nad Przemysłem powionęły znowu flagi Austrii, nie sprawiło to takiego, jak upadek twierdzy, wzruszenia; Lwów był już poinformowany o wielkiej ofensywie; odzyskanie Przemyśla było tylko jedynym i nie najwybitniejszym jej epizodem. Sto-

lica oczekiwała wtedy rzeczy większych a przede wszystkim swego oswobodzenia.

WIELKANOC 1915.

W smutku łamaliśmy się na Boże Narodzenie r. 1914 opłatkiem, w smutku gotowaliśmy się r. 1915 do dzielenia jajkiem wielkanocnem. Kiedy natura drgać już poczęła w pierwszych dreszczach nowej wiosny, kiedy Kościół prowadził nas do *sanctissimum* największej z tajemnic, odsłaniając misteryum zmartwychwstania — Lwów pozostawał pod przygniatającem brzemieniem myśli, że przelewa się dalej i niewiadomo, jak długo jeszcze przelewać się będzie, krew na polach walki. Przerażona słabość natury ludzkiej napróżno usiłowała zapomnieć o tem, co dzieje się naokół. Tam synowie, tam bracia, tam ojcowie rodzin twardy nad wyraz spełniać muszą obowiązek, jakże choć na chwilę rozpłynąć się w zapomnieniu owych okropieństw?

W niejednym też domu na święta szczelniej jeszcze, niż codnia, zamknęło się wejście, aby nikt niepowołany nie wtargnął z uśmiechem na twarzy i banalnemi życzeniami. Dopełniłyby one miary. bólu u ogniska pokrytego żałobą. Cisza, samotność, odcięcie się od ludzi, łzy gorzkie, wylewane wstydliwie w ukryciu — oto, jak upłynęły tym święta, których z pola walki lub z poza żelaznego wału dział i karabinów dobiegła wieść hiobowa, że serce tak ściśle związane ze szczęściem rodziny, już bić przestało.

Ale i tam również, gdzie wgryzała się zębami ostrzejszymi od noża niepewność, święta jej nie spłoszyły i nie wniosły z sobą rozweselenia. Bo w owych dniach uroczystych tem ciężej przygnębiał dusze znak zapytania, na które Bóg wie, kiedy znajdzie się odpowiedź.

Pozostały więc domy »o tyle, o ile« uspokojone co do losu swoich bliskich, porwanych w przepastne wiry wojny, a takich domów było niewiele stosunkowo. Tam tradycyi świątecznej nie przekreślono czarnym krzyżykiem, ale też nie odżyła ona w zwykłym swym blasku. Ludzie nie są jeszcze do tego stopnia egoistami, by całkiem nie odczuwali nieszczęścia innych, zwłaszcza gdy liczba tych innych idzie w tysiące, gdy kraj cały przedstawia się jak jedno wielkie pobojuwisko, a społeczeństwo pozostaje w nieświadomości przyszłych swych losów.

Tu zresztą wchodziły w grę kwestye dalsze jeszcze.

— Zapewne, — zwierzała się pani domu swej przyjaciółce, — czasy są okropne, ale widzisz, mam małe dzieci, jakoś to trudno, zupełnie świąt ich pozbawić. Gdyby nie one, nawet nie pomyślałabym o sprawianiu Wielkiejnocy. Bachorkom należy się odrobina bodaj świątecznego uroku, od tego są dziećmi.

Jeżeli nawet taka pani była dostatecznie zasobna, to jeszcze i wtedy zadrżała nieraz przy zakupach, jakby spojrzała śmierci w oczy (a to tylko cennik jej pokazano!), ostatecznie jednak kobiecym sprytem dała sobie radę. Gorzej tam,

gdzie chuda fara, gdzie kredka nieubłagana wystąpiła z przestrogą, iż jeśli dziś wyda się za wiele, jutro będzie za mało, lub wcale nic nie będzie. Kupić szynkę? »that is the question«... Ba, gdyby na szynce można było poprzestać! Paska upiecze się — bez rodzynek, bo za drogie; ale inne specjały takich »bez« nie znoszą. A podołajże fantazyom o jakimś torciku, o jakichś ciastkach, gdy za cenę cytryny dostać można bochenek chleba; a za pieniądze, za które nabyłoby się funt marmelady, spraw lepiej dziecku letni kapelusz; a migdały kosztują tyle, że wartość funta równa się z ceną pary meszcików.

Tedy zrozpaczona gospodyni dalejże o poradę do Albinowskiej, do Makarewiczowej, do Monatowej — i jak tam na nazwisko autorkom kulinarnych kompendyów. Pozostawała jedynie droga kompromisu: minimum ilościowe i jakościowe; na coś szarpnąć się trzeba, coś trzeba opuścić, ten i ów drogi artykuł zastąpić tańszym surogatem — i tak wykręcić się sianem z beznadziejnego problemu!

Ale istnieli także wybrańcy losu, — na palcach policzyćby ich było można w ówczesnym Lwowie — ludzie szczęśliwi pomimo wojny, która ich prawie nie obchodziła i pomimo drożyzny, mało obchodzącej tego, kto ma pieniądze. Dla nich to stały otworem bogate sklepy, dla nich cukiernie popisywać się mogły swym kunsztem, gdy tyle żywotów zatruwała gorycz rozpaczna... Jeżeli prawdę powiedzieć, to nigdy

może tym benjaminkom fortuny nie zazdrośczoneo mniej, niż wówczas.

Wielki tydzień 1915 pozostanie pamiętną odrębną fizygnomią. Znowu, jak przy każdej solenności, w kościołach natłok; w domach ledwie cień zakrętaniny przedświątecznej. Mniej hałaśliwości wszędzie, a więcej poważnego nastroju; mniej zabiegów o świętowanie, a raz przecie powszechniejsze niż dawniej sposobienie się w duchu do odczucia idei święta, które ma za przedmiot tryumf Ukrzyżowanego i zwycięstwo wiosny-wskrzesicielki.

W sobotnią resurekcyę cały Lwów — zda wało się — spieszył do świątyni, aby zama nifestować swe przywiązanie do wiary ojców, radować się z kościołem katolickim. Tłumy za legły kościół OO. Bernardynów, katedrę ormiań ską, a już do Bazyliki katedralnej przycisnąć się było trudno. Porządek panował wzorowy, lud ze skupieniem korzył głowy, wsłuchany w szepty modlitwy, śpiew kapłanów, bicie dzwo nów. Za baldachimem niesionym przez grono radnych, postępowała Rada m. z prezydentem miasta, z odznakami radzieckimi, Towarzystwo strzeleckie ze sztandarem, dalej cechy i stowa rzyszenia i nieprzejrzany tłum pobożnych. Jakże dziwną nutą brzmiała potężna pieśń »Alleluja« ! Łzy bólu i nadziei mieszały się ze łzami radości, tu i ówdzie nie umiano zapanować nad wzru szeniem i odezwało się głośnie łkanie...

PRIMAVERA.

W tym roku 1915, który pamiętny pozostanie po wszystkie czasy, niepomrotnie długo wlokło się przedwiośnie. Kiedy w innych latach wypatrywaliśmy już ptactwa nadciągającego z wyrajów, tym razem mróz pocisnął nie na żarty i posypały się śniegi. Od 27. lutego do 13. marca, termometr z jednodniową tylko przerwą (2. marca) stale utrzymywał się poniżej zera, a już kończąc swe gościnne występy, w przeddzień odejścia, t. j. 21. marca raz jeszcze popisał się 10-cio stopniowym mrozem. Świętemu Józefowi zaszły »zapary«, iż nie mógł ująć trąbki ku zwołaniu boćków. — Całe ich szczęście, bo musiałyby wyginąć z chłodu i głodu — no, a jak dałby sobie lud radę bez tych ptaszków tak zasłużonych około populacyi, niepodobna sobie wyobrazić. Wobec tego miałoż pomódz pogodne i wcale ciepłe (+ 10 R.) Zwiastowanie? Roziskrzyło się słońce przelotnie tylko, a widząc, że lepiej nie patrzeć na świat, zaraz nazajutrz nasunęło szary chmur baszlik aż po brodę.

W pierwszym tygodniu kwietnia zdawało się, że już - już doczekamy się szczęśliwego przewrotu.

W święta rażniej uderzyły serca: pogoda i ciepło wytworzyły prawdziwie wielkanocny nastrój. Ale to przeszło rychło.

Obecnie znajdujemy się w połowie kwietnia i — szczęśliwie paliliśmy dalej w piecu,

rozpocząwszy ten proceder od października, więc uprawiając go, jak obszył, półosma miesiąca.

Otóż i Primavera! O, jak to poczciwie, że Boticellemu nie kazała Opatrzność żyć w Galicyi w roku 1915, bo nie byłoby Boticellego, a gdyby nawet był, to nie stworzyłby arcydzieła, które w skarbcu sztuki stanowi jedną z najcenniejszych pereł.

Coś tam po gajach i lasach kwitnąć już musiało o tej porze, bo na targu widziałeś niekiedy bukieciki sinych sasanek i białych śnieżyczek, ale Primavera — to nie same tylko kwiatki, to skojarzenie wszystkich ponęt młodej wiosny.

Na gruzach zimy napróżno wyglądaliśmy czarów przedwiośnia. Pojawiła się natomiast cholera, ospa, tyfus brzuszny, tyfus plamisty. Cierpła nam skóra ze strachu, szczepiliśmy się na gwałt krowianką. Tak bodaj na dni kilkanaście myśl zaprzętała nam kwestya przede wszystkim, co też porabia nasza kochana »krowa na ramieniu«, a na fidrygałki wiosenne mało kto zwracał uwagę.

Od krów do innych bestyj — to przeskok chyba najlogiczniejszy w świecie. Kury około Wielkiejnocy były ogromnie dumne, bo pierwszy raz w życiu udało im się znieść jaja wartości 6—10 (czyli wedle kursu: 20—33 h.) kopiejek sztuka.

Koty — widocznie stoicyzm mając już we krwi — odbyły, zdaje się, swój marzec prawidłowo.

Gorzej z psami. Rozmnożone niepomieranie, odkąd nie wieszalo się ich na nikim, — pod wpływem psiej aury, wściekały się na umor. Wykazano, że w ciągu 12 miesięcy roku poprzedniego, nie było we Lwowie tylu wypadków ukąszenia przez psy wściekłe, co na przedwiośniu w r. 1915 w ciągu marca.

W istocie — mając tyle urozmaicenia, do dyabła nam było jeszcze trzeba wiosny!

Stanąwszy wreszcie na gruncie Lwowa, z ciężkiem sercem rozejrzała się po jego rozłogach. Zepsuto wiosnę dawnemi laty. Zastawała parki, plantacye, skwery, godnie przysposobione na jej przyjęcie. A tym razem nie było nic z tego. Mielśmy ważniejsze sprawy na głowie. Dewastacya wtargnęła do parków, wiele ucierpiały także plantacye. Ponieważ jednak życie Lwowa wogóle wracać zdawało się do normy, tedy i w tym kierunku coś miano zrobić. Skończyło się wszakże na zamiarach. Przyszły znane wydarzenia — i znowu skierowały uwagę w inną stronę.

Niedopisawszy pod względem zdobnictwa, primavera zwróciła się ku innym — dodajmy — niezmiernie sympatycznym zadaniom. Zakiełkowała bujniej, niż dotąd, idea działków ogrodowych propagowana niezmordowanie przez ich wytrwałego apostoła horbi kultury u nas, prof. Kubika. I już nietylko sfery robotnicze miały z niej korzystać; także inteligencyi podano sposobność udziału w dobrodziejstwie, jakim jest praca około ziemi. W wielu wypadkach nietyłe

urok idealny, ile korzyści materialne zachęcająco podziały na ludzi nie odczuwających w rozkoszy zetknięcia z naturą, przyzwyczajonych szukać świeżego powietrza — w kawiarni.

Inicjatywę miasta wyprzedziła prywatna. P. Andrzejowski oddając grunta w »Nowym Lwowie«, na Krasuczynie, do czasowego rozdzielienia pomiędzy spragnionych ogródka, piękny uczynił początek. Miasto ofiarowało się z pośrednictwem i pomocą, samo zresztą na ten cel oddając znaczny kompleks gruntów. Udało się słyszeć hasło wykorzystania każdego odłogiem leżącego kawałka ziemi. Oczywiście rozmach był za wielki, by dopisało wykonanie. W każdym razie pozostał on najsympatyczniejszą — pamiątką Primavery r. 1915.

TRAGEDYA LASU.

Chlubiliśmy się naszymi lasami, które jak szmaragdowy wieniec obwiodły kotlinę lwowską. Rozkoszowaliśmy się ich ożywczym chłodem, dywanami kwiatów, co tu rosły, balsamicznem tchnieniem, które, jak z trybularzy, spływało na gród cały od nastania wiosny aż ku jesieni...

Kiedy po wojnie, z lekką już myślą — daj zaś Boże, by to jak najrychlej nastąpiło — wybierzemy się znowu za miasto, niejednemu zapewne serce ściśnie się na widok spustoszenia.... A nie sprawiły go kartacze, ni szrapnele bo w samem pobliżu miasta walk nie było;

dzieło to zupełnie pokojowej »pracy«, widocznie jednak bardzo skrzętnej, bardzo wytrwałej i bardzo — bezwzględnej.

Doznała na sobie jej zaciekłości Lonszańka; z dołu patrząc, wygląda jak szczeka z pół na pół wybitymi zębami. Nie uchroniła się od podobnego losu Pohulanka, przerzedzona jak porost na głowie starego kawalera; nawet w parkach lwowskich, kultywowanych od szeregu lat z niestrudzoną pieczołowitością, poczyniła siekiera szczerby, które długo przypominać nam będą wojnę.

Ale nigdzie chyba rabunkowa gospodarka tłumy nie sprawiła takiego zniszczenia, jak w lesie miejskim, należącym do Zubrzy, a rozciągającym się obok elektrowni miejskiej na Persenkówce.

Jeszcze w lecie, tuż przed wojną, tysiące spacerowiczów ciągnęło tu przez park Żelaznej Wody (»Nowy Lwów«), lub też od rogatki stryjskiej. Bywało w niedzielę istne mrowisko liliputów kręciło się u stóp rozrosłego olbrzymasasu płatało się w jego gęstwinach. Ta siełanka nie rychło już będzie mogła być wznowiona. Olbrzym padł — zamordowany!

Z nastaniem chłódów jesiennych r. 1914 wyruszały znowu rzesze niezliczone i już w świętek, czy piątek — i nie do niego, lecz przeciwko niemu. Wyruszali ludzie uzbrojeni w siekiery, piły, tasaki, porwane z magazynów wojskowych po odejściu Austryaków, nawet w zwykłe siekacze kuchenne. Rzuciło się

to wszystko na las, jak szarańcza na zboże; rzuciło się, jak nieprzyjacielskie zastępy na zdobytą warownię, rąbiąc, piłując, siekąc na oślep, to w prawo i w lewo, niczemu nie pardonując. I aż do wiosny praca wrzała dalej z całym wysileniem, a nie było nikogo, kto zlitowałby się bodaj nad resztkami tak wspaniałego jeszcze niedawno lasu.

Po kilkaset nieraz ludzi zbiegało się tu ze wszystkich zaułków Lwowa, pracując, przyznać trzeba, w pocie czoła! Niejednokrotnie całe rodziny mozoliły się z zapalem godnym sprawy: Ojciec, sam rosły, jak dąb, pilnował dębczaka, baba, często gęsto wspomagana przez kumę, obrębywała gałęzie ściętego drzewa, dziatwa krzątała się pracowicie, ładując chróst w płachty lub też pniak obwiązując sznurami, bo go wywlec przecie jakoś trzeba.

Wzruszający zaprawdę, obraz kooperacji familijnej! Zdarzali się również wygodniejsi goście: bywało, taki pan przychodzi z najmitą bez żadnego narzędzia, tylko z sankami lub ręcznym wózkiem, upatruje sobie drzewo, umawia się z tymi, którzy mają siekiery lub piły, o wyrąbanie — i zapłaciwszy kilkanaście centów za przysługę, oddala się z całą powagą i.... z łupem.

Rzecz jasna, że, o ile dzika ta eksploatacja odbywała się bezładnie, o tyle też same wyrąbywanie bynajmniej nie stało na wysokości techniki lasowej. Jeżeli drzewo musi już być uprzętnięte, to ściąć się je powinno przy ziemi.

Jednak ów sposób nastęczał więcej stosunkowo trudów, zatem, aby ulżyć sobie pracy, walił ten, czy ów wandal siekierą lub ciał piłą na wysokość 1 lub 1 i pół metra nad ziemią, marnując tym sposobem materyał.

I działo się to wszystko bezkarnie Gmina m. Lwowa, właścicielka lasu, ustanowiła przygodnego leśnego, ale jakże on miał zaradzić inwazyi? Nec Hercules contra plures! Gdybyż przynajmniej miało się przeświadczenie, że zagłada lasu jest dziełem nędzy; tymczasem padł on ofiarą głównie łakomstwa drobnych spekulantów. Zrabowane drzewo wypełniało składy różnych »tanich opałów«, dostawało się do sklepików, roznoszone bywało po domach, dawało mordercom lasu nie zaspokojenie potrzeby, lecz zyski, odstręczające od uczciwej pracy.

Powszechnie dawały się słyszeć w czasie inwazyi skargi na brak robotnika. Gdy jednak szło o plondrowanie, to rąk roboczych nie brakło!

Musiała więc owa zagłada lasu pod każdym względem nastrajać niewesoło.

BEZ ALKOHOLU.

»Przeciętnego Lwowianina« żadna z niespodzianek, jakie spadły w chwili przełomowej nie wprowadziła chyba w równe zdumienie, jak usunięcie wszystkiego, co jest alkoholem, w tej czy owej formie.

Po szeregu miesięcy próbnych przekonano się jednak, że nie taki nawet dyabeł straszny, jak go malują.

Wprawdzie ludzie zasobni a przezorni, zaopatrzywszy sobie piwnice, nie potrzebowali wyrzekać się ulubionej podniety w zupełności, jednakowoż było ich tak niewielu, w naszym biednym mieście, że nie wchodzili w rachubę. Ogół musiał poddać się kuracyi wstrzemięźliwości i przebył ją wcale łatwo. A że wyszła mu na pożytek, wątpić nie podobna.

Osobliwy widok przedstawiały dawne szynkownie. Cień śmierci padł na nie. Przeważnie stały zamknięte, z zapasami ukrytymi głęboko w piwnicy, pod pieczęcią. Od czasu do czasu chyba włamywacz zdarłszy pieczęć, porwał zawartość, a wnet potem pojawiały się na ulicach postacie »zawiane«, budząc powszechny podziw, każdy bowiem — wielu nie bez westchnienia zazdrości — pytał, skąd ci ludzie dorwali się napitku?

Zmieniły także swą fizyognomię jadłodajnie. Nie słychać w nich było niecierpliwych domagań się: »Panie starszy, trzy silne z mocną«, albo »Pięć sznitów od góry z delikatnym kołnierzykiem«; napróżno też nastawiałbyś uszu u Żorża: ani śladu pukania szampańskich korków. Elegijny humor domagał się wprawdzie niekiedy w kawiarni do czarnej — koniaku, ale garson wiedział, co to znaczy i rzeczywiście przynosił... szklankę wody!

Badałem jednego ze stałych ongi gości

Najsarka-Bechtlofa. Nawiasem mówiąc, spadł mu brzusek, ale oczy wyczyściły się, głos nabrał dźwięku, w wyszczupłej twarzy zajaśniała energia życiowa. Opowiedział mi przebieg odzwyczajania się od płynu Gambrynusa, którym przez lat szereg »żył«, jak mniemał. Naprzód rzucała nim wściekłość, potem zatonął w rezygnacji, a po niej przyszedł głód: pacjent formalnie »zajadł« swą wściekłość, poczem już delektował się limoniadką, jakby smaczniejszego napoju nie było na świecie.

Nie mając gdzie zalewać robaka, Lwów skupił się w ogniskach rodzinnych i jeśli z powagą i godnością przetrzymał ciężkie terminy, w znacznej części było to zasługą przymusowej wstrzemięźliwości.

Pamiętamy zaś doskonale bezskuteczność wszelkich ongi wysiłków ruchu abstynenckiego. Na eleuteryków patrzano jak na waryatów. Większość ich zresztą była eleuterykami — tylko na pokaz. W skrytości ducha nie gardzili »kropelką« dobrej wódeczki, »lampką« wina, »szklaneczką« (eufemizmy!) piwca.

Nie obwijając w bawełnę, Lwów za swych lepszych czasów pił jak na umor. Duchowieństwo nawoływało z kazalnicy, prasa moralizowała, liczne stowarzyszenia szerzyły z niewyczerpaną energią kult wstrzemięźliwości, a tymczasem w mieście nieustannie rosła liczba szynków, handeków »śniadaniowych« i wszelkiego rodzaju »bajzli«.

Statystycy z kredką w ręku wykazywali,

jak olbrzymie sumy pochłania nieszczęsny nałóg. Widzieliśmy to zresztą na każdym kroku w życiu codziennym. Pospólstwo zalewało się do niepamięci prostą wódką. W sobotę wieczorem kiedy wypłacano zarobki, każdy szynk stawał się widownią orgii. Często-gęsto zostawiał tu robotnik cały swój zarobek tygodniowy, zapominając, że żona i dzieci przymierają głodem. Nielepiej działo się wśród inteligencji. Tu dominował typ »śniadankowicza«, a pod ostrą osłoną nocy płynęły po bombach »B. B.« strugi koniaku i pipermentu w kawiarniach, których liczba przeważna stąd główne ciągnęła zyski.

Zbierały się raz, drugi i dziesiąty ankiety dla obmyślenia sposobów, nie całkowitego już złamania potęgi alkoholu, lecz przynajmniej jej ukrócenia. Ale skończyło się na łamaniu sobie głów nad tym problemem — no, i pokazało się, że... niema rady!

Potrzeba było dopiero inwazyi, aby pouczyć, że jednak była rada — i nawet bardzo prosta: jednym zamachem odciąć poły!

ZDROWIE MIASTA.

Nie bez zdumienia czytaliśmy ciągle w komunikatach fizykatu miejskiego stereotypową już niemal uwagę, że miasto nasze pod względem zdrowia ma się — ni uroku! — dobrze, pomimo, że stan wojenny wywołał stosunki pod względem sanitarnym bardzo nieko-

rzystne. Tak n. p. opieka lekarska została zredukowana do minimum. Z całej ogromnej falangi lekarzy, jaką mieliśmy do rozporządzenia, pozostała zaledwie znikoma część. Jedni pospieszyli z armią w pole, inni, porwani powszechną paniką, wywędrowali. Co do pozostałych, to ich również chwyciła w swe tryby machina krwawego bożka wojny; prawie wszyscy zabsorbowani zostali w większej lub mniejszej mierze przez szpitale i lazarety, tak, iż tylko okruszki swego czasu poświęcić mogli praktyce prywatnej.

Ale — co bardzo osobliwa — z ową praktyką stały się również rzeczy bardzo dziwne: zapotrzebowanie jej ogromnie zmalało, spadło do minimum.

Odgadnąć nietrudno, dlaczego. Rozstrzygającą w tym kierunku rolę odegrało fatalne położenie finansowe bardzo wielu rodzin. Dawniej wzywało się lekarza dla byle drobnostki. Obecnie czyniło to się tylko po dojrzałej rozwadze, gdyż pacjent lub jego rodzina musiała dobrze obliczyć się, czy stać ją na zapłacenie honorarium za wizytę i na koszt apteki.

Nie bez wpływu pozostał również nastrój psychiczny. Wobec straszliwej tragedii, jaką przeżywa ludzkość, cierpienia, któremi kłopotano się dawniej i niepokojono, nie działały już do tego stopnia przerażająco. Truchlała nieraz matka, gdy dziecko dostało zapalenia gardła; wówczas zaś w podobnym wypadku przychodziło jej na myśl, co za męczarnie przeżywa

gdzieś w polu — jeśli żyw jeszcze — jej mąż, czy brat, czy swat. Zestawienie takie łagodziło obawę o dziecko; matka przypominała sobie, że bachorek nie po raz pierwszy zapada w podobny sposób, że muszą być gdzieś recepty z czasu poprzednich zachorowań i wskazówki lekarza, co do całego traktowania. Dało się więc malcowi kompres z kwaśnej wody na szyję, odnawiało się starą receptę i bez lekarza osiągało się najczęściej ten sam rezultat, jaki wynikłby w razie zawezwania eskulapa. Niezawsze byłaby to właściwa metoda; kryją się w niej niewątpliwie pewne niebezpieczeństwa. Przy iluż bowiem cierpieniach tylko szybka fachowa pomoc przynieść może ocalenie. Ale też w wypadkach poważniejszych nikt przecie tak szalony nie był, by ordynować na własną rękę, według starych recept. W takich wypadkach wzywało się lekarzy mimo ciężkich czasów.

Owa, nazwaćby ją można słusznie tem mianem, determinacya, miała jednak i dobre strony. Ona to ustrzegła nas od popłochu nawet w chwili naprawdę groźnej, kiedy to w mury miasta zawleczono cholerę. W spokojnych czasach myśl o niebezpieczeństwie byłaby niezawodnie nie dawała ludziom spać po nocach — tym razem natrafiła na zupełny spokój i to właśnie w znacznej mierze dopomogło do stłumienia zarazy. Dla nowoczesnej zresztą medycyny pokonywanie tak okrutnych wrogów zdrowia i życia nie przedstawia przy dobrze

zorganizowanej służbie sanitarnej żadnych trudności; energicznie więc zabrawszy się do stłumienia epidemii w zarodku, osaczono ją skutecznie i niedozwolono pladze rozleść się po całym mieście. Mielśmy w czasie inwazyi ogółem około 120 wypadków cholery, z tego zaś zaledwie kilkanaście wśród publiczności cywilnej.

Ze tak szczęśliwy obrót wzięła sprawa, zasługa to również innych okoliczności. Jeśli uwzględni się, jak bardzo usposabia alkoholizm do wszelkich wogóle zakażeń, a w szczególności do nabycia cholery, to radować się tylko należało z zakazu, który jednym zamachem pozbawił nas wszystkiego, co jest spirytusem. Mógł także głód zwiększyć niebezpieczeństwo; na szczęście jednakże głodowi zapobiegł zarząd miasta należycie zorganizowaną aprowizacją, a więc i tego sprzymierzeńca cholery nie dopuszczono do wystąpienia.

Ale przestrzegali lekarze przed optymizmem; przestrzegali, że gdy przez Lwów znowu przeciągać zaczną znaczne masy wojska, nie tylko cholera, także inne zakaźne choroby dostaną się do nas i pokonanie ich nie będzie już tak łatwe.

Że bezpodstawne nie były te złowróźbne przepowiednie, mieliśmy sposobność przekonać się już w ciągu lata r. 1915.

MONETA.

Nie mieć pieniędzy, to powiesić się raczej, ale w czasach wojennych, nawet pieniądze mając, ma się kłopot.

Do początku września 1914 r. procedura z monetą była o tyle ułatwiona, iż oczywiście w obiegu znajdowała się moneta jednej tylko waluty, koronowej. Pod koniec wszakże doskwierać zaczynał już i wtedy brak drobnych. Zwłaszcza po każdym przemarszu znacznie-szych oddziałów zbrojnych zwiększał się brak monety zdawkowej.

Po zajęciu Lwowa przez armię rosyjską, dostały się w obieg pieniądze waluty obowiązującej w Rosyi, ruble i kopiejki. Odtąd gospodarowały u nas obok siebie dwa różne typy monety: austriacka z małą jednostką — koroną, mniej więcej odpowiadającą frankowi i marce, jakoteż rosyjska, z jednostką znacznie większą — rublem, równającym się na światowym rynku pieniężnym przed wojną z mniej więcej półtrzecia koronami.

Stosunek obu walut władze rosyjskie ustaliły w ten sposób, że wartość jednej korony równała się 30 kopiejkom, wartość zaś rubla ustanowiono na 3 kor. 33 hal.

Pomimo wszystkie zagrożenia i wymierzane dotkliwe kary nie zdołano konsekwentnie przeprowadzić postanowień co do wartości rubla; wartość jego rzeczywista nie mogła się wznieść ponad 2 kor. 50 hal. Natomiast, ilekroć

nadeszła pomyślna dla Austrii wiadomość, kurs rubla spadał gwałtownie. Tak n. p. po zajęciu Stanisławowa przez wojska austro-węgierskie dnia 1 marca 1915, przyjmowano ruble po 2 kor. 20 h., a nawet po cenie niższej.

Rozliczenie się przy wypłatach z pozoru — łatwe, jednak dla głów mniej rozgarniętych rachunkowo, sprawiało pewne trudności, trzeba bowiem było operować ciągle poprawkami.

Tak n. p. 1 kopiejka miała wartość 3 h., ale już dwie kopiejki czyniły 5 h., co 7 h., nie 6. W dalszym ciągu 4 kop. równają się nie dwukrotnej wartości 2 kop. tj. 14 h., lecz warte są tylko 13 h. Natomiast 5 kop. tworzy zupełnie prawidłowo wynik dodania wartości 1 kopiejki (3 halerzy), do dwu kopiejek ($2 \times 7 = 14$ h.), a więc 17 h. Gdybyśmy 20 kopiejek rozmieniali w ten sposób, iż każda osobno poszłaby na wymianę na odpowiednią ilość halerzy, to manipulacja owa przyniosłaby nam 7 h. straty. W danym bowiem razie otrzymalibyśmy $20 \times 3 = 60$ h., gdy rzeczywista wartość 20 kopiejek jest 67 h.

Różnica owa rosła w miarę coraz wyższej kwoty, skutkiem przybywających ciągle ułamków tak, że przy rublu dochodziła już do 33 h., t. j. 10 kop. Wobec zawiłości przy takim transponowaniu każdy niemal, ilekroć wypadło mu przemieniać waluty, posługiwał się kluczem, jakich aż kilka wydano.

Kwestya drobnej monety nie zeszła z porządku także po wprowadzeniu pieniędzy ro-

syjskich. Bywały pod tym względem okresy przypływu i odpływu, nieraz bardzo dotkliwego. Bywało i tak, że drobna moneta prawie znikiała. Kto chciał co nabyć, musiał kupić towaru za wartość całego banknota, lub zostawiał banknot u kupca i kolejno dobierał towarów aż do wysokości kwoty, na jaką banknot opiewał. W takich okresach, na szczęście krótkotrwałych, było prawie uderzającym zjawiskiem że wszyscy kazali płacić sobie drobnymi, więc gromadzić się musiało w sklepach poddostatkiem monety zdawkowej, a wydawać jej nie chciano nikomu.

Dla ulżenia publiczności i pod tym względem wypuściło miasto za zgodą władz w październiku bony jednokoronowe. Przybyła więc trzecia kategoria monety: asygnaty miejskie. Bony znalazły doskonałe przyjęcie, okazały się skutecznym środkiem udogodnienia i — co chyba dość charakterystyczne — nierównie chętniej były widziane, aniżeli 2-koronowe banknoty austriackie, których, niewiadomo, dla czego, nikt przyjmować nie chciał.

Nakoniec w lutym 1915 r. przybył jeszcze jeden walor pieniężny: asygnaty miejskie na 100 koron, które mi urzędnikom państwowym wypłacono zaliczkę na płace. Papier ten był poważny, dużych rozmiarów — mógłby i za tysiączkę śmiało służyć. Asygnaty stały się artykułem handlu pieniężnego. Nominalnej ich wartości nie uznawano w kołach handlowych za wygórowaną. Przy zakupnach bowiem nikomu

nie czyniło się trudności, gdy należytość pokrył asygnatą. Chcąc jednak rozmieniać asygnatę na pieniądze austriackie, tracił sprzedawca 2 do 3 kor. Przy pierwszym rozdawnictwie asygnat spekulanci ofiarowali za nie po 33—35 rs. Przy drugim wartość asygnat podskoczyła widocznie w ich opinii, gdyż dawano już po 35 do 39, tu i ówdzie nawet 40 rs.

Sukces jednokoronowych bonów i 100-koronowych asygnat miejskich świadczył dowodnie, że sfery finansowe żywiły do kredytowej zdolności m. Lwowa pełne zaufanie.

»DOZWOLONO CENZUROJU«.

Pisma polskie miały istny krzyż pański z cenzurą. Do jej przeprowadzenia powołany został zrazu prof. Świstun. Po kilku jednak już dniach ustąpił. Miejsce jego zajął suplent gimnazjalny Zawadowski, jeden z menerów moskalofilstwa galicyjskiego, a filar »Priкарpackiej Rusi«. Oficjalnie wszakże cenzorem był por. Bentkowski, Polak do tego stopnia zmoskwiczony, że wolał mówić po rosyjsku niż po polsku. Za jego to mundur krył się chytry, zawiścią do wszystkiego co polskie, przejęty Zawadowski, instygator nieustannych szykan, w oczy jednak umywający ręce, grający rolę niewinnego baranka.

Kreślił więc na prawo i lewo, w piśmie porannem wykreślał to, co ono przedrukowało z pisma popołudniowego, w piśmie popołudniowym zaś to, co było przedrukowane z poran-

nego, tak, że z dziennikarzy nikt nigdy nie wiedział, co Iwan Iwanowicz Zawadowskij raczy przepuścić, a co wykreśli. Dokładnie p. Zawadowskiego i jego uczucia jako poddanego austriackiego ilustruje fakt następujący: Rodzony brat cenzora walczył w szeregach wojska austriackiego i za dzielne zachowanie się w obliczu nieprzyjaciela otrzymał medal waleczności. P. Zawadowski, dowiedziawszy się o tem, wobec wszystkich dziennikarzy, przychodzących do niego, wyrażał swój głęboki żal z powodu, że brat jego otrzymał odznaczenie.

»D. 3. września 1914, opowiada jeden z redaktorów lwowskich, którzy pozostali na miejscu, w dniu wkroczenia Rosyan, pisma lwowskie wyszły bez cenzury. W dniach 4, 5, 6 i 7 września cenzurował je prezydent Rutowski. Dnia 5. września wszystkie redakcye lwowskie otrzymały od prezydenta Rutowskiego zawiadomienie, aby ich reprezentanci przybyli do ratusza o godzinie 9. wieczorem, gdyż wojenny gubernator Szeremetiew pragnie z nimi się zapoznać i rozmówić. Stawiono się też punktualnie o 9-tej, ale minęło półtora godziny, a gubernatora nie było. Prezydent Rutowski pocieszał czekających, że Szeremetiew wkrótce nadejdzie. Wreszcie o godzinie 11-tej wszedł do pokoju, w którym dziennikarze czekali, zastępca chwilowy Szeremetiewa, podpułkownik Fatianow w towarzystwie jakiegoś kapitana, a zapytawszy się, jakie pisma są reprezentowane, wygłosił dłuższą mowę po rosyjsku, której naturalnie słuchano jak turec-

kiego kazania. Dopiero redaktor »Słowa polskiego« Wasilewski umiejąc po rosyjsku, objaśnił zebranych, czego sobie p. Fatianow życzył. Owóż powiedział, że pisma polskie dzięki wielkiej łaskawości Rosyi mogą nadal wychodzić, ale muszą ściśle stosować się do przepisów cenzury; nie wolno im umieszczać żadnych artykułów o ruchach wojsk i przebiegu wojny, z wyjątkiem tych, które dostaną ze źródła urzędowego, tj. ze sztabu lub cenzury i każdy redaktor, któryby ośmielił się wykroczyć przeciw tym zarządzeniom, będzie skazany na wysokie kary pieniężne lub zesłany na Sybir. Wypowiedziawszy to wszystko, Fatianow oświadczył wreszcie, że następnego dnia zawiadomi redakcyę, gdzie będzie urzędowała cenzura i pożegnał się z dziennikarzami.

Na ósmego września 1914 r. wszystkie redakcyę dostały wezwanie, aby ich reprezentanci jawili się o godzinie 4-ej popołudniu w gmachu Banku austro-węgierskiego, gdzie Fatianow zarekwirował dla siebie mieszkanie prywatne dyr. Unionbanku, p. Witza. O oznaczonej porze Fatianow, zajęty wydawaniem przepustek dla tych poddanych rosyjskich, którzy mieszkali we Lwowie, a obecnie chcieli powrócić do swych miejsc rodzinnych, nie miał czasu dla dziennikarzy. Oczekiwano go znów przeszło godzinę, a widząc, że Fatianow dalej urzęduje, nie troszcząc się wezwanymi, posłali zebrani bilety wizytowe. Wówczas poleciał im, aby udali się na 2-gie piętro do jego mieszkania prywatnego.

Czekano długo, bo dopiero po godzinie 6-tej p. Fatianow raczył przybyć. Lecz i wówczas zaraz nie rozpoczął rozmawiać z nami, gdyż czekały na niego jeszcze inne osoby, z którymi pilne widocznie sprawy miał do załatwienia.

Wreszcie przyszedł. Dziennikarze zgromadzili się wszyscy w salonie, koło stojącego pod oknem fortepianu.

Fatianow zapytał każdego z obecnych, jaką redakcyę reprezentuje.

Następnie postąpił naprzód i zwrócił się do redaktora Wasilewskiego. Rosya, mówił przy tem, jest potężna i nie wiele ją to obchodzi, co o niej kto pisze, ale ona umie ocenić tego, kto do niej przychylnie się odnosi

Z kolei zwrócił się Fatianow do przedstawicieli innych pism. Wyszedł do drugiego pokoju, aby sprowadzić prof. Świstuna, z którym dopiero udało się przeprowadzić rzeczową konferencyę. Dłaczego prof. Świstuna do 24-ech godzin usunięto, pozostało dotąd nierozwiązaną zagadką.

Cenzura rosyjska starała się nawet technicznie utrudniać wydawanie dzienników. Cenzor cenzurował wprawdzie pisma, ale nie wydawał ich póty, póki każdej odbitki szczotkowej nie podpisał sam Fatianow. Na to zaś trzeba było nieraz czekać godzinami, więc nigdy niewiadomo było, kiedy numer opuści prasę.

Z powodu tych itp. szykan przychodziło czasami do starć pomiędzy cenzurą i prasą, a przyznać trzeba, że wydawnictwa nie wahały

się narażać swej egzystencji, byle tylko godność narodowa była salwowana.

Jeden zwłaszcza konflikt zarysował się niezwykle groźnie.

»Birż. Wiedom.« pozwoliły były sobie na spotwarzenie legionów. Oczywiście »Priкарпакaja Ruś« nie miała nic lepszego do roboty, jak natychmiast przedrukować ów złośliwy pamflet, w którym próżno by szukać słowa prawdy. Jakkolwiek, a może dlatego właśnie, że artykuł petersburskiej gazety groszowej w wysokim stopniu obraził polskie poczucie narodowe, cenzor Bentkowski rozesłał polecenie pismom naszym, by go przetłumaczyły i umieściły.

Tego było za wiele nawet Wasilewskiemu. Kiedy więc pisma postanowiły zademonstrować przeciw żądaniu, stanął na czele owej delegacji i jako znawca języka rosyjskiego wytłumaczył cenzorowi sprawę.

»Przedewszystkiem, powiedział, nie zwykliśmy odbierać poleceń przez usta służby. Jeśli panowie macie nam co do polecenia, prosimy o pismo, z odpowiednią wiadomością. Innych poleceń uwzględniać nie będziemy. Powtóre wypraszamy sobie, by nam dyktowano, co mamy umieszczać; od tego jesteśmy redaktorami, aby podawać do wiadomości, co nam wyda się odpowiednie. Niezrozumiałą wreszcie jest dla nas rzeczą, jak może władza rosyjska udzielać tak żarliwej protekcji nędznym elokubracjom tarnowskiego żydka, który stoi na czele redakcyi



Pożar dworca we Lwowie



Archiwum Rady szkolnej w Namiestnictwie

»Birż. Wiedomosti«. A więc to ma być torowanie drogi porozumieniu polsko-rosyjskiemu?

»Do umieszczenia haniebnej potwarzy, przedrukowanej przez »Pri Carp. Ruś«, kończył Wasilewski, żadna siła nas nie zmusi. Gotowi jesteśmy raczej zawiesić wydawnictwa — zasiądzcie panowie przy naszych biurkach i redagujcie po swojemu!«

To w energicznym tonie wypowiedziane oświadczenie odniosło skutek. P. Bentkowski zmiękł, wobec czego p. Zawadowski, z pewnością inicjator niefortunnego konceptu, zadowolili się musiał obrzuceniem dziennikarzy zjadliwymi spojrzeniami, w których odmalowała się cała bezsilna złość tego nieprzejednanego Polakożercy.«

Mimo jednak surowości, z jaką wykonywano cenzurę, bywały jednakże wypadki, że tu lub ówdzie przemycono coś, co potem cały Lwów czytał ze zdumieniem, zachodząc w głowę, jak mogła rzecz podobna przejść przez alembik biura prasowego. Między innemi udało się to »Śmigusowi«, który w numerze wielkanocnym (z d. 1. kwietnia 1915) pomieścił bajeczkę o głupim Maciusiu, drastycznie ilustrującą coraz silniejsze w miarę sukcesów wojennych okrawywanie obietnic Rosyi wobec Polaków. Wprawdzie cenzor wyprawił potem redakcyi piekielną awanturę o podejsicie i wygrażał się zesłaniem winowajców na Sybir — Lwów miał jednak to zadowolenie, że »oswobodzicielom« rzucono prawdę w oczy. Do zsyłki autora i redaktora jakoś nie doszło.

Inkryminowany artykuł opiewał:

Z GADEK O MĄDRYM MACIUSIU.

(*Bajka wielkanocna*).

Mądry Maciuś miał brata, który był wielkim bogaczem i bardzo bali się go ludzie. Ten brat powiada mu przed świętami.

— Wiesz, co? Masz się cudzym wysługiwać, przyjdź do mnie. Dobrze cię nagrodzę: dostaniesz złotego dudka na kościele.

Mądry Maciuś miał dawno tym dudkiem nabita głowę, tedy poszedł i mordował ci się, że mało go krwawa jucha nie zalała.

A ów bogaty brat poklepywał go ciągle po ramieniu, zachęcając:

— Tegoż spodziewałem się po tobie. Przecie my bracia.

W poniedziałek po niedzieli palmowej powiada ci mu:

— Ino tak dalej, a dostaniesz dudka na kościele.

A w wielką środę:

— Dostaniesz dudka.

A jak mądry Maciuś skończył robotę i ludzie zaczęli zbierać się na rezurekcyę, to ten bogaty brat powiada mu:

— Figę dostaniesz! Bądź szczęśliwy, że możesz ledz u mnie w czeladnej izbie i patrzeć, jak ja se świętować będę!

I tyło!

»SCRIPTA MANENT«.

Odezwy, rozporządzenia w czasach burzy dziejowej, to jakby ślady stóp na drogach, któremi przeszła historia. A przewaliło się przez Lwów w czasie inwazyi podostatkiem zdarzeń—takich, które obchodziły go bezpośrednio, jakoteż innych zalatujących w mury królewskiego grodu jedynie echem, ale echem głośnem, aż drżały bruki i brzęczały szyby w oknach.,.

Przeważna część tego wszystkiego pozosta-wiła ślad swój w odezwach i rozporządzeniach. Skrzętnie gromadzili je różni zbieracze, wyczuwając doniosłość tych dokumentów i bez trudu można teraz dokonać przeglądu owych plonów.

Rozpocznijmy od niezapomnianej odezwy, wydanej d. 31. sierpnia 1914 rano przez obejmujące zarząd miasta prezydium Rutowski-Stahl-Schleicher. Zawiera ona lakoniczne zarządzenia co do utrzymania spokoju i ładu w mieście, a kończy się wyrazami, które dotąd zdają się dźwięczeć w uszach nam, przez czas inwazyi pozostałym we Lwowie: »Żadnych prowokacyi! — Na Boga, Spokój, ład, porządek«. Trzeba było być w chwili, gdy ukazała się owa odezwa, by zrozumieć, jak krzepiąco podziałała na umysły.

Tegoż dnia wydano drugą jeszcze z ustanowieniem straży obywatelskiej i składu jej komendy.

W nocy d. 2. września wydano odezwę, zapowiadającą wkroczenie wojsk rosyjskich do

Lwowa. Znowu rozbrzmiewa w niej ton męski, pełen godności, zrezygnowany, ale daleki przygnębieniu. »W takiej chwili — nawiązuje prezydium — wzywamy całą ludność miasta, aby — przez Boga! — zachowała godność, spokój, wystrzegała się popłochu, wybryków nierozważnych, czy złych żywiołów i wszelkiej prowokacji. Miasto otwarte, więc nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Cała poważna ludność oczekuje wypadków ze spokojem«.

Następna odezwa z d. 3. września 1914 nakreślona jest już jako rozkaz i ma podpis »komendanta 42 dywizji piechoty, generał-porucznika von Rode«. Datowana z »rogatki Łyczakowskiej«, wzywa ludność, by »wszelką w jej posiadaniu będącą broń (sieczną czy palną)« złożyła do następnego dnia w ratuszu.

Pierwsza odezwa w języku rosyjskim pojawiła się d. 4. września (23. sierpnia st. st.). Wydał ją gubernator wojskowy, pułkownik Sergiusz Cheremetieff (Szeremetiew na swych odezwach używał stale tej francuskiej transkrypcji swego nazwiska). Obok tekstu rosyjskiego podano polski, dość niefortunny, wskazujący, że tłumacz niezbyt pewnym czuł się na gruncie polszczyzny. Odezwa wyrażała życzenie, by mieszkańcy zachowali podczas wkroczenia armii rosyjskiej spokój, ustanawiała kurs korony na 30 kop., zakazywała sprzedaży napojów wysokich; oznajmiała, że gubernator każdego czasu przyjmować będzie w ratuszu w departamen-

cie prezydenta zgłaszających się z jakimkolwiek życzeniem.

Tegoż d. (4. września) podano do wiadomości Lwowian komunikat głównego zarządu sztabu generalnego następującej osnowy:

»Wódz naczelny rozkazał powiadomić całą armię czynną i ludność, że Rosya wojuje na skutek wyzwania wspólnego wroga całej Słowiańszczyzny. Polacy, zarówno na terytorium rosyjskiem, jak i w granicach Niemiec i Austro-Węgier, którzy udowodnią swoją lojalność, będą się znajdowali pod specjalną opieką naszej armii i rządu w sensie zapewnienia bezpieczeństwa życia i mienia od wszelkich gwałtów.

»Wszelkie pogwałcenie osobistych i majątkowych praw Polaków, nieprzeknanych o wroguie względem Rosyi działanie, będą karane z całą surowością praw czasu wojennego«.

Dla uspokojenia Lwowa wydał Szeremetiew równocześnie rozkaz tej treści, że »każdy, co (sic!) wykroczy przeciw prawu, a zwłaszcza rabuje i kradnie, będzie karany wedle prawa wojennego«.

Znany manifest W. ks. Mikołajewicza do Polaków, ukazał się z rozkazu władz w pismach lwowskich dnia 15. września, manifest zaś tegoż naczelnego wodza, do ludów Austro-Węgier został w podobny sposób podany u nas do publicznej wiadomości dnia 25. września 1914.

Wśród tego pojawiały się coraz nowe zarządzenia Szeremetiewa, mianowicie co do rekwizycyi, ochrony linii telefonu i telegrafu po-

lowego w obrębie miasta, co do kompetencji sądu wojennego.

Podpis gradonaczelnika gen. maj. Eichego po raz pierwszy czytano na komunikacie z dnia 23. września 1914, obwieszczającym, że »ogólne zebrania wszelkiego rodzaju Towarzystw i Związków mają być zwoływane tylko na zasadzie każdorazowo otrzymanego zezwolenia«.

Plakatami ogłoszono mowę generał-gubernatora Galicyi, hr. Bobrńskiego z d. 10. września, wygłoszoną przy przyjęciu polskiej deputacji — mowę, która gruntownie rozwiewała illuzye, jakie tu i ówdzie naiwność wysnuła sobie ze słów manifestu naczelnego wodza.

Zainaugurowana w ten niefortunny sposób era hr. Bobrńskiego zaznaczyła się szeregiem administracyjnych zarządzeń, coraz bardziej ścieśniających prawa obywatelskie. »Postanowienia obowiązujące z dnia 19. września« rozszerzyły w dotkliwy sposób prawa cenzury, nazajutrz zaś ukazały się »Postanowienia obowiązujące«, mocą których zabraniano funkcjonowania wszelkich towarzystw, związków, klubów.

Równocześnie hulać począł gradonaczelnik Eiche. D. 20. września po znanej »strzelaninie«, która nie była niczem innem, jak pogromem z góry ułożonym, insynuowanym zaś z całą perfidyą spokojnej ludności lwowskiej — wydał p Eiche »Rozkaz« jakby dla ironii, grożący surowemi karami na wypadek »powtórzenia się jakichkolwiek bądź nieporządków«...

D. 24. września w uzupełnieniu tego roz-

kazu ogłoszono wynik szczegółowego śledztwa, iż z domów nr. 9. 11 i 11a na (sic) ulicy Wałowej w mieście Lwowie strzelano, wobec czego »Wojenny generał gubernator Galicyi rozkazał te domy skonfiskować. Zbyteczna przypominać, że upatrzone najpiękniejsze nowe domy i bez ceremonii, wyssawszy sobie z palca pretekst, postanowiono je zagrabić — metoda dziwnie dostosowana do owej gwarancyi mienia, jaką pompatycznie uraczono nas przy wkroczeniu.

Pomijamy rozmaite mniejszej wagi odezwy. Jedna wszakże zasłużyła sobie na trwalszą pamięć, ta mianowicie, w której d. 20. października 1914 hr. Bobriński zaprzeczył rozgłaszanym w Galicyi przez Austryaków pogłoskom, jakoby naczelny wódz cofnął przyrzeczenie wyrażone w odezwie do Polaków.

Pułkownik Skałłon, jako następca Eichego na stanowisku gradonaczelnika figuruje swym podpisem na licznych odezwach od 13. listopada 1914. począwszy. Rozporządzenia wydane przezeń odnoszą się głównie do spraw przemysłowych i handlowych.

D. 17. grudnia okazało się obwieszczenie hr. Bobrińskiego co do warunków, pod jakimi prywatne zakłady naukowe mogą napowrót rozpocząć swe czynności.

Jednym z tych warunków było wprowadzenie języka rosyjskiego jako obowiązkowego przedmiotu, z poświęceniem mu co najmniej 5 godzin nauki w tygodniu.

»Postanowieniem obowiązującym« z d. 16. grudnia 1914 zakazał generał gubernator wdawania się w rozmowy z jeńcami i rozszerzania nieprawdziwych wieści, o czynnościach wojsk, rządowych władz i osób.

»Postanowienie« z d. 11. marca unormowało funkcyje władz sądowych, wprowadzając zarazem do nich język rosyjski jako urzędowy, z dopuszczeniem jednak »tymczasowo« używania »także języka polskiego«.

D. 22. kwietnia zawiadomiony został Lwów przez hr. Bobrińskiego o mającej nastąpić wizycie cara, a dnia następnego ogłosił wyrazy zadowolenia i podziękowania monarchy »za porządek w mieście, który był podtrzymywany przez samych mieszkańców miasta«.

Zdenerwowanie, jakie wywołały już w maju postępy ofensywy austriacko-niemieckiej, odbiło się także w dziedzinie obwieszczeń.

»Postanowienie obowiązujące« z 30. maja grozi ciężkimi karami wójtom gmin, w których kryją się szpiegowie, dezterterzy i t. d.

Dnia 2. czerwca wydał hr. Bobriński ogłoszenie w sprawie ewakuacyi ludności męskiej w wieku popisowym. Tekst był ułożony podstępnie tak, że nikt nie wiedział na pewne, czy to propozycye, czy też — jak np. twierdziło »Słowo Polskie« — rozkaz, któremu bezwarunkowo należy się posłuszeństwo.

Było to ostatnie rosyjskie ogłoszenie na murach miasta Lwowa. W niespełna trzy tygodnie później nie pozostało ani śladu z organów wyda-

jących te rozporządzenia i ich postanowień obowiązujących».

BAJKA.

Bajka idzie krok w krok za wojną. Tak bywało zawsze i chyba nigdy nie będzie inaczej. Zjawisko to tłumaczy nam doskonale psychologia czasów wojennych. Wszystkie siły ludności dochodzą wtedy do najwyższego stopnia napięcia. Powszechnie podniecenie przybiera objawy masowej jakiejś newrozy. Świadczy ona o zaburzeniu równowagi w umysłach. Gdzie zaś takie zaburzenie nastąpi, bajka ma zapewnioną egzystencję, ma grunt podatny dla swego rozwoju. Z umysłem dzieje się mianowicie to samo, co z organizmem fizycznym w chwili silnego podniecenia: traci odporność. — Krytycyzm zdrowego rozsądku przestaje funkcjonować, bajce więc dane jest otwarte pole.

Tysiącami, ba, milionami nici wiąże się dola i niedola tych, co zostali w domowej pieleszy, z przebiegiem starć orężnych. Cóż dziwnego, że każdy pragnął jak najdokładniej wiedzieć, co dzieje się tam, na polach walki? Tymczasem ciekawości onej szło w poprzek — wszystko. Tajemnica osłaniała ruchy armii, a nieraz i zdarzenia bojowe.

To rzecz naturalna, że w czasie właśnie, gdy niewalczący ogół pragnąłby, aby kąpać mógł swą duszę co dnia w rozlewających się poza brzegi koryta informacyach, stają się one skąpe,

jak strumienie czasu posuchy — zaledwie sączą. — Nawet prasa nie może rozciekawieniu przyjść z posiłkiem, skazana jest bowiem co do zdarzeń wojennych prawie tylko na komunikaty urzędowe. Te zaś z konieczności bywają lakoniczne, obracają się niekiedy w okólnikach, niekiedy poprzestają na zwięzłym stwierdzeniu faktów, których doniosłość jedynie ktoś militarnie wykształcony zrozumieć może, lub też zaznaczają ostateczne wyniki bez antecedencyj, o których poznanie szło by właśnie publiczności cywilnej.

Wśród publiczności skazanej na rolę widzów dramatu, odgrywającego się — za kulissami, bardzo tylko niewielu godzi się i z tą konsekwencyą wojny. Przeważają ludzie zdenerwowani do tego stopnia, że stają się — naiwnymi. Chcą wiedzieć coś więcej, niż można — chcą za każdą cenę, uchylić rąbka kotary i wydrzeć bodaj okruszynę tajemnic, aby zaspokoić nią głód swej ciekawości.

Do osiągnięcia tego celu dążono w czasie inwazyi różnemi drogami. Ktoś np. — jak to się mówi — sfiksował na punkcie kart geograficznych. Dla komunikatów urzędowych miał zupełne zaufanie, lecz aby je należycie zrozumieć, powiadał, konieczną jest dobra mapa. Zupełna racya! Tylko, że jegomość ów, choć pozował na człowieka o umyśle trzeźwym, miał równie podnieconą wyobraźnię, jak tysiące innych, niepozujących. Skutkiem tego dopatrywał się w mapie rzeczy, o których komunikatom ani

się śniło i był pewny, że to, co wykombinował, było świętą prawdą. Zwierzał ją więc znajomym, ci zaś genialne odkrycie podawali dalej i bajka już gotowa, obiegała całe miasto.

Inni, zbyt niecierpliwi, by wśród map grzebać, wychodzili na ulicę, tam zbierając uzupełnienie ogłoszonych wiadomości. Wracali zazwyczaj z plonem przebogatym. Bo czyjaś tam mleczarka słyszała na własne uszy, jak jakiś tam golibroda zaklinał się na zdrowie swych dzieci, że jakaś dama, posiadając wuja, którego kolega z czyjaś tam siostrzenicą ożeniony, była na prowincyi u ciotecznego brata i opowiadano, wedle najautentyczniejszych informacyi miało się stać to, a to... Nie poprzestając na wchłonięciu uzyskanych tą »najpewniejszą drogą« informacyj, opowiadający przetrawiał je i wydawał w przerobionej formie za dobrą monetą innym, mającym dość czasu, by bajki zbierać i szerzyć...

Z każdego zaułka, z każdej ostoi wypoczynku, zewsząd czyhały bajki i poszukiwacze bajek.

A co już najbardziej ubolewania godne, to, że dobrze rozumiejąc wrażliwość ludzką, także i spekulacya dorzucała chętnie swe trzy grosze do bajczarstwa. Ta niska, ohydna kreatura, wśród instynktów ludzkich bodaj czy nie najpodlejsza, niejedną u nas w czasie wojennym usmażyła sobie pieczeń przy ogniu umiejętnie roznieconym, ogniu bajki.

Prasa niejednokrotnie przestrzegała przed

bajczarstwem, był to jednak głos wołającego na puszczy. Zarówno pesymizm jednych, jak optymizm innych.

KORESPONDENCYA.

Do największych niewątpliwie przykrości, jakie pociągnął dla nas za sobą stan wojenny w czasie inwazyi, tę zaliczyć wypada, że bardzo wiele rodzin, rozdzielonych wypadkami, pozostawało bez żadnej wiadomości o tym, czy owym ze swych członków.

W wielu wypadkach gdzieindziej bawił np. mąż, a gdzieindziej żona. Niekiedy znowu rodzice odcięci byli żelaznym murem dział i bagnetów od swych dzieci, te howiem wysłane na ferye do znajomych lub krewnych, nie zdążyły już powrócić. Zresztą oprócz męża, żony, dzieci, ma się bliższych i dalszych krewnych, ma się przyjaciół, których dola nie jest obojętna, a o których trudno było zasięgnąć języka.

Jeśliby nawet tłumaczyć to jako nieuchronne następstwo wojny — jakże ono okropne.

W zwykłym stanie rzeczy, można było utrzymywać zapomocą korespondencyi nieustanną styczność z bliskimi sercu. Nieraz kilkudniowe milczenie już stawało się przyczyną zaniepokojenia; a tu mijały tygodnie, miesiące. my zaś o tych, o których pragnęłoby się wiedzieć, co porabiają, w iluż wypadkach nic nie wiedzieliśmy, i nieraz mimowoli nie można było z myśli usunąć pytania: Czy oni żyją jeszcze?

Korespondencya była niezmiernie utrudniona. W częściach zajętych pocztą funkcyonowała, lecz raczej nominalnie, niż faktycznie. To też korespondencya najwięcej, a przynajmniej najskuteczniej odbywała się przez »okazyę«. Wyjeżdżał np. ktoś do Złoczowa, to ze wszystkich stron zbiegali się interesowani z prośbą, by tam krewnym lub znajomym doręczyć listy. Na odwrot ci, co wybierali się ze Złoczowa, miewali także pełne kieszenie listów, wręczonych im z prośbą o oddanie na miejscu we Lwowie.

Działo się to albo w charakterze bezinteresownej przysługi, lub nawet za wynagrodzeniem, obfiszem czy też skąpszem, w miarę trudów, jakie viator miał do przebycia.

Nierównie większe przeszkody spotykał ten, kto pragnął porozumieć się z osobami przebywającymi po drugiej stronie linii bojowej. Listy takie musiały kierować się przez państwa neutralne, skąd dopiero szły dalej, aż do adresata. Listy podlegały oczywiście tu i tam cenzurze, trzeba więc było pisać je bardzo czytelnie i lakonicznie, zamykając się ściśle w granicach życia prywatnego. Ograniczenia te zresztą nikogo nie dotknęłyby boleśnie, bo cele takiej korespondencyi mogły być tylko czysto osobiste; nie szło w niej o nic innego, jak o dowiedzenie się, czy dana osoba żyje, czy jest zdrowa, jak się jej powodzi. Jeśli co boleść sprawiało, to niepewność, czy list wogóle dojdzie, bo w tym chaosie, który powstał skutkiem stanu wojennego, nie może korespondencya prywatna — i to w za-

dnem państwie — zajmować pomiędzy przedmiotami troski pocztę zbyt wybitnego stanowiska.

Uzbroić się też trzeba było co do odpowiedzi w wielką cierpliwość. Od nas wysyłało się listy tego rodzaju za granicę przez Rumunię, lub Szwecję. W przeważnej liczbie wypadków szły one potem przez Szwajcaryę, miały zatem do przebycia ogromny szmat drogi i to w warunkach jak najmniej pomyslnych. Odpowiedź musiała odbywać tę samą drogę; jakóż, jeśli wogóle nadeszła, to zazwyczaj nierzadziej, jak po upływie jednego lub nawet kilku miesięcy.

Ale też, gdy nadeszła, a brzmiała pomyslnie; gdy osoba o którą niepokoił się, donosiła nam, że żyje, że nic jej nie grozi, cóż za radość była wtedy w domu! Każdego wchodzącego witało się w taki dzień uśmiechem i zwierzało mu się radosną nowinę. Chciałoby się, aby cały świat zasłyszał o niej, bo jeżeli które z uczuć, to słodycz szczęścia wolną jest od wszelkiej przymieszki egoizmu.

CIEŃ SMUTKU.

Instynkt samozachowawczy i poczucie godności ustrzegły nas od upadnięcia na duchu. Dowodem wielkiej energii życiowej Lwowa była powszechna w nim dążność do stawiania zapór przynębieniu; nie znaczy to naturalnie, byśmy przyklaskiwać mieli bezmyślnej efronterii szli-

fibruków z ul. Akademickiej i Karola Ludwika. Trudno było patrzeć na nią bez oburzenia i pogardy.

Spokojną twarz miało miasto. Ale sercu nie mogło zakazać pasowania się z bolem. Kryło go tylko, chowało na dnie, odsłaniało jedynie przed Bogiem.

Nigdy w czasie pokoju kościoły nie miały tak silnej frekwencji. Bo słaba jest natura ludzka; gdy okaże się, że znikąd ratunku jej nie oczekiwać, odnajduje w sobie raptem żarliwość religijną i już nie jednostki, ale masy padają na kolana pod krzyżem, symbolem cierpienia, a zarazem ukojenia wszelkiej męczarni.

Są dwie głównie świętości, ku którym zwraca się najczęściej adoracya, szukająca ulgi. Stale okolone bywały modłącymi się ołtarze, Ukrzyżowanego i Bogarodzicy. Te biedne serca ludzkie, które przygniatała troska, obawa, przerażenie i te, w które wżarła się rozpacz żałoby, otwierały tam z zaufaniem dziecięcym prawie krwawe swe rany, żebrząc choćby o kropelkę pociechy.

Bo któż jej nie potrzebował? Czyż znalazłoby się wówczas choćby jedną rodzinę, która wobec wielkich zdarzeń dnia każdego mogła poprzestać na stanowisku chłodnego obserwatora, lub która szukałaby tam wyłącznie sposobności do wykształcenia swej orientacyi politycznej, swego historycznego zmysłu? Nie naturalniejszego, nie bardziej ludzkiego nad to, że każde ognisko rodzinne przysłańało się kirem obawy o losy

członków rodziny, biorących udział w wojnie; że, gdzie brak było o nich wiadomości — a cudem chyba zdarzała się wiadomość wogóle, a cóż dopiero pomyślna — tam dokoła serca oplatała się niepewność pełna lęku, drżąca na myśl samą, by przestała być choćby niepewnością.

Tu i ówdzie spadał grom nagle i gromów takich było coraz więcej: oficjalne doniesienie lub wiadomość przyniesiona prywatną drogą odsłaniała grobową głąb zagadki: ciężko rannicy (to jeszcze nie najstraszniejsze), ale — poległ, poległ!

A wtedy dom, do którego dostała się wieść taka, stawał się żalosną siedzibą nieutulonego smutku. Nie usłyszałeś w nim już słowa, które nie drżałoby zdławionymi łzami; nie obaczyłeś ani na chwilę spojrzenia, w którym nie odbijałoby się złamanie beznadziejne... Ci, którzy z domu onego wychodzili, szukali dróg bocznych, by nie spotkać się ze znajomymi, by uniknąć przechodzenia przez różgi kondolencji. Kobiety w czarnych szatach, zakwefione, znały odtąd właściwie jedną drogę: najprostszą, do kościoła wiodącą. Tam godzinami modliły się, płacząc, aż w końcu Pan zwrócił na nie oko i dał tym znękanym męczennicom łaskę powolnego uspokojenia. Ale czy wróciła kiedykolwiek pogoda do przybytku serc ich, którym wydarto właśnie to, co było najdroższe?

Z dniem każdym przybywało kobiet w czarnych strojach, wstydliwie kryjących swą tragedię pod gęstym welonem żałoby. I niestety,



Gabinet fizyczny VI. gimnazjum po wyjściu moskali



Wejście wojsk austro-węgierskich d. 22 czerwca 1915

przybywa ich nadal, przybywać musi coraz więcej. A po wojnie, kiedy ludzkość odetchnie na koniec, kiedy radośnie wyciągnie ramiona ku świtom nowej doby, wtedy właśnie zaczną się tych welonów najwięcej, bo wtedy dopiero przyjdzie ta straszna chwila, która olbrzymią resztę oczekiwań przetnie nagle, odsłaniając bezlitośnie całą okropną prawdę.

DNI GROZY.

Niedziela d. 20. czerwca 1915 zbudziła się z obłądnym jakimś wzrokiem i piętnem niepewności. Przez całą noc poprzednią przeciągały ulicami miasta reszty taborów rosyjskich, cofające się od szeregu dni — w zupełnym, przysnąć trzeba, porządku — na wschód, ku granicom Rosyi. Tej samej nocy władze rosyjskie z rzucającym się w oczy gorączkowym pośpiechem dokonały szeregu aresztowań. Uwięziono i uwieziono między innymi radnych: Kauczyńskiego, Schirmera i Włodzimirskiego, radców sądowych Lewickiego i Lubienieckiego, superiora OO. Jezuitów, ks. Sopucha, Michała Töpfera, dyrektora Archiwum miejskiego Czołowskiego, prezesa kahału dr. Diamanda, rektora uniwersytetu dr. Becka, właściciela drukarni Artura Goldmana, lekarza dr. Ziona, radcę sądowego Sosnowskiego, adwokata dr. Fedaka, radcę magistratu Bańkowskiego, przedsiębiorcę budowlanego St. Kwiatkowskiego, star. radcę pocztowego J. Białynię Chołodeckiego, insp.

szkol. dr. Kociubę, kustosza, ruskiego Muzeum narodowego dr. Hilarego Święcickiego, inżyniera Wydziału krajowego Baczyńskiego, dr. Bohdana Barwińskiego i i.

Stąd panika padła na gród. Rano niewiele tylko sklepów otwarto. Na ulicach uderzał ubytek frekwencyi. W powietrzu unosiło się zaniepokojenie. Policya ściągniętą została z posterunków. W jej miejsce wystąpiły patrole kozaków pułk. Szeremetiewa, który jako gubernator wojenny objął rządy w miejsce b. generał-gubernatora, hr. Bobrińskiego. Ten w sobotę opuścił swą rezydencję.

Przed południem, jak grom z jasnego nieba, spadła na Lwów wiadomość o wywiezieniu prezydium miasta, mianowicie prezydenta Rutowskiego, jakoteż wiceprezydentów Stahla i Schleichera. Na ratusz zwała się konsternacya. Publiczność powzięła o dokonanym fakcie wiadomość bardzo rychło. Niespodziany cios budził wszędzie żal szczery. Usunięcie zwłaszcza prez. Rutowskiego odczuł ogół niezmiernie boleśnie. Wzrosło też zaniepokojenie: miasto ujrzało się opuszczonem, bez opiekunów, w których pokładało całe zaufanie.

Podbiegał wśród tego huk armat od południa i zachodu coraz bliżej. Słuchano go z biciem serca, a ilekroć nastąpiła przerwa, lęk opanowywał umysły tem silniej, jak gdyby to był znak jaki złowróżbny.

Okolo południa wstrząsnęły miastem odmiennie, nierównie bliższe detonacye, a na ho-

ryzont wzbili się w różnych punktach ogromne słupy dymów. To rozpoczęto wysadzanie i palenie ważnych obiektów wojskowych, aby nie pozostawiać ich nieprzyjacielowi. Najsilniej zarysował się na widnokręgu pożar dworca głównego. Wskazywała go, dopóki światło nie zgasło, sięgająca do zenitu czarna kolumna dymów, a nocą olbrzymia łuna, przelewająca się aż na drugą połąć nieba, gdzie w jedno spływała z łuną pożarów od strony Zniesienia i Żółkiewskiego przedmieścia.

Miasto zwolna, jakby zamarło. Późna noc czerwcową oblokła się w czarność zupełną, jak w kir upiorny. Więc jakby tchnienie śmierci zaległo nawet najbardziej ożywione zazwyczaj arterye ruchu.

Korzystając z grobowego nastroju, pewna bezkarności, wyległa — jak z pod ziemi — najohydniejsza z bestyi, hałastra bandycka. Padły ofiarą grabieży sklepy i mieszkania, zwłaszcza w dzielnicach żydowskich; polała się nawet krew...

Zdenerwowanie wzrastało. Armaty grały w poniedziałek dalej potworny swój rapsod, który setkom i tysiącom opodal niósł zagładę nieuchronną i niósł tryumf jednym, a drugim pogrom.

Już było rzeczą niezawodną, że armia rosyjska zaniechała myśli opierania się we Lwowie. Chociaż jednak doświadczenie dziesięciomiesięczne przekonać powinno było ludność, że nie grozi jej niebezpieczeństwo masakry, pod-

szyta tchórzem plotka rozdmuchiwała lęki coraz nowymi produktami chorej wyobraźni. I miała ten tryumf, że znaczna część Lwowian dała jej wiarę... Więc przewidywano jakąś rzeź, jakieś powszechne tępienie i plondrowanie przez aryergardy, uchodzących wojsk rosyjskich, mimo, że wszelkie dane wskazywały, iż one inną, nie przez miasto, obrały drogę.

Działa nie milkły, przysuwając się z różnych stron ku lwowskiej kotlinie i dalej paliły się łuny i biły dymy, jakby miasto ze wszystkich stron obwiedzione było pierścieniem ołtarzy ofiarnych.

Kanonada była we wtorek, d. 22. czerwca, rano już tak donośna, że zdawało się, tuż za wzgórzami chyba padały granaty i szrapnele. Rankiem wielki pożar baraków przy ulicy Jabłonowskich ściągnął niezmierne tłumy. Mieszali się tam ciekawi ze skrzętną rzeszą biedaków, nadbiegających, aby rozbijać nieobjęte jeszcze pożarem budynki.

Wśród tego nieliczne patrole kozackie ściągały się w oddziały i znikały z widowni a z ust do ust przebiegała wiadomość, że wojska austriackie docierają już do rogatek janowskiej i gródeckiej.

O godzinie 12 min. 30 w południe Rada miejska zebrała się na pierwsze — bez mała po roku — posiedzenie. O tej samej porze naczółkowe patrole zwycięskiej armii austriackiej ukazały się w obrębie miasta.

Ustąpiła ciężka zmora niepewności. Lwów odetchnął pełną piersią.

Z tych okropnych dni przechował się między innymi bardzo znamienity dokument: memoriał, w przededniu odbicia Lwowa, przedłożony przez inżyniera śp. E. Żebrowskiego gen.-gub. Szeremetiewowi. Powtarzamy tu owo pismo w dosłownym przekładzie z oryginalnego tekstu francuskiego.

»Ekscelencyo!

Pozwalam sobie prywatnie, jako obywatel, troszczący się o porządek i bezpieczeństwo publiczne, zawiadomić Jego Ekscelencyę o nieszczęśliwych wypadkach, które miały miejsce dzisiejszej nocy przy ulicy Pańskiej w domu nr. 14, gdzie mieszkam.

Chory od dłuższego czasu, spoczywałem już od dobrych trzech godzin, gdy około godziny 2 nad ranem zbudziła mnie, wpadając jak szalona, moja służąca, nakłaniając do wstania, bo na ulicy i naprzeciwko naszego domu strzelają i próbują wysadzić bramę.

Służąca, wchodząc do pokoju, przekręciła kurek od lampy elektrycznej, lecz natychmiast rozległo się kilka strzałów, jedna z kul przebiła szybę w oknie, utraciła kawałek muru i uwięzła w suficie, który uszkodziła swoim wybuchem.

Podłoga, stoły pracy, książki, wszystko, co się znajduje w moim pokoju, pokryte jest szcząt-

kami tynku i muru. Pograżyliśmy się natychmiast w ciemnościach i przenieśliśmy się do pokoiów od podwórza, gdzie się schroniło kilka kobiet z dziećmi. Z początku sądziłem, że to po prostu policya przyszła zabrać ludzi, naznaczonych na wyjazd do Rosyi, lecz, usłyszawszy żałosne krzyki kobiety, nad którą się znęcano w sąsiednim domu (pod nr. 12), gwałtowne dobijanie do bramy — zrozumiałem, że jest to istotnie napad bandytów.

Wśród tych hałasów i wrzawy około godziny 2 i pół usłyszeliśmy kilkakrotny odgłos gwizdawki, jaką się posługuje policya i po jakimś czasie znów zapanował spokój. W niepewności jednak, która wszystkich ogarnęła (tembardziej, że mężczyźni uciekli na dachy, zostawiając kobiety samotne), doczekaliśmy dnia białego, który już zaczął się zarysowywać o 3 godzinie. Kobiety wychyliły się z piwnic, chłopcy zleźli ze strychu i dachów, gdzie siedzieli. Na koniec zdołaliśmy przez sąsiadów zebrać kilka wyjaśnień o tem, co się działo.

I dowiedzieliśmy się, że istotnie cała ulica, została steroryzowana przez bandę trzech rozbójników, przebranych po wojskowemu: 2 z piechoty i jeden z kawaleryi (sądząc po szabli), którzy pod przewodnictwem jakiegoś cywilnego hultaja, chcieli systematycznie zrabować całą ulicę. Gdy tylko możliwe było wyjście na ulicę, udałem się osobiście do domów, które były napadnięte i otrzymałem od naocznych świad-

ków tego nocnego dramatu następujące wyjaśnienia:

Bandyci postępowali metodycznie, poczynawszy od domu nr. 18 aż do domu, oznaczonego nr. 12. Nr. 18, to nieruchomość, należąca do dr. Gluzińskiego, byłego rektora Uniwersytetu. Zbrodniarze zbili szybę i dostali się przez okno parterowe. W tym domu mężczyźni skryli się w ogrodzie, zostawiając dwie kobiety dla stawienia czoła napastnikom. Żona p. B., cukiernika, potrafiła ich ułagodzić i pozbyć się za cenę 15 rubli, lecz zdołali oni, przechodząc przez podwórze, schwycić starą siekierkę o krótkiej rękojeści, która następnie służyła do rozbijania bram w innych domach.

Od domów pod nr. 16 i 14, których drzwi masywne oparły się zwycięzko pod ich uderzeniami, bandyci odeszli, dając tylko kilka strzałów przez otwory w bramie lub pod drzwiami.

Dom pod nr. 14, w którym sam mieszkam, obroniła również silna brama. W rzeczywistości jednak pod nr. 12, składającej się z kilku skromnych domków, udało się rabusiom wyrąbać drzwi od dołu i tamtędy przedostać się na podwórze, skąd łatwo już dostali się do każdego mieszkania, gdzie napadali na ludzi, plondrując mieszkania i wymuszając pieniądze. Oto zeznania mieszkańców:

Ferdynand Weishar, żonaty, sześcioro dzieci, zmuszony był opłacić się — suma okupu niewiadoma, gdyż z powodu przerażenia, nie może dokładnie przypomnieć sobie cyfry. Po otrzy-

maniu pieniędzy złodzieje poszli do innego mieszkania.

Dornberg Jakób zeznaje, że bandyci pobili mu żonę, a ponieważ nie mogli otrzymać od niej pieniędzy, zerwali jej srebrny łańcuch z takimże zegarkiem.

Andrzej Laskowski, dozorca domu, potulny i spokojny człowiek, opowiada naiwnie, że natychmiast uciekł na dach, zostawiając swoje mieszkanie na łup złodziei, którzy też zabrali, co tylko znaleźli godnego do wzięcia.

W tem mieszkaniu bandyci zostawili przez zapomnienie siekierę, wziętą z domu pod nr. 18, co stanowi ważną wskazówkę dla śledztwa sądowego.

Władysław Grach, emerytowany wachmistrz żandarmeryi, znajdował się z żoną i córką w próżnym pokoju i zapewniał złodziei, że absolutnie nic nie ma, gdyż przybył tu tego samego wieczora, uciekając z rodziną. Napastnicy cofnęli się, aby poszukać nowych ofiar.

Julia Seewald, żona ślusarza, opowiada, że trzech mężczyzn usiłowało wejść do niej, chcieli nawet zabrać z warsztatu niektóre narzędzia żelazne, lecz wycofali się ostrożnie, nic nie zabrawszy, usłyszeli bowiem zapewne gwizdawki, zapowiadające zbliżanie się policyi.

Udałem się następnie do p. dr. Margulies, mieszkającego w którymś z domów o numerze nieparzystym. Zapewnił mnie, że po tej stronie ulicy usiłowania rabusiów nie udały się w zupełności z powodu oporu silnych drzwi i, że

to on właśnie, słysząc i widząc, co się dzieje po drugiej stronie — dał gwizdawką kilka sygnałów policyjnych, z powodu których napastnicy pierzchli.

Podobne rzeczy będą się powtarzały dopóty, dopóki nie będzie dostatecznej obrony, któraby zapewniała opiekę spokojnym mieszkańcom Lwowa. Czy nie możnaby jeszcze przed utworzeniem takiej straży przy pomocy żołnierzy zorganizować patroli automobilowych, które szybkim i głośnem zbliżaniem się — przeszkadzałyby napastnikom w ich nocnych operacjach i przyczyniłyby się do wyłapania niebezpiecznych ptaszków?

Ferdynand Żebrowski.«

Na szczęście nie było już potrzeby, uciekać się do tego środka. Nazajutrz po doręczeniu tego memoriału wkroczyły do Lwowa wojska austriackie, z niemi zaś powróciło bezpieczeństwo osobiste, tak bardzo uszczuplone podczas rządów Rosyi we Lwowie.

Z MROKU W JASNOŚĆ.

W liście o wkroczeniu wojsk austriackich do Lwowa, pisanym przez jednego z oficerów, a ogłoszonym przez »Oest. Alltg. Ztg.« czytano: »Czegoś podobnego nie widziało się dotąd i chyba już nie obaczy się nigdy więcej... Entuzjazm nie miał granic, a był to prawdziwy, szczerý entuzjazm, — ludziom kręciły się łzy w oczach...

Do późnej nocy wrzało i kipiało wszystko — i z pewnością nie tętnił Lwów nigdy podobnem, jak w ów dzień życiem...»

O ileż bardziej poruszonym czułby się autor słów powyższych, gdyby obraz radosnej pełni życia porównał z martwością, jaka przez szereg ostatnich dni pobytu Rosyan ogarniała miasto.

Ludzie bali się wychodzić na ulicę. Zwłaszcza mężczyźni. Bo nikt nie mógł mieć pewności, czy wyszedłszy, powróci. Nie dawało rękojmi żadne stanowisko, nie dawał jej wiek, choćby sędziwy. Opuszczano dom chyba pod przymusem konieczności — np. aby w najbliższym sklepie zaopatrzyć się w artykuły codziennego użytku. O zaczerpnięciu powietrza, o przechadzce, o odwiedzaniu znajomych nikt nie myślał w dni te, choć cudna pogoda czerwcową aż zapraszała do zakosztowania jej czarów.

A dopieroż wieczorem, w nocy — ulice były puste, jak wymiótł. Skąpo, w ogromnych odstępach pozapalane latarnie, zdawały się migotać niepewnym błyskiem kaganków przy zwłokach nieboszczyka. Nie było także światła w oknach domów. Rozporządzenie policyjne zakazywało oświetlania »od strony nieprzyjaciela«, ale ponieważ nie podano, która to jest strona, publiczność więc wołała zupełnie zrezygnować z oświetlenia i wbrew wszelkim tradycjom lwowskiemu słać spać »razem z kurami«.

Jak pod wpływem przerażenia krew zbiega do serca, tak całe życie Lwowa ściągnęło się

w owych dniach do zaciszy domowych, tając o ile możności swe istnienie.

Zatem i noc pogrążała nas w bezedniach ciemności i dzień nie przynosił z sobą rozjaśnienia. Pod kiru oponą, z tchem zapartym, spoczywał Lwów jak na katafalku.

Aż nagle stał się cud: rzekomy nieboszczyk ożył! Zrzucił z siebie nakrycie całunów i jak nowonarodzony wyciągnął ramiona do świata, do światła.

Zaledwie d. 22. czerwca około godziny 11 przed południem pojawiły się od strony ulicy Janowskiej pierwsze patrole austriackie, rozwarło na ścieżaj bramy domów — i ulice, jeszcze dzień przedtem tak puste, w okamgnieniu zapełniły się niezliczonem mrowiem ludzkim. Świadomość, że ustąpiła wreszcie udręka, krępująca Lwowu swobodny oddech, — podziałała, jak dotknięcie różdżki czarodziejskiej. A więc ziściło się powszechne gorące pragnienie tych długich miesięcy a więc starte jest miasto z czoła piętno niewoli, a więc wraca gród znowu do dawnego pana, któremu dochował wierności, choć tyle było pracy nad tem właśnie by wierność poszła w rozsypkę.

W słowniku ludzkiej mowy brak określeń, które odzwierciedliłyby w sobie radość, jaka Lwów opanowała wówczas. To nie była radość, to było upojenie, to był szal rozkoszy. Każdy chciał jak najżywiej uczestniczyć w wielkim momencie wyzwolenia. Ludzie tłoczyli się, popychali, nie biorąc sobie nawet tego za złe, — by wła-

snemi oczyma i jak najbliżej spojrzeć oczyma w oczy wielkiemu szczęściu, które wkraczało w ulice miasta, stąpało po bruku energicznym krokiem zwycięzcy, rozwijało dumny sztandar na wieży ratuszowej, na gmachach publicznych, na domach... Nie chciało się wierzyć ani przyobleczeniu się marzeń w ciało życia, ani — własnemu swemu widokowi. Bo jakież to mnóstwo nas samych utrzymało się jednak we Lwowie, — nas, którzy straciliśmy byli poczucie, że jest nas tylu. I stąd ta szumna, huczna, spieniona jak szampan energia życia, nie dawniej, jak wczoraj, zaledwie dyszącego jeszcze!

Porzucono wszystko. Zapomniało się o sobie, jako o jednostce; żyło się przez szereg godzin zbiorowo tylko życiem masy. Każdy był w sobie całem miastem, całe zaś miasto było jedną, wielką ekstazą radości...

A gdy noc zawitała, cóż za nowe dziwa! Wypadło jej hebanowe berło z ręki, osunął się czarny płaszcz z ramion. Jak za dawnych dobrych czasów zajaśniał Lwów na całej swej przestrzeni powodzią światła. Płonęły wesoło latarnie; słońcem rozgorzały na placu Maryackim i Bernardyńskim lampy łukowe, a okna domów zajaśniały — rzekłbyś — zdwojoną siłą, by powetować sobie długą mitręgę ciemności.

Było jasno na ziemi i w sercach ludzkich i na niebie, które majestatycznie nad upojonem

od szczęścia miastem rozpostarło kusy płaszczyzny czerwcowej, obsypany gwiazdkami jeszcze rzęsiściej — zdawało się — niż zwykle, jeszcze promieniściej...

KONIEC.

DODATEK.

NASTRÓJ POLITYCZNY LWOWA W CZASIE INWAZYI.

Doskonale wtajemniczony w stosunki świadek zdarzeń podczas inwazyi prof. Chlamtacz przedstawił dokładnie sprawę w książce wydanej w języku niemieckim pt. »Lembergs politische Physiognomie während der russischen Invasion 3/IX 1914 bis 22/VI 1915. Erinnerungen von Dr. Marcell Chlamtacz, Universitäts-Professor zu Lemberg. — Wien 1916. (Lechner & Sohn. 8-^o. S. 128).

Wyjmujemy stamtąd w zwięzłym streszczeniu rys politycznych stosunków u nas w czasie, gdy Lwów zostawał pod zarządem Rosyan.

Wkraczali oni dnia 3 września, zapowiadając wskrzeszenie Polski przez zjednoczenie wszystkich ziem jej pod berłem Rosyi. Rozrzucony pomiędzy ludnością manifest w. ks. Mikołaja Mikołajewicza nie wywarł jednak oczekiwanego wrażenia. Pospółstwo nie rozumiało go; inteligencya zachowała się niedowierzająco wobec rosyjskich obiecanek.

Tylko »Słowo Polskie« powitało manifest entuzjastycznie. Przeistoczywszy się w dniach tych z organu partii narodowo-demokratycznej w organ kilku polityków tego stronnictwa, z miejsca przybrało jaskrawe, russofilskie zabarwienie.

Z wejściem wojsk rosyjskich, jako z nieuchronnym faktem, liczyć się u nas poczęto od wtorku dnia 1 września 1914. Komitet wybitnych przedstawicieli miasta, zwołany przez prezydenta Rutowskiego, ukonstytuował się w stałą instytucję, która utrzymała się przez cały czas inwazyi, zbierając się peryodycznie, najczęściej u prezydenta Rutowskiego, kilka razy zaś u hr. Pinińskiego lub u hr. Henryka Badeniego. Celem konferencyi było obmyślanie środków, mających powstrzymać władze rosyjskie od wyrządzania szkód polskiemu charakterowi gminy.

W czwartek dnia 3 września stało się tedy, co stać się musiało: Lwów został zajęty przez armię rosyjską. Ludność zachowała się na ogół z godnością i poprawnie. Dzień ten — jak sami Rosyanie zaznaczyli — okrył miasto żałobą.

Wrzesień przeszedł stopniowo spokojnie. Ustanowiony gubernatorem miasta pułkownik Szeremetiew okazał się człowiekiem pełnym taktu i szlachetnym. Troska o sprawy materialne zepchnęła inne kwestye na dalsze plany. Lwowianie mało okazywali ochoty do politykowania i pomimo, że ciągle przypominano

im obietnice najwyższego wodza, nie kwapili się ze zmianą poglądów z czasu przed inwazyą.

O ile manifest naczelnego wodza zawierał obietnice, których nie zamysłano wykonać, o tyle szczerze odsłoniły się tendencye »oswobodzicieli« w programowej mowie gen. gubernatora Galicyi hr. Bobrińskiego z dnia 17 września 1914. Prof. Chlamtacz nie przypuszcza, aby to był własny produkt owego dostojnika, gdyż hr. Bobriński odznaczał się osobiście wielką ogładą i skłonnością do ustępstw. W mowie zaś swojej w sposób wprost srogi odsłonił perspektywy rusyfikacyi, jaka oczekiwać miała nasze miasto i cały kraj zajęty.

Zrozumiano w kołach bliskich hr. Bobrińskiemu, że dopuścił się on ciężkiego błędu. »Słowo Polskie« starało się osłabić fatalne wrażenie mowy — bezskutecznie. Brutalna ta zapowiedź rusyfikacyi zraniła nie tylko nas, lecz także w Królestwie Polskiem odbiła się przynębiającem echem. Nie brakło też oznak, że w Petersburgu zrozumiano, iż stało się źle i wydano instrukcye dla poprawienia błędu.

Tymczasem z inicjatywy gubernatora przybyło w październiku 1914 do Lwowa kilkunastu rosyjskich posłów do Dumy, aby razem z hr. Bobrińskim naradzić się nad zasadami administracyi okupowanych terytoryów galicyjskich. Równocześnie przybyli także polscy członkowie Dumy i Rady państwa, pragnąc z tutejszymi politykami polskimi porozumieć się co do sprawy

polskiej. Na zwołanej w tym celu konferencji stanął prof. dr. Grabski z właściwą mu gwałtownością w obronie oryentacji russofilskiej, twierdząc, że nie można się już łudzić co do tego, by wojna wypaść mogła korzystnie dla Austrii; zresztą zwrot w kierunku Rosyi najlepiej odpowiada uczuciom większości Polaków.

Zbijał jego wywody prof. Chlamtacz, stwierdzając, że zwłaszcza od czasu programowej mowy hr. Bobrńskiego ogół polski odwrócił się od Rosyi, a »Słowo Polskie«, reprezentując kierunek russofilski, wywołuje tylko oburzenie, czego widowym znakiem stałe i szybko postępujące ubywanie prenumeratorów. Zwrócił dalej mówca uwagę na klęskę, jaką byłoby dla Polaków nawet wykonanie obietnic nacz. wodza, tj. ścieśnienie przyszłej Polski w granicach jednolicie polskich pod względem językowym. Polacy zresztą nie mogą eutuzyazmować się dla zjednoczenia pod berłem Rosyi, wiedzą bowiem, że przyniosłoby ono z sobą zagładę swobód obywatelskich, których odmawia to państwo nawet rdzennej swej ludności. Zbijał wkońcu profesor Chlamtacz rzeczowo twierdzenie o militarnej słabości Austrii, wykazując, iż rzecz ma się wprost przeciwnie — i z naciskiem zaznaczył jako rzecz rozumu i sumienia, wytrwać w lojalności wobec monarchii i państwa, w którym od czasu nastania ery konstytucyjnej mamy zapewniony rozwój na podstawie narodowej.

Wywody te znalazły z wielu stron poparcie. Okazało się, że niema mowy, by Lwów

przyłączył się do oryentacyi, panującej w Królestwie, co dr. Grabski tak wziął sobie do serca, iż w późniejszych konferencyach nie brał już udziału.

Wynik konferencyi był wiadomy zaraz na-
zajutrz w całym mieście i ożywiająco podziałł
na umysły. Topniała odtąd jeszcze silniej garstka
zwolenników »Słowa Polskiego«; ogół odwrócił
się ze wstrętem od tego pisma.

Dr. Grabski nie dał jednak za wygraną.
Na jednym z obiadów u prez. Rutowskiego wy-
stąpił wprost z żądaniem, by na przyrzeczenie,
wyrażone w manifestie naczel. wodza, dano
z naszej strony dowody rzetelnej chęci zbliżenia
się do Rosyi. Obaj arcybiskupi zauważyli, że
jest świętym obowiązkiem dochować lojalności
wobec Austrii, a pos. Kozłowski pouczył żarli-
wego propagatora russofilstwa, że wśród huku
armat nie pora na politykowanie. Zmyto więc
znowu dr. Grabskiemu głowę. Wytrwałej, kon-
spiratorskiej skrzętności zawdzięczał jeden mimo
wszystkiego sukces: oto udało mu się rzucić
w świat znaną odezwę przeciw Legionom. Suk-
ces ten jednak większym wydawał się dr. Grab-
skiemu, niżli był w rzeczywistości. Po wielu
mozołach zebrano nie więcej nad 24-ry podpi-
sów, jakkolwiek partya wszechpolska miała w o-
kupowanym Lwowie bardzo licznych przedsta-
wicieli. Obok istotnie wybitnych ujrzano tam
nazwiska zupełnie pozbawione politycznego zna-
czenia. Co zaś najbardziej zastanawiało, to oko-
liczność, że znalazły się na odezwie przeciw

Legionom podpisy, które kilka miesięcy przedtem figurowały na odezwach, zachęcających do popierania Legionów. Co do motywów, to zdaniem prof. Chłamtacza, raczej względy praktyczne, niż russofilstwo skłoniło wielu do podpisywania odezwy, o której wiedziano, że praktycznego znaczenia mieć nie może i w której zastrzegano się wyraźnie przeciw odstąpieniu od lojalności wobec Austrii.

Opinia publiczna we Lwowie była na podstawie instynktownej niechęci do rosyjskich intruzów tak zorganizowana, że nawet w chwilach najcięższych, gdy tendencyjne doniesienia Pet. Ag. Tel. próbowały publiczność olśnić coraz nowemi zwycięstwami rosyjskiego oręża, gromadzono u nas argumenty na argumenty ku usadnieniu wiary w ostateczne zwycięstwo mocarstw centralnych. W publicznych lokalach znajomi zwierzali sobie rozmaite sekretne wieści, a cieszyły się one o tyle popularnością i o tyle znajdowały posłuch, o ile treść ich przemawiała na korzyść Austrii.

»W kole mych znajomych, opowiada prof. Chłamtacz (zbierało się ono co dnia w kawiarni Wiedeńskiej), pracowano wprost metodycznie nad ocenami sytuacji wojennej. Poza gruntownem studyowaniem komunikatów rosyjskich, miało się często pisma wiedeńskie, budapeszteńskie, bukareszteńskie, miało się informacye, zasięgnięte od jeńców, szoferów itp. i z tego to materiału wydobywaliśmy wnioski co do najbliższej przyszłości«. Oczywiście niewinne »aran-

gement« wpadło w oczy żandarmeryi rosyjskiej, zagrożono represaliami, spadały na kawiarnie ciągłe rewizye, w końcu nie można było rozmawiać swobodnie z obawy przed szpiegami, których nigdzie nie brakowało. Ostrożniejsi przestali odtąd zachodzić do lokali publicznych i spotykano się tylko na ulicy.

Październikowy odwrót mocarstw centralnych z Królestwa Polskiego był wielkim dla Rosyan tryumfem. Także w listopadzie 1914 sytuacja ich przedstawiała się świetnie, ale już wtedy wystąpiły pierwsze objawy zwrotu na niekorzyść armii carskiej. Takie przekonanie przynajmniej mieliśmy we Lwowie.

Wkrótce po zajęciu Lwowa rzucili się delegaci różnych ministerstw rosyjskich do studyowania galicyjskich urzędzeń. Nie poprzestano jednak na tem. Zapominając o zmienności losów wojennych, ściągnięto do Galicyi istną chmarę czynowników, którzy rządzą się na modłę rosyjską, zajmowali miejscowe organizacje, zakłady, instytucye, a nie wiedzieli, co właściwie z niemi począć. Urzędnikom galicyjskim przyrzekł gubernator, że będą później przyjmowani do służby, lecz tylko na podrzędne stanowiska.

Ze szkolnictwem sprawa przedstawiała się następująco: Co do szkół średnich postanowiono przychylić się do otwarcia jedynie zakładów prywatnych, zastrzegając sobie kontrolę nad personelem nauczycielskim, wyborem podręczników i nauk języka rosyjskiego. Całkiem zaś

i odrazu przekształcić zamierzały władze rosyjskie oświatę ludową. W miejsce szkół naszych miały przyjść szkoły rosyjskie. Znany nacjonalista Czichaczew i biskup Eulogiusz powołali do życia komisję szkolną. Założono też kursy seminaryjne dla kształcenia nauczycieli, a to we wszystkich większych miastach galicyjskich, nadto zaś w Kijowie i w Petersburgu.

Uniwersytet polski ma być zniesiony. We Lwowie — uzasadniano — może istnieć tylko rosyjski uniwersytet. Polacy swój własny mieć będą w Warszawie. Przemiana ta miała zostać dokonana już w ciągu r. 1915. Na razie uniwersytet lwowski był zamknięty, a dozór nad mieniem pozostawiono władzom uniwersyteckim, pod odpowiedzialnością rektora, prof. dr. Becka. Dzięki zabiegom prez. Rutowskiego pozwolono także na zdawanie rygorozów. Egzaminów tego rodzaju odbyło się w czasie inwazyi ogółem 159.

Rusyfikatorskich zapędów w różnych dziedzinach życia nie brakło oczywiście. Ponad tablicami z polskimi nazwami ulic musiało miasto podawać tablice z napisami rosyjskimi. Przy wejściu wojsk austriackich »russofiłska« ludność Lwowa w okamgnieniu pousuwała te ślady panowania Rosyi.

W niemałej opresyi znajdował się kler katolicki, jakkolwiek gen. gubernator, obejmując rząd, zwiastował zupełną religijną tolerancję. Na pierwszy ogień poszedł metropolita Szeptycki, którego wywieziono do Rosyi. Potem przyszła kolej na OO. Jezuitów, z pośród których znacz-

ny zastęp również skazano na banicyę. Los ich podzieliło wreszcie wielu ruskich proboszczów.

Wobec ludności zachowywały się władze rosyjskie wprost nieprzyjaźnie. Tęgo faktu nie zmieni okoliczność, iż dla ulżenia nędzy wspierano ludność datkami w pieniądzach i naturaliach.

Upadek Przemyśla wywołał we Lwowie ogromne przygnębienie. Zmalała liczba optymistów. Rozpacz opanowała mieszkańców. Nawet ludzie krytycznie zapatrujący się na rzecz nie mogli oprzeć się przeświadczeniu, iż nastąpił zwrot dla monarchii niepomysłny. Rozpacz powszechna wzmagala się na widok jeńców z Przemyśla, tłumnie przez Lwów prowadzonych. Że zaś także na Zachodzie nie przyjęto wiadomości o upadku twierdzy z lżejszem sercem, dowodem choćby artykuł »N. Fr. Presse« z 25. marca 1915.

Wszystkich oczy w ciągu kwietnia skierowane były na Karpaty, gdzie Rosyanie w owym czasie bezsprzecznie odnieśli pewne sukcesy. Nie przeczuwano, jak zwodniczy był to tryumf, jak rychło miała odwrócić się dla nich karta. A już najmniej przypuszczali to oni sami.

Bardzo serdecznie — wywodzi prof. Chlamecz w dalszym ciągu — zajmowano się jeńcami, których kilka tysięcy ukrywało się we Lwowie, jakkolwiek osobom, które im użyczały schronu, groziły w razie odkrycia ciężkie kary. Wtajemniczeni poznawali jeńców przy rozmaitych zajęciach. Urządzano też składki na nich,

we wszystkim wogóle starano się przyjść im z pomocą.

I znowu zapytać wypada: Czy to byłoby możliwe w mieście, które miałoby w swych murach żywioły russofilskie, jak na podstawie błędnych, czy tylko niedostatecznych informacji twierdzono w Wiedniu? Łatwo tam lub gdziekolwiek indziej poza sferą niebezpieczeństwa przechwalać się lojalnością, ale pamiętajmy, że we Lwowie lojalność taka groziła bardzo przykremla następstwami — a przecież jej dochowano.

Cóż działo się z naszymi »russofilami«? Przebywali przeważnie w redakcyi »Słowa Polskiego«, albo też mieszkali z Rosyanami lukratywne przedsiębiorstwa i odbywali podróże handlowe. Reprezentowali russofilstwo w imię interesu; nie troszcząc się o program polityczny, imali się żwawo kucia żelaza, póki gorące. W mieście nie mieli wpływu.

W »Słowie Polskiem«, które wśród rozpaczliwych wysiłków dyalektyki, w szeregu artykułów starało się przedstawić solidarność z Rosją jako najkorzystniejszą dla Polski kombinację — owoż w »Słowie Polskiem« wiedziano doskonale o swem zupełnem odosobnieniu. Nie brakło nawet wynurzeń, jawnie wskazujących na to, żałujących się głośno, że zwolennicy austriackiej orientacyi szerzą sceptycyzm. Przyznać zresztą trzeba, że do podtrzymywania austriackiej orientacyi znakomicie przyczyniali się samiż rosyjscy czynownicy. Nasłano ich tu w wiel-

kiej liczbie, a do tego jeszcze same wybiórki, same najgorsze okazy. Ci panowie naszego życia i śmierci uważali za swój obowiązek szerzyć ciągle wśród ludności panikę i możliwie najsuciej napełniać swe kieszenie. Pomagała im niezmiernie liczna sfera szpiegowska. Nie było się przed nią pewnym nigdzie: w teatrze, w kinie, tramwaju, na ulicy. Najgłośniejsi z naszych krzykaczy przyuczyli się wobec tego z konieczności prowadzić rozmowy tylko szeptem. Byle drobnostka wystarczała, by popaść w konflikt z policją, zwłaszcza, jeśli było się człowiekiem zamożnym. Rewizye i aresztowania spadały co chwila, bardzo często zaś bez żadnych, nawet pozornych, przyczyn. Czynownicy operowali przeważnie nocą, co jeszcze większy szerzyło postrach. Aresztowani tygodniami siedzieli w więzieniu bez przesłuchania, pojęcia nie mając, o co idzie. Często gęsto uwalniano ich nagle tak samo bez motywów, jedynie w tym celu, by nowym ofiarom zrobić miejsce.

Bardzo często posługiwali się Rosyanie karami pieniężnymi. Za byle przestępstwo policyjne — choćby tylko rzekome — nakładano grzywnę w ulubionej wysokości 3000 rubli lub karę 3 miesięcy aresztu. Skazanemu dawano zazwyczaj lekko do zrozumienia, że obok głównej istnieje jeszcze poboczna instancja, z którą potargować się można. Dodajmy zaś, że policja, a jeszcze bardziej żandarmerya, była wszechpotężna. Kto wpadł w jej ręce, temu nie po-

mogła już niczyja, choćby gen. gubernatora, protekcyja.

Z wiosną potrzebowali Rosyanie robotników do prac około szanów. Dobrowolnie nikt zgłaszać się nie chciał. Poradzono sobie w bardzo prosty sposób. Na placach publicznych kazano grać kapelom wojskowym. Ściągnęło to liczne zastępy publiczności, lecz także policyi. Na dany znak policya otaczała tłum i aresztując mężczyzn, odprowadzała ich do robót. Później, gdy koncept przestał działać, chwymano mężczyzn wprost na ulicy, mało troszcząc się o postanowienia konwencji haskiej. Przypominało to łowy na niewolnictwo i było powodem, że od maja mężczyźni prawie przestali pokazywać się na ulicy. Hr. Bobriński, u którego prez. Rutowski interweniował w tej sprawie, wyraził swe ubolewanie, zapewnił, że dzieje się to bez jego wiedzy, ale była to już musztarda po obiedzie, policya bowiem tymczasem załatwiła się ze swą robotą.

Buta, bezwzględność i brutalność czynowników wypłeniła z gruntu nawet tę odrobinę russofilstwa, jaka tu i ówdzie pojawiła się u nas pod wpływem odezwy nac. wodza.

Równomiernie z klęskami, jakie stale towarzyszyć poczęły Rosyanom od maja 1915 r., wzrastała też udręka spokojnej ludności Lwowa. W prawdziwą rozpacz wprowadziło mieszkańców znane ogłoszenie z dnia 16. czerwca 1915 r., obwieszczające, że »celem uniknięcia poboru męskiej ludności w wieku od lat 18 do 50 nac

komendant frontu południowo-zachodniego nakazuje, by takich mieszkańców »z wyjątkiem żydów« wysłano do Rosyi, przyczem pozwala się im zabrać rodzinę, mienie, bydło i konie. Dozwolono też, zamierzającym wyjechać na koszt własny, używać oprócz normalnych, także dodatkowych pociągów i brać ze sobą pakunek ręczny.

Szczęście całe, iż rozporządzenie to nie okazało się wcześniej. W każdym razie jego niejasność była powodem, że nikt nie wiedział, czy je uważać za rozkaz, czy też za zwykłe tylko zlecenie. Koniec końcem większość zdecydowała się korzystać z tego zlecenia dopiero pod przymusem. A nie zabrakło prób użycia istotnie przymusu. Co dnia zamykano to tę, to ową ulicę i wyłapawszy mężczyzn w wieku popisowym, eksportowano ich do Rosyi. Ale ziemia paliła się już Rosyanom pod stopami. Nie było czasu na dokładne wykonanie rozporządzenia.

Natomiast zabrano nam dnia 20. czerwca prezydenta Rutowskiego. Także wielu radnych powleczono do Rosyi jako zakładników. Był to jeden z ostatnich aktów gwałtu, z jakimi Rosyanie zdołali uporać się, zanim ich wyrzucono z murów naszego miasta.



SPIS RZECZY.

	Str.
Prodromus	1
Wkroczenie armii rosyjskiej do Lwowa	6
Armaty mówią	10
M. S. O.	13
Tadeusz Rutowski	16
Trzej	20
Ratusz	24
Charitas	32
Tanie kuchnie	41
Bezpłatny opał	55
Czerwony Krzyż	58
Inwalidzi	61
Nasz dom	65
Zmysł praktyczności	69
Nasze Panie	72
»Sztuka«	80
Herbatki w Kole	83
Eldorado maluczkich	86
Disce puer	89
Przemysł domowy	92
Izba handlowa i przemysłowa	95
Kupiectwo	98
Mizerya rzemieślnicza	102
Pod znakiem Temidy	107
Palestra	111
Telefony	113
Urzędnicy	116
Kamienicznicy	119
Czarna giełda	123
Rozbitki	127
Ulica	130

	Str.
Szumowiny	143
Żywiciele i żywicielki miasta	147
Mleczarka	150
Łupiskórstwo	152
Kolekcjonerzy	155
Kolporterzy	158
W krainie papieru	161
Tutki	164
O różnych dymach i dymkach	166
Teatr w czasie inwazyi	170
Apellesy i Fidyasze	181
Zima	184
Boże Narodzenie	187
Przyjęcie noworoczne u prezydenta miasta	189
Przemysł	195
Wielkanoc 1915	200
Primavera	204
Tragedya lasu	207
Bez alkoholu	210
Zdrowie miasta	213
Moneta	217
»Dozwolono cenzuroju«	220
Scripta manent	227
Bajka	233
Korespondencya	236
Cienie smutku	238
Dni grozy	241
Z mroku w jasność	249

D O D A T E K.

Nastroj polityczny	257
------------------------------	-----



69

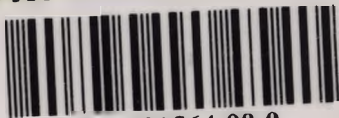
881660

121,74

ST. JOHN'S

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 321564



000-321564-00-0

